

O MĄDROŚCI
OJCA BROWNA.

Biblioteka
Solna Śląska

1/2 Kanakas

nois

G. K. CHESTERTON

○ **MADROŚCI**
OJCA BROWNA



Biblioteka

WARSZAWA
BIBLIOTEKA GROZOWA

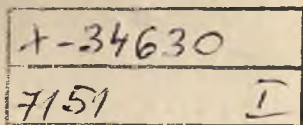
7151
I.

*Przekład autoryzowany
J. ZYDLEROWEJ.
Tłoczono w Zakładach
Graficznych „Dru-
karnia Bankowa”
Warszawa, Mo-
nuszki Nr 11.
1928 r.*



x-34630	
7151	I

GDZIEŻ JEST MISTER LAMPKE?



Słynny psychjatra i kryminolog, doktor Orion Hood, mieszka nad brzegiem morza w Scarborough. Duże okna jego mieszkania wychodzą na morze Północne, które w swym monotonnym bezmiarze nasuwa porównanie z rozległym i ponurym piargiem skalnym. Z samego mieszkania wyziera niemniejsza otepiająca wprost nuda. Urządzone starannie, nawet zbyt kownie, nie obce pewnemu banalnemu pięknu, jest atoli szpetne w swym konwencjonalizmie.

Na specjalnym stoliku równo i symetrycznie ustawiono dziesięć pudełek drogich cygar, mających wyobrażać nieliczący się z groszem zbytek. Cenne te pudełka są ułożone według pewnego zgóry obmyślonego planu. Cygara najmocniejsze spoczywają tuż przy ścianie, najslabsze zaś przy przeciwległej krawędzi stołu. Miejscom pośrednim odpowiadają również pośrednie gatunki tytoniu. Tenże szacowny stolik dźwiga na sobie trzy wykwintne marki likierów, jako że jedynie wysokiego gatunku likier, a nie

pospolity rum, brandy lub whisky, jest w stanie zadowolić subtelne podniebienie człowieka o wyższej kulturze.

Piękno, a mianowicie poezję, reprezentują porządnie ustawione na półkach po prawej stronie pokoju komplety klasyków angielskich. Po lewej zgromadzono prace angielskich i obcych fizjologów. Gdyby kto jednak wyjął z tych pięknych kompletów jeden z tomów Shelleya lub Chaucera, to powstałyby wyłom raziłby wobec surowości panującego tu porządku niby szczerba w przednich zębach. Nie należy stąd wnioskować, że książek tych nikt nie czytywał, bynajmniej, sprawiały jednakże wrażenie owych cennych biblij średniowiecznych, przykuwanych łańcuchami — gwoździ pewniejszego ich zabezpieczenia — do starych półek kościelnych.

Doktor Hood otaczał swoje książki troskliwym szacunkiem i miał je za niewiele mniej warte od księgozbioru Biblioteki Publicznej.

Skoro więc nasz uczony odnosił się z takim poszanowaniem do swoich pudełek z cygarami, do sonetów i ballad, to nietrudno domyśleć się, jakim nabożeństwem i pogańską niemal czią pedant ten otaczał półki z literaturą naukową oraz stoły z odczynnikami chemicznymi i najrozmaitszymi instrumentami, służącymi do doświadczeń fizycznych.

Doktor przemierzał właśnie wolnym krokiem swoje apartamenty. Miał na sobie miękkie ubranie welwetowe, tak lubiane zazwyczaj przez artystów. Na

uczonym jednakże strój ten nie miał w sobie nic z artystycznego, wdzięcznego zaniedbania. Bujna, chociaż gęsto przyprószona siwizną czupryna. Twarz pociągła, czerstwa jeszcze i energiczna.

Zarówno doktor, jak i jego dom, mieli na sobie wyraźne piętno surowości i systematycznej, codziennej pracy, podobni w tem do tego wielkiego morza, nad którem właśnie mr. Hood (ze względu na higienę) dom swój wybudował.

Figlarnemu przypadkowi spodobało się nieoczekiwanie wprowadzić między to poprawne, surowe otoczenie człowieka, który na tem sztywnem tle musiał razić. Jakoż drzwi otworzyły się, i do pokoju wkroczyła jakaś niezgrabna figura, dzierżąca pod obydwu pachami kapelusz i parasol. Parasol był poprostu pękatą wiązką prętów, spowitą w czarne pocerowane pokrycie. Ozdobiony szerokiem rondem kapelusz przypominał swoim osobliwym kształtem kapelusze nienazbyt często w Anglii spotykanych księży katolickich. Cała ta, jakby z niebios spadła osoba była wcieleniem niewyszukanej prostoty i bezradności.

Doktor patrzył na przybysza z ukrytem zdziwieniem. Z takim samym zresztą wyrazem twarzy patrzyłby na węża morskiego, gdyby ten niespodziewanie nabrał ochoty wślizgnięcia się do jego pokoju. Gość zaś przyglądał się doktorowi z niefrasobliwą pogodą i swobodą, która zwykła najczęściej pokry-

wać zmieszanie, wynikające z braku wyrobienia towarzyskiego i niedość wykwintnego stroju.

Nagle kapelusz upadł z hałasem na podłogę, ciężki zaś parasol wśliznął się natrętnie pomiędzy kolana przybysza, który już nachylał się po swoje nakrycie głowy, gdy w połowie drogi rozmyślił się i, wyprostowując kark, rzekł z miłym uśmiechem:

— Nazywam się Brown. Słyszałem, że pan pomaga nieraz ludziom w zawiłych sprawach. Zgóry proszę o przebaczenie, jeżeli się omyliłem.

I podniósł kapelusz, pociesznie w tym celu przykucnąwszy.

— Niezbyt dobrze pana rozumiem — odparł chłodno uczony — skłonny jestem przypuścić, że pan się raczej omylił. Jestem doktor Hood i pracuję wyłącznie na polu naukowym, chociaż literaturą nie gardzę. Jednakże w kilku niezwykłych wypadkach, zwłaszcza pieniężnych, policja istotnie prosiła mnie o wskazówki, ale...

— Och! to doskonale, bo i ta właśnie sprawa jest bardzo niezwykła! — przerwał niepozorny pan Brown i z dumnym uśmiechem zadowolenia, że udało mu się w tak zwięzły sposób wyłuszczyć istotę rzeczy, dodał: — matka nie pozwala im się pobrać...

Doktor Hood ściągnął brwi, a w oczach zamigotały mu iskierki gniewu, czy też rozbawienia:

— Nawet teraz — odezwał się — nic zgola nie rozumiem.

— Uważa pan, oni chcą się pobrać — tłumaczył.

czył Brown z przejęciem. — Madzia Mac Nab i młody Todhunter chcą pobrać się. Czyż nie jest to rzecz aż nadto poważna?

Rozgłośna działalność doktora Hooda pozbawiła go wielu ważnych rzeczy — jedni powiadają, że zdrowia, inni znowu, że wiary w Boga — lecz pod jednym przynajmniej względem nie skrzywdziła go na pewno: pozostawiła mu nietknięty zmysł poczucia śmieszności. To też sprawa, tak naiwnie przedstawiona przez prostodusznego księdza, wywołała lekki uśmiech na surowe oblicze doktora. Zasiadł w fotelu z miną lekarza, udzielającego porady, i począł ironicznie przyglądać się swojemu nieoczekiwanemu gościowi.

— Panie Brown — odezwał się poważnie. — Siła już czasu minęło od chwili, gdy poświęciłem się całkowicie studjom nad człowiekiem i zagadnieniami, związanymi z jego życiem. W swoim czasie, a mianowicie zgórą czternaście lat temu podjąłem się był rozwikłania istoty zbrodniczego zamachu na prezydenta Francji, dokonanego podczas bankietu u naszego Lorda-Mayora. Teraz idzie o jakichś pańskich przyjaciół. O ile dobrze zrozumiałem, nieznana mi bliżej panna Madzia uparła się zostać narzeczoną pewnego pana Todhuntera. Otóż zajmę się tą sprawą, gdyż nie pogardzam godziwą rozrywką, a nawet ją cenię. Postaram się oddać pańskim klientom niegorsze usługi, niż przed laty republice francuskiej i królowi angielskiemu. Co mówię?... Usługi

moje będą o wiele cenniejsze, gdyż zostaną poparte przeszło czternastoletniem doświadczeniem, którego mi niedostawało przy wyświeetleniu sprawy tajemniczego zamachu na prezydenta Francji. Dzisiaj właśnie nie mam nic lepszego do roboty, tedy opowiadaj mi pan, o co ci chodzi!

Gość podziękował gorąco, lecz bez uniżoności (tak samo dziękowałby prawdopodobnie za podanie mu ognia do fajki), i niezwłocznie rozpoczął swoją opowieść.

— Jak już panu mówiłem, nazywam się Brown, muszę jedynie dodać, że jestem księdzem małego katolickiego kościołka, który musiał pan zauważyć, przechodząc przez odległe uliczki północnej krawędzi miasta. W najskrajniejszej z tych uliczek, niemal już na brzegu morza, mieszka pewna owieczka z powierzonej mi trzody, mianowicie wdowa Mac Nab, osoba nieco żółciowa, chociaż bezwzględnie uczciwa i zasługująca na życzliwość. Ma ona córkę i trudni się odnajmowaniem pokojów. Otóż pomiędzy matką i córką, jak również pomiędzy gospodynią i jej lokatorami, wybuchają częste nieporozumienia. Teraz jest tam tylko jeden sublokator, właśnie ów młodzieniec Todhunter, ale on sam narobił więcej kłopotów, niż wszyscy dotychczasowi lokatorzy, gdyż chce się żenić z córką wdowy.

— A ta panienka — zapytał dr. Hood, z trudem wstrzymując się od śmiechu — czy także chce?

— Naturalnie, że chce! — zawołał ojciec Brown,

zrywając się z krzesła — właśnie w tem tkwi cała komplikacja!

— Istotnie, sprawa przedstawia się nader zagadkowo... — potwierdził doktor Hood.

— Młody James Todhunter — ciągnął ksiądz — jest nadzwyczaj skromnym młodzieńcem, jakiego dotychczas nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać, ale właściwie nikt go tutaj dobrze nie zna. Jest ciemnowłosy, gładko wygolony, niesłychanie ruchliwy, przytem zręczny i usłużny niby kelner w pierwszorzędnej restauracji. Zdaje się mieć pełne kieszenie pieniędzy, że zaś nikt nie wie, w jaki sposób je zarabia, przeto pesymistycznie nastrojona pani Mac Nab twierdzi, że musi w tem być coś podejrzanego, kto wie? może mającego nawet związek z dynamitem. Jeśli tak jest, to w każdym razie musi to być jakiś osobliwy dynamit, gdyż chłop ten zamyka się codziennie w swoim pokoju na klucz i w spokoju ducha pracuje nad nim całemi godzinami. Swojej gospodyni, której to jego odosobnianie się spędza, rzecz prosta, sen z powiek, powiedział, że tajemnica obowiązuje go jedynie do czasu, i przyrzekł wszystko wytłumaczyć, ale dopiero po ślubie z Madzią.

Są to fakty niejako oficjalne, dostępne dla każdego, ale pani Mac Nab może udzielić panu dodatkowych, ciekawszych szczegółów. Pan wie, że podejrzenia rosną, niczem chwast na ścieżkach głupoty. Opowiada więc, że w zamkniętym pokoju pana Todhuntera słyhać rozmowę dwóch osób, gdy

zaś młodzieniec otworzy drzwi z klucza, to jest zawsze sam. Chodzą również słuchy o jakimś roslym, przystrojonym w cylinder jegomości, który kiedyś o zmroku wynurzył się podobno z nadmorskiej mgły, jeżeli nie z morza, aby prześliznąć się ze wszelkimi ostrożnościami przez piaszczyste wybrzeże i mały ogródek, rosnący przed domkiem pani Mac Nab. Niebawem usłyszano, że począł rozmawiać przez otwarte okno z lokatorem. Wkrótce rozmowa przeszła w gwałtowną, pełną obelg sprzeczkę. Wkońcu Todhunter zatrzaskał okno, natręt zaś rozpląnął się znowuż w mgle nadmorskiej. Zdarzenie to zrobiło wielkie wrażenie na pani Mac Nab i jej córce i było roztrząsane na wszelkie możliwe sposoby, przyczem gospodyni upiera się, że ten Drugi wypełza co wieczór z wielkiej skrzyni, stojącej w pokoju młodzieńca i zawsze starannie zamkniętej. Jak pan widzi, drzwi, zamykające pokój pana Todhuntera, są uważane co najmniej za tajemnicze podwoje z fantastycznych opowieści Tysiąca i Jednej Nocy. Tymczasem mieszka za niemi przyzwoity, solidny, ubierający się starannie młodzieniec. Płaci komorne przed terminem, jest chronicznym abstynentem, przepada za niewinnymi igraszkami z małemi dziećmi, a co najważniejsze, potrafił stać się nieodzownie potrzebny pannie Mac Nab, która chociażby jutro gotowa jest stanąć z nim przed ołtarzem.

Każdy człowiek, operujący głębokimi kategorjami myślenia, lubi je przystosowywać do spraw co-

dziennych, pospolitych. Tedy i nasz uczony, okazujący pobłażanie dla niewyszukanych słów księdza, słuchał go jednakże z uwagą.

Wreszcie poprawił się w fotelu i począł mówić tonem prelegenta, idącego za biegiem własnych myśli:

— W każdym wypadku winno się wziąć pod uwagę święte prawa natury. Moglibyśmy naprzykład zapytać się, dla jakiej przyczyny i za czyje grzechy każdy kwiat jest zgóry skazany na śmierć przy lada zimniejszym podmuchu. Jednakże kwiaty umierają. Dla jakich powodów kamyczek, leżący na wybrzeżu morskiem, ma zostać splókanym przez fale? A jednak morze go porywa. Dalej człowiek, umiejący obserwować, przekonywa się, że na wszelkie dzieje składa się cały szereg zbiorowych ruchów, klęsk powszechnych lub wędrówek, jak naprzykład wymieranie much na zimę, albo przylot ptactwa na wiosnę. Genezą każdej historii jest rasa. Rasa tworzy i urabia wierzenia religijne, jak również wszczytna i etycznie uzasadnia walkę. Pierwotne plemię celtyckie, do którego należą pańskie znajome, jest bezwątpienia rasą, chylącą się ku upadkowi. Drobn i szczupli Celtowie, skłonni do marzycielstwa i zarazem impulsywni, przywykli chętnie tłumaczyć każdy odbiegający od normy wypadek siłami nadprzyrodzonemi. Nie powinno to nikogo dziwić, gdyż pański szanowny kościół (proszę darować mi te słowa prawdy) zmusił ich niejako do tego, karmiąc od dzieciństwa te wrażliwe mózgi najrozmaitszemi nie-

wiarogodnemi bredniami. Żyjąc wśród lamentów swojego kościoła (jeszcze raz jestem zmuszony prosić o przebaczenie) i przygnębiająco monotonnej skargi morza, coraz mniejszą wagę przypisują energii i czynowi, każdy zaś wypadek zbyt pochopnie otaczają niesamowitemi okolicznościami. Pani Mac Nab, przerażona odgłosami, dochodzącymi z pokoju pana Todhuntera i dostająca drżączki na samą myśl o owym drabie, zrodzonym jak Afrodyte z piany morskiej, jest jaskrawym przykładem zabobonności celtyckiej. Pan ma do czynienia z jedną tylko rodziną Mac Nab, jednakże takich pań Mac Nab istnieje rozproszony po świecie cały legion. W tysiącach domów można spotkać tysiące takich pań Mac Nab, sączących przy filiżance herbaty swoje najnieprawdopodobniejsze i chorobliwe przywidzenia w ciekawie nadstawione uszy podnieconych przyjaciółek. Aż nazbyt często bywamy świadkami...

Lecz nie dano uczonemu dokończyć przemówienia, gdyż nagle zastukano bardzo gwałtownie do drzwi frontowych. Ktoś szedł pośpiesznie przez korytarz. Drzwi bawialni raptownie otworzono, i ukazała się w nich dziewczyna rumiana i zadyszana w skromnym, niedbale zarzuconym płaszczu. Miała jasne włosy, rozwiane przez szybki bieg czy też wiatr morski, i byłaby wcale do rzeczy, gdyby nie lekko wystające kości policzkowe, tak swoiste u Szkotów.

— Bardzo przepraszam za wtargnięcie — rzekła pewnym siebie tonem — ale muszę pomówić z ojcem

Brownem. Sprawa jest bardzo poważna... Chodzi o życie ludzkie...

Ksiądz powstał powoli z krzesła, nieco zaniepokojony.

— Co się stało, Madziu? — zapytał.

— Zdaje się, że James został zamordowany... — zawołała dziewczyna, ciężko dysząc ze zmęczenia. — Ten Lampke znowu był u niego... Słyszałam doskonale ich rozmowę za drzwiami... Wyraźnie dwa głosy... James mówił ciszej, głosem stłumionym, tamten prawie krzyczał...

— Powiedziałaś jakieś nazwisko... Zdaje mi się Lampke... — zauważył niepewnie ksiądz.

— Wiem, że nazywa się Lampke — odparła z pewnem zniecierpliwieniem — pan Todhunter tak się do niego zwracał. Obcy podniesionym głosem żądał pieniędzy, i dosłyszałam jeszcze, jak James począł je odliczać, targując się przytem. Ale za dużo tego gadania... Trzeba się śpieszyć, bo może być za późno...

— Za późno? Na co? — zapytał doktor Hood, który krytycznie przyglądał się dziewczęciu. — Cóż nas może obchodzić, że jakiś Lampke potrzebuje pieniędzy?

— Próbowałam już wyważyć drzwi, ale oparły mi się — odparła panna — pobiegłam więc dookoła i zajrzałam do pokoju przez okno od strony podwórza. Było tam ciemno, i w pierwszej chwili zdawało mi się, że nikogo w nim niema, ale wyteżyłam

wzrok i... jestem pewna, że widziałam Jamesa, leżącego w kącie bezwładnego, jakgdyby był otruty, czy uduszony.

— To daje do myślenia — odezwał się ojciec Brown, sięgając po kapelusz i parasol. — Przedstawiłem właśnie twoją sprawę, Madziu, doktorowi, ale jego zdanie...

— Bardzo się zmieniło — dokończył uczony poważnie. — Nie spodziewałem się, że i pani jest tak wybitnym typem rasy celtylckiej. Ponieważ nie mam obecnie nic lepszego do roboty, przeto pójdę razem z państwem.

Jakoż w przeciągu paru minut znaleźli się wszyscy troje w ponurym i ciemnym zaułku. Dziewczyna szła krokiem pewnym, i sprężystym, niczem wytrawny alpinista, kryminolog, idąc, kołysał się z pewnym niedbałym wdziękiem, mającym w sobie coś kociego, ksiądz zaś kroczył zamasyście bez żadnej zgoła dystynkcji.

Nie można twierdzić, aby wygląd tego zaułka nie usprawiedliwiał poniekąd pesymistycznych zapamiętań doktora na rozpaczliwe obyczaje mieszkańców lichych domków, coraz radszych w miarę, jak przybliżano się do wybrzeża morskiego.

Nadchodził wieczór. Gdzie niegdzie snuł się już posępny mrok. Na ponuro jęczące, ciemne fale morza kładły się krwawe smugi, ostatnie refleksy zaszłego już słońca. W zbiegającym ku morzu ubogim ogródku pani Mac Nab sterczały, dwa usychające

drzewa z tragicznie wyciągniętymi ku niebu konarami. Pani Mac Nab na widok przybyłych załamała swe szczupłe dłonie niemniej rozpaczynym gestem. Jej surowa twarz, bielejąca w zmroku, miała w sobie coś demonicznego. Z nieukrywanem zadowoleniem powtórzyła znane już obu przybyłym fakty. Nadmieniła przytem, że słuszną zemstę za przedwczesną śmierć pana Todhuntera bierze na siebie, wyrażając jednakże głębokie przekonanie, że zgon młodzieńca jest sprawiedliwą karą niebios za jego zuchwały zamiar poślubienia najdroższej Madzi.

Wreszcie przeszli wszyscy wąskim korytarzem i znaleźli się przed drzwiami, prowadzącymi do tajemniczego pokoju. Doktor Hood ze zręcznością posiwiąłego w swym fachu włamywacza otworzył je w nader krótkim czasie. Oczom przybyłych ukazał się ponury dramat. Jakoż niepodobna było wątpić, że pokój ten stał się widownią zawziętej walki pomiędzy dwoma, a może i więcej osobnikami. Na stole i na podłodze poniewierały się porozrzucone karty, jakby grę nagle przerwano dla bójki. Na mniejszym stoliku stały dwie lampki wina, na podłodze zaś można było dostrzec szczątki trzeciego stłuczonego kielicha. Obok leżała jakaś broń w rodzaju miecza, czy też długiego sztyletu o błękitnej klindze i ozdobnie rzeźbionej rękojeści. Na brzeszczocie pełgał słaby odbłask konającego światła, zabłakany od strony okna, przez którego szyby widać było czarne sylwetki drzew, wyciągających na tle płaszczyzny mor-

skiej swe tragiczne ramiona. W jednym z kątów pokoju leżał jedwabny cylinder, najwidoczniej gwałtownym ruchem zdarty z głowy i z rozmachem ciśnięty precz, gdyż zdawało się niemal, że kołysze się jeszcze. Rzucony zaś w drugi kąt niby worek z kartoflami, starannie skrępowany sznurami leżał James Todhunter, mając knebel w ustach i straszliwe więzy na przegubach u rąk i nóg. Lecz oczy miał przytomne i przyglądał się bystro stojącym w progu osobom.

Doktór Hood stał przez chwilę nieruchomo i badawczym wzrokiem robił skrupulatny przegląd pokoju. Potem podszedł cicho do leżącego na podłodze kapelusza i, zbadawszy starannie jego wnętrze przy pomocy lupy, włożył go z poważną miną na głowę skrępowanego młodzieńca. Cylinder był tak duży, że zatrzymał mu się dopiero na ramionach.

— Oto cylinder pana Lampke — odezwał się uczony. — Hm! jakżeby tu pogodzić nieobecność pana Lampke z niewątpliwą obecnością jego kapelusza? Pan Lampke zdaje się być człowiekiem wielce dbałym o swoją garderobę... Kapelusz ten, pomimo że nienowyy, zachował jednakże swój kształt wytworny i jest starannie wyczyszczony i wygładzony. Nie ulega dla mnie kwestji, że ów Lampke jest to stary elegant....

— Ależ na miłość boską! — zawołała porywczo panna Mac Nab. — Niechże pan przedewszystkiem rozwiąże pana Todhuntera!

— Rzekłem „stary“, nie mając po temu wystarczających danych, powodowany niejako intuicją — ciągnął z flegmą niezmieszany prelegent. Moje rozumowanie może laikowi wydać się niezbyt ściśle, albowiem zmysł inwencji odgrywa w niem wybitną rolę. Otóż włosy ludzkie wypadają skutkiem najrozmaitszych przyczyn, niemniej wypadają naogół dosyć łatwo, przeto powinienem był dostrzec przy pomocy lupy chociaż parę włosów w kapeluszu, zdjętym niedawno z głowy. Nie mam skąd inąd żadnej wskazówki, aby twierdzić z całą stanowczością, że pan Lampke jest łysy, jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że panna Mac Nab słyszała podniesiony obcy głos o brzmieniu kłótliwem, (cierpliwości, droga panienko, cierpliwości), to wiedząc, że zgryźliwym tonem lubią odzywać się osoby łyse i stare, dojdziemy do wniosku, że pan Lampke jest w poważnym już wieku. Pomimo to nie braknie mu wigoru. Przytem jest on prawie na pewno wysokiego wzrostu. Mógłbym polegać do pewnego stopnia na tem, co łaskawi państwo opowiedzieli mi o owym jegomości, pojawiającym się tajemniczo z mgły nadmorskiej, wydaje mi się wszelako, że znalazłem się w posiadaniu pewniejszej wskazówki. Ten oto kieliszek od wina rozprysnął się na wszystkie strony i jeden z jego odłamków znalazł się nader wysoko na półeczce obok kominka. Wiele szans przemawia za tem, że nie mógłby pofrunąć równie wysoko, gdyby lampka ta została była wypuszczona z ręki niskiego człowieka jak np. pan Todhunter.

— W każdym razie — wtrącił ojciec Brown — moglibyśmy już rozwiązać pana Todhuntera.

— Pozwoli pan zaznaczyć, że nie skończyłem jeszcze moich wywodów — odparł z flegmą doktor Hood. — Otóż śmiało mogę przypuścić, że pan Lampke jest łyсы; dalej, że jego zdenerwowanie zostało spowodowane przez podniecający wpływ alkoholu. Jak słyszałem, pan Todhunter jest skromnym i oszczędnym młodzieńcem, przytem niewątpliwym abstynentem. Te karty i alkohol nie leżą tedy w jego zwyczajach, lecz musiał ich zażądać jakiś osobliwy kompan. Ale wnioski nasze mogą być jeszcze dokładniejsze. Być może, że pan Todhunter posiadał kielichy, ale nic nie pozwala przypuszczać, aby trzymał u siebie również i wino. Cóż tedy miały zawierać te szklanki? I tutaj sama nasuwa się myśl, że przeznaczeniem ich musiała być whisky lub brandy, zapewne w nienajgorszym gatunku, przyniesiona w przepaścistych kieszeniach pana Lampke. Teraz już krystalizuje się w naszym mózgu wizerunek tego człowieka, a przynajmniej jego cechy zasadnicze: w poważniejszym już wieku, łyсы, wysoki, w ubraniu eleganckiem, chociaż podniszczonem już nieco, nadewszystko zaś rozmiłowany w rozrywkach i gorących napojach, może nawet nadmiernie w nich rozmiłowany. Pan Lampke musi być dobrze znany w pewnych kołach naszego towarzystwa.

— Panie! — zawołała dziewczyna. — Jeżeli nie wpuści mnie pan, abym mogła rozwiązać James'a, pobiegnę po policję!

— Nie radziłbym pani tego czynić, panno Mac Nab — odrzekł doktor poważnie. — Nie będziemy śpieszyć się ze sprowadzaniem policji. Ojciec Brown, zupełnie poważnie proszę o umitygowanie swoich owieczek, oczywiście w ich własnym interesie, nie w moim. Rozpatrzyliśmy już zgrubsza postać i właściwości pana Lampke, ale zali wiemy coś pewnego o obiecującym panu Todhunterze? Wiemy tylko tyle, że jest oszczędny, że prowadzi życie mniej więcej dostatnie i że posiada jakąś tajemnicę. Właściwości takie znakomicie kwalifikują danego człowieka na ofiarę szantażu, szantażystą zaś może być wyłącznie człowiek, którego wątpliwą elegancję, rozwiązłe obyczaje i popędliwy charakter przed chwilą roztrząsaliśmy, to jest pan Lampke. Oto dwóch aktorów tego dramatu: jeden z nich to otaczający się pewną tajemniczością, lecz cieszący się ogólnym szacunkiem młody człowiek, drugi — to wielkomiejski ptak niebieski, który w każdej obcej tajemnicy przywykł widzieć swoją zdobycz. Ci dwaj ludzie zbliżyli się i pokłócili, używszy przy tem pięści i noża.

— Czy pan nareszcie zdejmie z niego więzy? — zawołała podrażniona do żywego dziewczyna.

Doktor Hood położył ostrożnie jedwabny cylinder na małym stoliku i podszedł do związanego. Przyjrzał się bacznie leżącemu, poruszył go, a nawet przewrócił na bok, ale odparł:

— Sądzę, że więzy powinny zostać na swoim

miejscu, dopóki nie zastąpią ich dostarczone przez policję kajdanki.

Ojciec Brown, który utkwivszy wzrok w podłogę, nie reagował dotychczas na zastanawiające wywody uczonego, tym razem podniósł głowę i zawołał:

— Jakto? A to dlaczego?

Mister Hood, podniósłszy w międzyczasie sztylet z podłogi i przyglądając mu się uważnie, prawil dalej z niezmaconą pogodą:)

— Ponieważ znaleźliście państwo tego młodzieńca związanego, przeto wywnioskowaliście natychmiast, że to pan Lampke musiał go skrępować, poczem, nie zwlekając, ulotnił się. Że wniosek to zbyt pośpieszny, świadczą wymownie cztery następujące fakty: po pierwsze. dlaczego jegomość, tak dbały o swoją garderobę, jak pan Lampke, miałby dobrowolnie pozostawiać tutaj swój kapelusz? Najwidoczniej został do tego zmuszony. Po drugie mógł on wyjść jedynie przez okno, które tymczasem jest od wewnątrz zamknięte. Po trzecie, nóż na samym końcu jest słabo zakrwawiony, ale pan Todhunter nie poniósł, o ile mnie wzrok nie myli, najmniejszej nawet rany. Tedy nóż ten został zboczony krwią pana Lampkego. O ileż prawdopodobniejsze jest przypuszczenie, że to nie szantażujący pan Lampke usiłował zamordować pana Todhuntera, przedstawiającego dlań wszakże poważną wartość kury, znoszącej mu szczerozłote jaja, lecz że właśnie pan Todhunter zapragnął pozbyć się raz na zawsze swego

dręczyciela. Mam wrażenie, że dałem państwu wystarczająco dokładny skrót zaszłego tutaj dramatu.

— A te więzy? — zapytał ksiądz, którego oczy zdradzały niekłamane zdumienie i podziw.

— Ach, więzy... — odrzekł uczony dziwnym tonem. — Panna Magdalena jest na mnie poważnie obrażona, że nie rozwiązałem dotychczas jej ukochanego. Otóż nie uczyniłem tego z obawy, że pan Todhunter nie przyjąłby mojej pomocy, mogąc doskonale sam pozbyć się krępujących go więzów.

— Co takiego?!! — wszyscy słuchacze zgodnie wydali okrzyk nieopisanego zdumienia.

— Zdążyłem przyjrzeć się węzłom na pętach tego młodego człowieka—tłumaczył doktor Hood spokojnie.—Znam się nieco na wiązaniu sznurów, które całkowicie wypełnia jedną z licznych gałęzi kryminologii. Każdy z tych węzłów zawiązał pan Todhunter sam i sam je również potrafi rozwiązać; jego wróg nie przyłożył do nich nawet ręki. Całe to zdarzenie ze związaniem należy zakwalifikować jako wcale sprytny fortel, mający wprowadzić nas w błąd, że to pan Todhunter jest ofiarą zbrodniczego zamachu, nie zaś pan Lampke, którego trup został już może zakopany w ogrodzie lub wepchnięty do kominka.

Zmrok nastał już zupełny i spowijał wszystkie przedmioty. W pokoju zapanowała przytłaczająca cisza.

Podniecona wyobraźnia struchlałych słuchaczy

nasuwała obrazy straszliwych bestyj apokaliptycznych, potworów morskich, mrozących krew w żyłach, potwornych sepij i ohydnych polipów, wypełzłych z dna morskiego, aby przyjrzeć się epilogowi tej ponurej tragedji. Z mgły nadmorskiej wynurzała się ofiara mordu, szczywany i nikczemny pan Lampke. W powietrzu tego pokoju niby zabójcza trucizna unosiła się atmosfera szantażu, jednej z najdokuczliwszych bolączek ludzkości. Spochmurniała nagle jowjalna twarz księdza, zwykle tak uprzejmie uśmiechnięta, chwilami nawet komiczna. Znikł z niej wyraz pobłażliwego zaniepokojenia, natomiast znać było, że mózg księdza usilnie pracuje.

— Więc pan powiada — odezwał się z widocznem przygnębieniem w głosie — że ten Todhunter mógł sam się związać i że również sam potrafi się rozwiązać?

— Tak, jestem tego pewien — odrzekł uczony.

— Pochwalone Imię Pańskie! — zawołał ksiądz Brown. — Jakby tu się o tem przekonać?

Uderzony najwidoczniej jakąś myślą, przesunął się cicho i zwinnie przez pokój i wpatrzył się badawczo w twarz więźnia, to znaczy w tę jej część, która nie została przysłonięta kneblującą ustachustką.

— Ależ tak, pan doktor Hood ma świętą rację — krzyknął po chwili wzburzony. — Przecież to wyraźnie maluje się na jego twarzy. Spójrzcie tylko w te oczy!

— Rzeczywiście, jakie on ma dziwne oczy! — zauważyła panna. — Ach, brutale, przecież on musi cierpieć!...

— Nie sędzę — odparł doktor Hood. — Wprawdzie oczy ma istotnie dziwne, ale ich niezwykle wyraz należy usprawiedliwić wzburzeniem psychicznym.

— Na Boga! — krzyknął nagle ojciec Brown — ależ on najwyraźniej w świecie śmieje się!

— Śmieje się? — nieco niepewnym głosem powtórzył zdziwiony doktor Hood.

— Z czegoż u licha może on się śmiać?

— Radziłbym panu, panie doktorze — tłumaczył wypogodzony nagle ksiądz — nie brać tego zbyt do serca, ale mam wrażenie, że śmieje on się z pana. Zresztą ma słuszość za sobą, gdyż i mnie chce śmiać się z samego siebie... Teraz nareszcie rozumiem...

— Co pan rozumie? — zapytał zniecierpliwiony doktor Hood.

— Zrozumiałem, w jakim celu... Chciałem powiedzieć, że wiem już, czym zajmuje się pan Todhunter.

Radośnie podniecony ksiądz Brown zachowywał się nad wyraz zastanawiająco. Kręcił się po całym pokoju, mruczając coś niezrozumiale pod nosem, to znów wybuchając trudnym do wytłumaczenia, z głębi serca płynącym śmiechem, co niezmiernie denerwowało obecnych. Zaśmiewał się nad cylindrem, widok stłu-

czonemu kielicha zmusił go do ujęcia się pod boki, gdy zaś z kolei stanął nad porzuconym sztyletem, zachowywał się tak, jakby go kto w podeszwy łaskotał. Obecnych wprost zdejmowała obawa, aby nie dostał konwulsyj. Nareszcie zwrócił się do naszożonego nie na żarty doktora:

— Doktorze, jesteś zaiste wielkim poetą! Oto stworzył pan z niczego, jedynie mocą własnej wyobraźni, nieistniejącą zgoła osobę. Strach bierze pomyśleć, w co kazałbyś nam uwierzyć, gdybyś posiadał więcej danych w swoim rozumowaniu!

— Mało mnie obchodzi, co pan o tem pomyśli — rzekł doktor zimno. — Wnioski moje, aczkolwiek jeszcze niezupełne, są jednakże nie do obalenia, to też ponoszę za nie całkowitą odpowiedzialność. Rzecz prosta, że intuicja, którą panu podobało się nazwać łaskawie poezją, odegrała w nich dużą rolę, nieprzekraczającą wszelako przewidzianych dla takich wypadków granic. Otóż w nieobecności pana Lampke...

— Właśnie, właśnie!... — zawołał skwapliwie księżulo — w tem sęk! Nieobecność pana Lampke!... Trudno jest nawet sobie wyobrazić, do jakiego stopnia pan Lampke jest nieobecny!... Ho! ho! Nikt z nas, nie wyłączając pana, panie doktorze, nie dokazałby tej zadziwiającej sztuki, aby być bardziej nieobecnym od tego przezacnego pana Lampke!

— Pan sądzi, że niema go w mieście?

— Ośmielam się przypuścić, że nigdzie go nie-

ma — odpowiedział poprostu ksiądz. — Niema go „w samej rzeczy“, jak to się powiada.

— Więc pan istotnie mniema, że ta osoba nie istnieje? — zapytał doktor z pobłażliwym uśmiechem.

Ksiądz skinął głową. — Bardzo mi przykro, ale tak jest.

Orion Hood parsknął krótkim, pogardliwym śmiechem.

— Dobrze więc — rzekł — zanim przejdziemy do innych dowodów, omówmy pierwszy. Gdyśmy wtargnęli do tego pokoju, wprawdzie nie zastaliśmy już w nim pana Lampke, natomiast zobaczyliśmy porzucony cylinder. Czyją tedy własność stanowi ten kapelusz, skoro pan Lampke jeszcze nie przyszedł na świat?

— Jest on własnością pana Todhuntera — odparł ksiądz.

— Ależ jest o wiele na niego za duży! — zawołał doktor niecierpliwie — i w żadnym razie nie mógłby go nosić.

Ojciec Brown ubolewajaco pokiwał głową: — Nie powiedziałem bynajmniej, że on go nosił, wyraziłem się jedynie, że jest to jego kapelusz, a to niekoniecznie oznacza to samo. Sądzę, że dostrzega pan różnicę pomiędzy „noszeniem“ kapelusza i jego „posiadaniem“?

— I jakaż to jest różnica? — zapytał kryminolog z lekkim szyderstwem w głosie.

— Ależ kochany panie! — zawołał zniecierpliwiony wreszcie ksiądz. — Jeżeli pan uda się do najbliższego kapelusznika, to spostrzeże pan może, że kapelusznik posiada kapelusze, chociaż ich nie nosi.

— Tak, ale kapelusznik za swoje kapelusze otrzymuje pieniądze, natomiast nie wiem, jaką problematyczną korzyść mógłby odnieść pan Todhunter z tego starego cylindra.

— Co mógłby mieć ze swojego kapelusza? Ależ króliki, mój panie!

— Cooo?

— Króliki, wstążki, cukierki, złote rybki (naturalnie żywe), papierowe serpentyny i inne nie mniej cenne rzeczy — wyliczał w zapale ksiądz. — Czyż panu to nie przyszło do głowy na widok owych więzów, nałożonych przez młodzieńca na siebie samego? Podobna sprawa jest z tym groźnym mieczem, na którym krwawy ślad pochodzi od skaleczenia, znajdującego się wewnątrz pana Todhuntera.

— Nie rozumiem, do pioruna, co pan chce przez to powiedzieć!...

— Pan Todhunter — tłumaczył wyczerpująco ksiądz — uczy się trudnego rzemiosła kuglarza-cudotwórcy, brzuchomówcy i specjalisty od rozplątywania węzłów. Wyjaśnił mi to ten pocziwy cylinder. Niema w nim śladu włosów nie dlatego, że przykrywał łysą czaszkę pana Lampke, lecz dla

tej prostej przyczyny, że nikt go wogóle jako przykrycia głowy nie używał. Temi trzema lampkami od wina ćwiczył się nasz młodzian dla nabrania wprawy w żonglowaniu, sztuce, w fachu kuglarskim wprost niezbędnej. Ale że „pierwsze koty za płoty“, więc jedną z lampek przy zbyt silnym rzucie roztrzaskał o sufit. Jednakże prawdziwym „gwoździem“ w repertuarze każdego szanującego się kuglarza, jego słuszną dumą, ale i świętym obowiązkiem jest polowanie miecza. Ponieważ jednak pan Todhunter, jak to już zaznaczyłem, jest dopiero nowicjuszem, więc niema w tem nic dziwnego, że leżącym tu oto sztyletem skaleczył sobie do krwi gardło. Czyli, jak rzekłem, ranę ma wewnątrz siebie. Ćwiczył się również w wyzwaniu się z więzów, co niewątpliwieby mu się udało, gdyby nie nasza niespodziewana interwencja. Łatwo się już domyślić, że rozrzucone na podłodze karty również musiały mu służyć do wprawek w różnych szulerskich figlach. Nikomu nie zwierzał się ze swoich mozolnych prób, gdyż jak każdy kuglarz chciał tajemnicę swoich sztuk zachować dla siebie. Na podstawie, że kiedyś musiał zajrzeć do jego okna jakiś drab w wysokim kapełuszu, zbyt łatwowiernie ułożyliśmy sobie całą tę bajkę o prześladowającym młodzieńca szantażyście.

— A skąd te dwa głosy? — spytała Madzia zdumiona.

— Czy nigdy nie słyszałaś brzuchomówcy? —

zwrócił się do niej ksiądz. — Czy nie wiesz, że na-przód mówi on naturalnym głosem, a potem odpo-wiada właśnie takim ostrym i skrzeczącym, jak to przez drzwi słyszałaś?

Zapanowała cisza. Doktor Hood patrzył z po-dziwem na niepozorną postać księdza, wygłaszające-go te swoje rewelacje z niezamąconym spokojem i słodyczą.

— Jesteś pan naprawdę genialny — przyznał po namyśle. — Dowiódł pan swoich twierdzeń bez zarzu-tu, ale jeszcze nam pan nie wytłumaczył, skąd wzięło się to nazwisko Lampke, które przecież panna Mac Nab wyraźnie słyszała?

Ksiądz Brown roześmiał się z zadowoleniem.

— Na tem właśnie polega całe to nieporozumienie. Kiedy nasz młody cudotwórca podrzucał owe lampki od wina, to niezawodnie liczył głośno chwytty udane i nieudane: „jedna lampka! dobrze! druga lampka! — dobrze! trzecia — nic z tego!“, wyrażając przytem swoje zadowolenie lub gniew, stosownie do powodze-nia. Z pewnością genezy nazwiska Lampke szukać należy w kieliszku.

Przez chwilę panowała brzemienna cisza, poczem wszyscy wybuchnęli zgodnym śmiechem, gdyż z kąta pokoju wygramolił się leżący tam młodzieniec. Krę-pujące go doniedawna więzy leżały na podłodze. Sta-nąwszy na środku pokoju, wyciągnął z zanadrsa i rozwinął jaskrawe ogłoszenie, obwieszczające wszem wobec i każdemu z osobna, że w najbliższy

poniedziałek o 8-ej wieczorem rozpocznie w E m p i-
re P a v i l l o n swoje gościnne występy wszechświa-
towej sławy prestidigitator, cudotwórca i brzuchomówca, człowiek-lina, znamienity Z A L A D I N (dla
żołnierzy i dzieci połowa).

ZŁODZIEJSKI RAJ.

Lokal modnej restauracji znajdował się nad morzem Śródziemnem w cieniu niewielkich pomarańczowych i cytrynowych drzew. Wśród stałych gości wykwił tego lokalu budził uczucie niemałego zadowolenia, graniczącego niemal z pychą.

Teraz o południowej porze kelnerzy w białych fartuchach zajęci byli szykowaniem stolików do wczesnego lunch'u.

Restaurację tę upodobał sobie poeta Muscari, wielki, sławny już, najoryginalniejszy z poetów tokańskich. Zmierzał więc do niej szybkim krokiem.

Poeta ów miał orli nos Dantego, włosy czarne, delikatne. Ciemny płaszcz i artystyczny fontaź na szyi zdobiły jego postać, a gdyby na twarz nałożył maskę, mógłby z powodzeniem wyobrażać bohatera średniowiecznego weneckiego dramatu. I minę miał przytem niebyłe jaką, jakby chciał zaznaczyć, że rolę trubadura uważa za stanowisko socjalne wcale nie gorsze chociażby nawet od biskupa.

Nosił się jednym słowem z wysoka, niczem Don Juan z rapierem i gitarą.

Uspodobienie tego młodzieńca nie wypływało z pozy lub dziecinnady, był on tylko zapalnym, zupełnie zresztą logicznie myślącym Łatyńczykiem, którego zwykła pociągać wszelka oryginalność. Poezja jego była bardziej szczerą, niż niejeden utwór prozy. Pragnął sławy, wina, pięknych kobiet i dążył do tego celu z namiętną bezwzględnością, niezrozumiałą dla ludzi północy, wpatrzonych w chmurne ideały lub biorących życie kompromisowo. U ludzi niezrównoważonych żywiołowość jego wzbudzała nieufność, wierzyli w nim nawet jakieś zbrodnicze instynkty. Zbyt mało był skomplikowany jak ogień lub woda, aby mu można było ufać.

Angielski bankier ze swą piękną córką mieszkał w hotelu, w którym mieściła się ulubiona restauracja Muscariego, nietrudno więc zrozumieć, dlaczego była mu tak miła.

Muscari obejrzał się po sali i spostrzegł, że angielskie towarzystwo jeszcze jest nieobecne. Restauracja olśniewała przepychem, lecz ziała pustką. Przy stole, w kącie sali rozmawiali jacyś dwaj księża, lecz Muscari, jakkolwiek gorliwy katolik, nie zwrócił na nich wcale uwagi, jakby byli co najwyżej parą wron.

Od stołu, ukrytego za karłowatym drzewem pomarańczowym, podniósł się jakiś jegomość i zbliżył się do Muscariego. Ubranie miał na sobie niezwykle.

W Londynie przyodziewek taki jest zupełnie pospolicity: garnitur z kraciastej wełny, wysoki, sztywny kołnierzyk, przewiązany czerwonym krawatem, na nogach jaskrawo żółte buty. Na tle jednak południowego nieba wyglądało to wielce dziwacznie, a przypuszczać należy, że było to celem tego młodzieńca. Zbliżał się do Muscariego, a ten zauważył, że głowa zupełnie nie pasuje do tego stroju. Była to typowa głowa Włocha, potargana, o twarzy opalonej, pełnej życia, stercząca nad sztywnym wysokim kołnierzykiem i śmiesznym czerwonym krawatem.

Ależ on tę głowę zna!

I mimo ohydneho świątecznego stroju londyńskiego mieszczucha poznał wreszcie starego, zapomnianego przyjaciela nazwiskiem Ezza.

Koledze temu, gdy miał zaledwie piętnaście lat, rokowano w kolegium jeszcze wielkie nadzieje, przepowiadano europejską sławę. Niestety, ukazanie się jego na widowni świata przyniosło mu zawód. Na-przód dał się poznać jako dramaturg, potem jako demagog, potem długi czas krył się w zaciszu domowem, wreszcie znano go jako aktora, jako podróznika, dziennikarza, komiwojażera, a ostatnio Muscari widział go w szrankach szybkobiegaczy. Usposobienie Ezzy doskonale nadawało się do tego zawodu, należało więc przypuszczać, że chyba jakieś intrygi wyгнаły go z tych szeregów.

— Ezza! — zawołał poeta, podnosząc się i ścisnąc rękę przyjaciela z radosnem uniesieniem. —

Widziałem cię już nieraz w rozlicznych kostjumach, nie sądziłem jednak, że się kiedy przebierzesz za Anglika.

— To nie jest strój Anglika — odrzekł Ezza poważnie — lecz Włocha w przyszłości.

— Muszę ci się przyznać, że w takim razie wolę Włocha z przeszłości.

— Błędne masz o tem zdanie, Muscari — zaprotestował przyjaciel w kraciastem ubraniu — i Włochy trwają w tym błędnym oporze. Szesnasty wiek był zaraniem Toskanji. Daliśmy światu najlepszą stal, najpiękniejszą rzeźbę i nową chemję... Dlaczego teraz nie moglibyśmy stworzyć nowego przemysłu, nowych motorów, nowych finansów i — nowych kostjumów?

— Bo nie warto ich mieć — odrzekł Muscari. — Nie w twej mocy jest uczynić Włochów najbardziej postępowymi, są na to za inteligentni. Ludzie, którzy uważają krótki fason ubrania za najwygodniejszy, nie korzystają nigdy z ulepszonych współczesnych dróg.

— Dla mnie Marconi, nie d'Annunzio jest chwałą Włoch — oponował przyjaciel — i tylko dlatego stałem się futurystą i... gońcem.

— Gońcem? — roześmiał się Muscari. — Taki więc jest ostatni twój rodzaj pracy? A komu służysz?

— Nazywa się Harrogate. Służę jemu i jego rodzinie.

— Jest bankierem i mieszka w tym hotelu, prawda? — zapytał żywo poeta.

— Tak.

— Dobrze ci płaci?

— Zapłaci mi — odpowiedział Ezza z zagadkowym uśmiechem. — Jestem sobie takim osobliwym gońcem... — I zmieniając temat rozmowy, dodał: — Ma córkę i syna.

— Córką jest boginią! — unosił się poeta — ojciec zaś i syn są tylko ludźmi. Lecz przyznając ojcu pewne, niewinne zresztą zalety, musisz się zgodzić ze mną, że chociaż Harrogate ma miliony w swych safes'ach, a ja mam dziury w kieszeni, — jednak nie będziesz mógł, nie będziesz śmiać twierdzić, że jest sprytniejszy, czy odważniejszy, lub bardziej energiczny ode mnie. Wcale nie jest sprytniejszy. Oczy jego są podobne do niebieskich guzików... Nie jest też energiczniejszy... przenosi się z krzesła na krzesło z szybkością paralityka. Jest to sobie solidny, uprzejmy, stary bałwan, a że ma pieniądze, to tylko dlatego, że je kolekcjonuje, jak sztubaki kolekcjonują stare znaczki pocztowe. Ty, Ezza, jesteś za inteligentny do interesów, dlatego nic ci się nie udaje. Aby dojść do majątku, trzeba być dość głupim, aby go pragnąć.

— Ja właśnie na to jestem wystarczająco głupi — odparł Ezza posępnie. — Ale radzę ci, prześtań krytykować tego bankiera, bo właśnie nadchodzi.

Wszedł na salę pan Harrogate, wielki słynny finansista, ale nikt nawet na niego nie spojrział. Był to tęgi, starszy już mężczyzna o spłowiałych niebieskich oczach. Zgarbiony, z obwisłemi, siwawemi wąsami miał minę starego pułkownika. Niósł w ręku kilka nierozpieczętowanych listów. Syn jego Frank był bardzo przystojnym chłopcem, opalonym, o włosach kędzierzawych, żywego usposobienia, ale na niego też nikt nie spojrział. Jak zwykle wszystkie oczy spoczęły na pannie Ethel Harrogate. Jakże ta cudna, złotowłosa głowa greckiej bogini i jutrzenkowa cera przepięknie wyglądała na tle szafirowego morza! Głębokie westchnienie, pełne upojenia, wydarło się z piersi Muscariego. Upoiło go wcielenie poezji, odtwarzanej ongi przez przodków. Ezza patrzył na nią równie silnie, a bardziej może bez nadziei.

Panna Harrogate była w doskonałym usposobieniu i chętna do rozmowy, więc ojciec jej, stosując się do zwyczajów kontynentalnych, pozwolił poecie, a nawet i gońcowi zasiąść przy ich stole i wziąć udział w rozmowie.

Córka milionera była typem światowej damy, pyszniła się ojcowskim bogactwem, przepadała za modnemi rozrywkami, za flirtem, ale okazywała głębokie przywiązanie ojcu. Cechy swego charakteru ujawniała z całą prostotą dobrej w gruncie natury. Światowe poważanie było dla niej świeżą i cenną rzeczą, więc cieszyła się niem jak dziecko.

Rozmowa toczyła się z wielkiem ożywieniem, gdyż rozprawiali o niebezpieczeństwach, czyhających na górskich drogach. Niebezpieczeństwem nie groziły skały ani lawiny, leżało ono w czemś o wiele romantyczniejszem. Ethel była święcie przekonana, że dotychczas jeszcze rozbójnicy chadzają swobodnie po wirchach i pilnują przejść apenińskich.

— Mówią — wołała z zapalem, podniecając się jak pensjonarka własnym przestraczem — że cała ta okolica nie jest rządzona przez króla Włoch, lecz przez Króla Złodziejów!

— Wielkim jest zaiste człowiekiem — odpowiedział Muscari — godzien stać w jednym szeregu z pani ziomkiem. Robin Hood'em, signorino. Przed dziesięciu laty, gdy już wszyscy zapomnieli o rozbójnikach, naraz zjawił się Montana, Król Złodziejów, a wieść o jego okrutnej władzy rozeszła się z niesłychaną szybkością. Zuchwałe jego proklamacje były rozlepiane w każdej górskiej wiosce, w każdym wozie stały jego warty z bronią w ręku. Sześć razy rząd włoski próbował go stąd wykurzyć i sześć razy poniósł sromotną porażkę w decydujących bitwach. Coś tak, jak z Napoleonem.

— Takie rzeczy — odezwał się ociężałe bankier — nie udałyby się nigdy w Anglii. Ale może lepiej będzie wybrać sobie inną drogę, jakkolwiek nasz goniec twierdzi, że droga ta jest zupełnie bezpieczna.

— Zupełnie bezpieczna — powtórzył goniec za-

myślony. — Chodziłem tamtędy ze dwadzieścia razy. Może tu i grasował za czasów naszych prababek jaki uciekinier z więzienia, przezwany Królem, ale należy to już do historii, jeżeli nie do bajek. Rozbójnictwo jest całkowicie wytępione.

— Nigdy nie może być wytępione! — zawołał Muscari — bo u nas stale wre! Jest to naturalna reakcja południowców. Nasi wieśniacy pełni są wdzięku i weseli, ale też podszyci ogniem. Rozpacz ludzka u ubogich mieszkańców północy objawia się pijaństwem, a u południowców — użyciem sztyletu.

— Marzenia poety! — roześmiał się szyderczo Ezza. — Gdyby signor Muscari był Anglikiem, szukałby zbójów w Wandsworth. Jeśli się ktoś obawia porwania we Włoszech, równie dobrze może być oskałpowany w Bostonie.

— Więc pan namawia, aby zaryzykować? — spytał bankier, marszcząc brwi.

— Och! to naprawdę brzmi podejrzenie! — zawołała panna, zwracając cudne oczy ku poecie. — A pan, zdaje się, przypuszcza, że przejście jest niebezpieczne?

Muscari odrzucił wtył czarną czuprynę.

— Wiem na pewno, że jest niebezpieczne, ale jutro będę państwu towarzyszył.

Młody Harrogate pozostał jeszcze chwilę, kończąc szklanke białego wina i paląc papierosa, a młoda panna odeszła z ojcem, gońcem i poetą, a za nią płynęła gama jej srebrzystego śmiechu.

I dwaj księża, siedzący w kącie, powstali równieź. Wyższy, siwowłosy Włoch, pożegnał się. Niższy zbliżył się do syna bankiera. Frank spojrzał ze zdziwieniem, dowiedziawszy się, że katolicki ksiądz jest Anglikiem. Później nawet przypomniawszy sobie, że spotykał go u swych znajomych w Anglii, lecz zanim zebrał swe wspomnienia, ksiądz odezwał się:

— Zdaje się, że mówię z panem Frankiem Harrogate. Miałem możność być panu przedstawionym, ale narazie wolę pomówić z panem o tej dziwnej sprawie jako nieznajomy. Panie Harrogate, powiem to krótko i zaraz odchodzę. Proszę się opiekować swoją siostrą, gdyż grozi jej wielkie zmartwienie.

Urok promiennej wesołości Etheli działał nawet na zwykłą braterską obojętność, ze zdumieniem spojrzał Frank na ponurego zwiastuna.

— Ksiądz ma na myśli rozbójników? — spytał, a uprzedzając sobie pewien nieokreślony własny niepokój, dodał: — A może ksiądz myśli o Muscarim?

— Trudno pojąć nieszczęście, gdy ono jest daleko — odrzekł ten dziwny ksiądz — zrozumieć je można dopiero wtedy, gdy nadejdzie.

Powiedziawszy to, wyszedł prędko z sali, pozostawiając oniemiałego Franka.

W parę dni potem, na stromej drodze, między szczytami groźnych gór, chwiał się powóz, wiozący znane nam towarzystwo. Ezza ignorował niebezpieczeństwo, Muscari okazał gotowość obrony, więc ro-

dzina finansisty postanowiła odbyć zamierzoną wycieczkę. Na stacji przed samym wyjazdem zjawił się ksiądz z restauracji, który oznajmił, że interes zmusza go również do przebycia tych gór. Młody Harrogate nie mógł się pozbyć jednak myśli, że obecność jego ma coś wspólnego z tem tajemniczem ostrzeżeniem.

Przewodniczył całej wyprawie niewyczerpany w pomysłach i dowcipie goniec Ezza. Jego to pomysłu był nawet powóz, mający kształt wygodnego wagoniku.

Opanowano strach przed zbójcami i starano się nie rozmawiać o nich, jednak nie brakło broni na wszelki wypadek. Ezza i Frank mieli nabite rewolwery, Muscari z dziecinnem zadowoleniem wetknął sobie za pas coś w rodzaju sztyletu.

Przemysłnie manewrując, umieścił się przy pięknej Angielce, z drugiej jej strony zasiadł ksiądz Brown, który na szczęście był milczącym towarzyszem podróży, bankier zaś, syn jego i Ezza siedzieli na drugiej ławce.

Muscari był w podniosłem usposobieniu ducha, bardzo poważnie wierzył w niebezpieczeństwo, i Ethel, słysząc jego tyrady, gotowa była posądzić go o manjactwo. Lecz widok śmiałych, majestatycznych szczytów, tych gór jak sady zarosłych drzewami, oddziaływał tak na młodą dziewczynę, że bezwiednie podążała za swym towarzyszem ku niebu, dziwnie w tej chwili zalanem purpurą, ku słońcu,

chylącemu się ku zachodowi. Droga jak biały kot pięła się wzwyż, niby gruby sznur przerzucana przez czarne otchłanie, i okręcała się dookoła przylądka jak lasso.

Mimo że pięli się coraz wyżej, krajobraz ciągle mienił się wszelkimi barwami. Pola, przypalone wiatrem i słońcem, tętniły papuziem i kolibrowemi kolorami tysiąca rozkwitłych kwiatów.

Te lasy i łąki nie były piękniejsze od lasów i łąk angielskich, szczyty i otchłanie nie wyglądały potężniej od Snowdon i Glencoe, lecz Ethel nie widziała dotychczas parków, rozpiętych na południowej stronie rozłupanej gardzieli Glencoe, przepełnionych owocami Kentu. Tu nie doznawało się tego dreszczu i przygnębienia, jakie nieodłącznie opanowuje człowieka, podziwiającego angielski krajobraz. To, co tu miało się przed oczami, podobne było do mozaikowego pałacu, rozdartego trzęsieniem ziemi, do holenderskiego tulipanowego ogrodu, rozsadanego na strzępy dynamitem.

— Podobne jest do Kew-Garden na Beachy Head — odezwała się Ethel.

— W tem jest cała tajemnica — odrzekł Muscari — tajemnica wulkanu... czyli tajemnica rewolucji, co jest gwałtowną, a zarazem płodną w owoce.

— Zdaje się, że pan jest jeszcze od niej gwałtowniejszy — uśmiechnęła się do niego.

— Lecz nie płodny w owoce — westchnął. —

Jeżeli dziś umrę, umrę w stanie beżzennym i... szalony.

— To przecie nie moja wina, że pan się tu wybrał.

— Nic nie jest pani winą... Nie jest także pani winą, że Troja upadła.

Przyjechali tymczasem pod groźne urwiska, które zawisły jak skrzydła ponad zakrętem wyjątkowo niebezpiecznym. Przestraszone wielkim cieniem, padającym od skały, konie wspięły się podejrzliwie. Woźnica skoczył na ziemię, by je przytrzymać, lecz już było za późno. Jeden koń stanął dęba w całej wysokości, olbrzymiej, przerażającej wysokości konia, gdy stanie na dwóch nogach. Było to wystarczające, by powóz stracił równowagę. Jak okręt na falach pochylił się i oparł o krzaki, rosnące na krawędzi przepaści. Muscari chwycił ramię Etheli, która krzyknęła i przytuliła się do niego. Zrozumiał, że żył dotychczas poto, aby tę chwilę przeżyć.

W chwili, gdy ściany skalne jak skrzydła wiatru, zawirowały w głowie poety, stało się coś nieoczekiwanego. Stary, letargiczny bankier wyprostował się i przeskoczył na drugą stronę powozu, odciążając go od strony przepaści, zanim tenże zdołał przechylić się nad nią. Wyglądało to narażenie na zamach samobójczy, lecz natychmiast zrozumieli wszyscy, że w ten sposób ocalił powóz od upadku. Anglik posiadał więcej roztropności i szybkiej decyzji, niż go o to Muscari posądzał. Prawie

w tejże chwili bankier znalazł się na ziemi, która jakgdyby na jego przyjęcie wysłana była murawą i koniczyną. I całe towarzystwo czułoby się zupełnie uszczęśliwione z zakończenia tego wypadku, gdyby nie obrażający sposób, w jaki wysypało się na ziemię.

Tuż przy tym zakręcie niby zatopiona łąka znajdowało się wgłębienie, wysłane trawą i kwiatami, coś w rodzaju zielonej aksamitnej kieszonki w długim powłóczystym stroju wzgórz. W to wgłębienie wysypali się wszyscy, niewiele sobie wyrządzając szkody, prócz tego, że drobne ich pakunki, a nawet zawartości ich kieszeni rozsypały się dookoła nich. Nieszczęśliwy powóz wisiał jeszcze, uwikłany w krzakach, a konie napróżno wyteęzały siły, by wyciągnąć go z tej matni.

Pierwszy powstał ksiądz, drapiąc się w głowę ze śmiesznem żdziwieniem. Frank Harrogate słyszał, jak szeptał:

— Dlaczego, u Boga, wywróciliśmy się właśnie tutaj?

Obejrzał posłanie, z którego dopiero co powstał, i znalazł tam swój niezdarty parasol. Dalej leżał szeroki sombrero z głowy Muscariego, a obok zapieczętowane listy, które po przeczytaniu adresu oddał bankierowi. Koło panny Etheli w cieniu jej osoby leżała niezwykła mała flaszeczka. Ksiądz podniósł ją. Szybkim, bezwiednym ruchem otworzył i powąchał. Twarz jego przybrała kolor ziemisty.

— Boże! miej nas w swojej opiece — szepnął. —

To należy do niej... Czyżby już nieszczęście było blisko?... Wpuścił flaszeczkę do kieszeni swej kamizelki. — Chyba czynię to słusznie, dopóki nie do-
wiem się czegoś więcej...

Spojrzał z niepokojem na pannę, którą w tej chwili Muscari podnosił z kwiatów.

— Spadliśmy w niebo — mówił poeta — to jest
znamienne. Zwykli śmiertelnicy wspinają się wzwyż
i spadają na dół, a tylko bogowie mogą upaść
w niebo...

Gdy panna Ethel wynurzyła się z morza tych
pięknych barw, widok był tak uroczy, że podejrzenia
księdza zachwiały się i ustąpiły.

— Może ta trucizna nie do niej należy? Może
to jakiś melodramatyczny pomysł Muscariego...

Muscari podniósł damę na nogi, skłonił się głę-
boko teatralnym gestem i, wyciągnawszy sztylet, roz-
ciął mocno naciągnięte lejce koni, które podźwignęły
się na drżące nogi.

W tej chwili stało się coś dziwnego.

Z krzaków wyszedł jakiś niepozorny, ogorzały,
bardzo nędznie ubrany człowiek i ujął uzdy koni.
Za pasem tkwił dziwnego kształtu zakrzywiony nóż
szeroki. Gdzie indziej wygląd tego człowieka nie
ździwiłby nikogo, tu jednak nagłe jego ukazanie się
zrobiło wielkie wrażenie. Poeta zapytał, co on tu
robi, lecz przybysz nic nie odpowiedział.

Muscari obejrzał się dokoła siebie, na zmiesza-
ne towarzystwo, stojące jeszcze w wgłębieniu, i doj-

rzał nagle jeszcze jednego opalonego oberwańca z krótką strzelbą na ramieniu, który poniżej przyglądał się im ze skały, oparłszy łokcie na trawie. Rzucił okiem na drogę, którą przebyli, i tam zobaczył lufy czterech karabinów i cztery bystre twarze o niewzruszonych oczach.

— Bandyci! — zawołał Muscari, prawie ucieszony. — To była zasadzka! Ezza! zrób mi przyjemność i zastrzel przedewszystkiem woźnicę, łatwiej nam będzie się przebić. Jest ich tylko sześciu!

— Woźnica — odparł Ezza, trzymając ręce w kieszeniach — o ile wiem, należy do służby pana Harrogate.

— To tem bardziej trzeba go zabić! — krzyknął zniecierpliwiony poeta. — On został przekupiony! Trzeba panią wziąć w środek, a my ich zaatakujemy!

I brnąc przez bujną trawę i kwiaty, szedł nieustraszenie wprost na cztery karabiny, lecz spostrzegłszy, że nikt prócz młodego Franka za nim nie idzie, cofnął się, wywijając nożem i nawołując innych. Spojrzał na gońca, stojącego spokojnie z rękoma w kieszeniach. Chuda, ironicznie uśmiechnięta twarz Włocha zdawała się olbrzymieć w świetle wieczornem.

— Cóż, Muscari? Zawsze mówiłeś, że ze wszystkich kolegów mnie się najmniej wszystko udawało, a tobie stale powodziło! Otóż, widzisz, ja miałem większe od ciebie szczęście i zajmę większe miejsce

w historii. Gdybyś napisał epos, ja mógłbym być w nim bohaterem!

— Chodźże tu zaraz! — wrzeszczał Muscari. — Będiesz mi tu teraz plótl głupstwa o sobie, zamiast bronić kobiety, mając trzech silnych mężczyzn do pomocy! Czy mam cię nazwać tchórzem?

— Nie! Nazywam się Montana! — zawołał donośnie goniec. — Jestem Królem Złodziejów i witam was w swym letnim pałacu!

W tejże chwili z krzaków wyszło jeszcze pięciu milczących ludzi z bronią, gotową do strzału, patrząc na wodza w oczekiwaniu rozkazów. Jeden z nich trzymał wielki arkusz papieru.

— Kilka grot, znajdujących się poniżej, i to piękne gniazdko, gdzieśmy sobie urządzili piknik — ciągnął dalej Ezza, uśmiechając się swobodnie, lecz złowrogo — znane jest pod nazwą Złodziejskiego Raju. Te wzgórza są moją fortecą i, jak to państwo bezwątpienia zauważyliście, gniazdo to jest zupełnie niewidoczne zarówno z drogi, jak i z doliny. Jest to położenie dobre, nie tylko dlatego, że jest nie do zdobycia, lecz i dlatego, że jest nie do dostrzeżenia. Tutaj przeważnie mieszkam i tutaj zapewne umrę, jeżeli mię kiedy żandarmi przyłapią. Nie należę do tego rodzaju przestępców, którzy potrafią się tylko bronić, lecz do tych, którzy zachowują dla siebie ostatnią kulę!

Wszyscy jak spiorunowani patrzyli na niego w milczeniu prócz ojca Browna, który wydał z siebie

potężne westchnienie ulgi i dotknął ręką kieszeni od kamizelki.

— Dzięki Bogu! — szepnął. — To o wiele prawdopodobniejsze... Trucizna należy naturalnie do tego wódza bandytów. Nosi ją przy sobie, jak Kato, aby nie zostać uwięziony.

Król Złodziejów tymczasem ciągnął dalej z zło-wróbną uprzejmością:

— Zmuszony jestem jeszcze mym gościom przedstawić warunki, na jakich będę miał zaszczyt ich gościć. Nie potrzebuję wyklądać o pięknym zwyczaju okupu, który jest waszą powinnością, aby móc się stąd wydostać. Okup zresztą będzie zastosowany tylko do części towarzystwa. Wielebny ojciec Brown i sławny poeta Muscari będą jutro zwolnieni i odesłani pod moją eskortą, jako że poeci, jak również i księża (proszę mi wybaczyć szczerłość moich słów) nie mają za wiele pieniędzy. Ponieważ nic nie mogę od nich uzyskać, składam w ten sposób hołd literaturze pięknej i czołobitność Świętemu Kościołowi.

Zamilkł, uśmiechając się niemile. Ojciec Brown patrzył nań badawczo i słuchał ze skupieniem.

Wódz bandy wziął arkusz z rąk swego adjutanta i, obejrzawszy go, ciągnął dalej:

— Dalsze me zamierzenia są dokładnie wyłuszczone w tym dokumencie, który zaraz państwu przedstawię, a który będzie umieszczony w każdej wiosce i na wszystkich rozstajnych drogach. Nie bę-

dę państwa męczył czczem rozprawianiem, o ile państwo zechcą to podpisać. Treścią tej proklamacji jest ogłoszenie, że uwięziłem angielskiego milionera, potentata finansowego, pana Harrogate. Ogłaszam na stępnie, że znalazłem przy nim weksle i gotówkę na dwa tysiące funtów, które mi przekazał... Ponieważ zaś byłoby to niemoralnie obwieszczać łatwowiernemu światu wypadki, które nie miały miejsca, więc proponuję, aby się to spełniło bez zwłoki. Proponuję panu Harrogate, aby mi natychmiast oddał te dwa tysiące funtów.

Bankier patrzył na niego z pod podniesionych brwi, czerwony, tłumiąc w sobie oburzenie. Skok z wywracającego się powozu wyczerpał widocznie całą jego odwagę. Gdy Muscari z jego synem rwali się naprzód, aby wydostać się ze zbójeckiej pułapki, on tylko odwrócił się plecami od tego szubienicznika, a teraz drżącą, czerwoną ręką wyjął plikę papierów z kieszeni i oddał bandycie.

— W porządku! — zawołał nicpoń wesoło. — W ten sposób łatwo dojdziemy do porozumienia. Streszczam więc dalsze paragrafy mej proklamacji, która natychmiast będzie opublikowana w całych Włoszech. Trzeci punkt mówi o okupie. Żądam od rodziny pana Harrogate trzech tysięcy funtów okupu, co przypuszczam, będzie dla niej ciężką zniewagą, że tak nisko cenię jego osobę. Z jakąż radością zapłaciliby każdy trzy razy większą sumę, by móc się znaleźć w tak ściśle przyjacielskiem kółku! Wre-

szcie, nie chcę ukrywać, że końcowe punkty tego dokumentu mówią o pewnych nieprzyjemnościach, w razie, gdyby te pieniądze nie zostały wpłacone. — A teraz, panie i panowie, pozwólcie mi was zapewnić, że pomyślano tu o waszych wygodach, winie, cygarach, i prosić o obejrzenie przepychu Złodziejskiego Raju.

Podczas jego przemowy podejrzenie wyglądający ludzie w brudnych, na twarz opuszczonych kapełuszach i z karabinami w rękach, zebrali się cicho w takiej liczbie, że i Muscari zmuszony był uznać, iż jego pomysł przedarcia się z sztyletem w rękę był beznadziejny. Obejrzał się, lecz panna Harrogate podeszła do ojca, pocieszając go, silniejsze bowiem było w niej uczucie niż duma z posiadanych bogactw. Muscari ze zwykłą nielogicznością miłości miał wielkie uznanie dla uczuć dziewczęcia, a jednocześnie irytował się na nie. Wsunął swój sztylet do pochwy i usiadł nadąsany na zielonym pagórku. Widząc, że ksiądz zasiadł obok, Muscari zwrócił ku niemu swe zirytowane, orle oczy.

— Tak! uważaliście wszyscy, że to tylko moja romantyczna fantazja wietrzyła niebezpieczeństwo.. — odezwał się cierpkim tonem. — Cóż, są jacy zbóje w tych górach?

— Może gdzie i są — odrzekł Ojciec Brown bez przekonania.

— Jak mam to rozumieć? — ostro spytał poeta.

— Sam nie wiem, co mam o tem myśleć — przy-

znał się ksiądz. — Nie umiem nic pewnego powiedzieć o tym Ezzie czy Montanie, czy jak się on tam nazywa... Trudniej mi go zrozumieć jako bandytę niż jako gońca.

— Ale dlaczego? — nalegał poeta. — Santa Maria! Zdaje mi się, że bandytę nietrudno zrozumieć!...

— Są trzy zagadkowe szczegóły — odrzekł ksiądz spokojnie. — Pragnąłbym nawet, aby i pan o tem wyraził swoje zdanie. Przedewszystkiem muszę panu powiedzieć, że dnia tego, kiedy pan był w towarzystwie państwa Harrogate w restauracji, ja jadłem również wówczas tam śniadanie. O czwartej wyszedł pan z sali, panna Harrogate szła naprzędzie, śmiejąc się i rozmawiając, bankier zaś z tym gońcem szli za nią, szepcząc coś ze sobą zcicha. Mimo to zdołałem usłyszeć, jak Ezza powiedział: — „Niech się pan zgodzi na ten figiel, pan wie dobrze, że taki cios mógłby ją zdruzgotać...“ Pan Harrogate nic nie odpowiedział, ale te słowa musiały mieć jakieś znaczenie. Poszedłem natychmiast do jej brata i ostrzegłem, że siostrze grozi jakieś niebezpieczeństwo, nie powiedziałem tylko, skąd czerpię to przekonanie. Przecie to jest nonsensem, żeby goniec zawiadamiał swego pana o czasie i miejscu zasadzki zbójeckiej! A widzimy tymczasem, że to on właśnie zwabił go tutaj... A jeżeli nie o tem mówił, to jakież inny cios, znany bankierowi i jego gońcowi, zagraża pannie Harrogate?

— Cios zagraża pannie Harrogate? — zawołał dziko poeta, zrywając się z miejsca. — Co to znaczy?

— Wszystkie te zagadki obracają się dokoła tego wodza bandytów — streszczał się zamyślony ksiądz. — A teraz dalej. Dlaczego tak energicznie żąda okupu, jeżeli odrazu wziął od swej ofiary dwa tysiące funtów? Poco o tem ogłasza? Rodzina bankiera byłaby daleko więcej zaniepokojona o jego los, gdyby wiedziała, że bandyci rozpaczliwie potrzebują pieniędzy. Tymczasem zaś rabunek został spełniony na miejscu, zanim zostało wypowiedziane żądanie okupu. Dlaczego ten Ezza Montana pragnie koniecznie obwieścić światu, że naprzód okradł, zanim wymusił okup?

— Nic a nic nie rozumiem! — odrzekł Muscari, po raz pierwszy nieobmyślonym gestem targając czupryną. — Ksiądz sądzi, że mi coś rozjaśnił w głowie, a ja tymczasem brnę w jeszcze większych ciemnościach... Jakaż jest jeszcze trzecia zagadka, stosująca się do tego Złodziejskiego Króla?

— Trzecia zagadka — prawil ksiądz, ciągle zamyślony — jest tu, na tem miejscu... Dlaczego ten zbój nazywa to swoją fortecą?... i Rajem Złodziejskim? Miejsce to jest rzeczywiście wygodne bardzo, odpowiednie zupełnie do wysypania się z powozu i bardzo malownicze... Prawdą też jest, że nie widać go z doliny i ze szczytów... i że może być niezłą nawet kryjówką... Ale to nie jest forteca... Nie mogłaby nigdy być fortecą... Zdaje się, że byłaby to

najgorsza z fortec... Przecież tędy przebiega publiczna droga, którą prawdopodobnie policja często przechodzi. Wprawdzie tych pięć marnych strzelb trzymamy nas bezbronnych już około pół godziny, ale wystarczy ćwierć kompanji bylejakich żołnierzy, by tę bandę natychmiast rozpędzić na cztery wiatry. Co można sądzić o tym zakątku, wysłanym trawą i kwiatami? To nie jest okopana pozycja... W każdym razie miejsce to wybrane zostało celowo... nie mogę jednak zrozumieć tego celu... Może to jest jakaś zaimprovizowana scena, na której ma się odegrać jakiś romantyczny dramat?... Może...

Słowa księdza gubiły się w dość nieudolnem wyjaśnianiu własnych kombinacyj, gdy Muscari, który miał zwierzęco wrażliwe zmysły, posłyszał jakiś tętent w górach. Hałas ten był jeszcze słaby, nawet i dla wrażliwego ucha poety, lecz mógłby przysiąc, że z wieczornym wiatrem płyną odgłosy kopyt końskich i dalekich nawoływań.

Zanim dźwięki te doszły niedoświadczonych angielskich uszu, Montana skoczył na zielone wzniesienie, uczepił się gałęzi i wyrzwał na drogę.

Dziwnie teraz wyglądał. Fantazyjny kapelusz z szerokimi brzegami, wiszący pendent i nóż u pasa doskonale charakteryzowały wodza bandytów, lecz prozaiczne kratkowane ubranie zdradzało w nim dawnego gońca.

Po chwili odwrócił oliwkową, szyderczą twarz i dał znak ręką. Zbójcy na ten sygnał rozprószyli się,

nie w zamieszaniu jednak, lecz jakby wykonywując jakiś manewr wojenny. Zamiast zająć drogę wzdłuż grzbietu górskiego, ukryli się z boku za drzewami, jakby oczekując nieprzyjaciela. Tętent zbliżał się, dudniała skalista droga, słysząc już było wyraźnie wydawane rozkazy. Teraz zbóje stłoczyli się w nieładzie, klnąc i szepcząc, słysząc było trzask odwodzonych kurków i szczęk wyciąganych z pochew nożów.

Tętent zbliżał się z obu stron. Słysząc już było łamanie gałęzi, rzenie koni i nawoływanie mężczyzn.

— Wybawienie! — zawołał Muscari, zrywając się z miejsca i machając kapeluszem. — To żandarmi! Walczmy za własną wolność! Idźmy przeciw zbójom! Nie zostawiamy całego trudu policji! Byłoby to zbyt nowoczesne! Zgóry na tych łotrów! Żandarmi nam dopomogą! Chodźmy, przyjaciele, pomoc nadchodzi!

I rzuciwszy kapelusz, wyciągnął sztylet i zaczął zbiegać po pochyłości góry na drogę. Frank Harrogate skoczył również i biegł za nim z rewolwerem w rękę, lecz zatrzymał się, zdumiony, usłyszawszy, że ojciec przywoływał go rozkazującym tonem:

— Nie chcę tego! — zawołał bankier zdławionym głosem. — Nie wtrącaj się do niczego!

— Ależ ojczule! — perswadował Frank gorąco. — Ten Włoch pobiegł naprzód! Nie pozwolisz chyba, aby Anglik chował się za jego plecami?

— To się na nic nie przyda! — odrzekł ojciec,

drząc gwałtownie. — Na nic się nie przyda... Musimy poddać się losowi...

Ojciec Brown patrzył na bankiera. Bezwiednie położył rękę jakoby na sercu, a w istocie na małej flaszeczce z trucizną, a twarz oświeciła się błyskiem strasznego, śmiertelnego objawienia.

Tymczasem Muscari, nie oczekując już na pomoc, przeskoczył nasyp drogi i chwycił za ramię Króla Bandytów tak silnie, że ten zachwiał się i odwrócił ku niemu. Montana miał także wydobyty nóż, lecz Muscari, nie namyślając się, zamierzył się w głowę zbója, który jednak cios odparował. Zadźwięwały oba noże, lecz Król Zbójów opuścił swój i zaśmiał się.

— Co wyprawiasz, przyjacielu? — zawołał wesoło w narzeczu włoskiem. — Ta głupia farsa już się skończyła!

— Ty, krętacz! Co to znaczy? — dyszał w gorącej wodzie kąpany poeta. — Twoja odwaga jest widocznie równie nikczemna, jak i twoja uczciwość!

— Wszystko jest we mnie nikczemne... — odparł eks-goniec całkiem wesoło. — Jestem aktorem, a jeśli czasem występuję we własnej postaci, nie chcę wówczas pamiętać o tem. Nie jestem ani prawdziwym zbójem, ani prawdziwym gońcem. Jestem maską o różnych twarzach, a ty z takim bić się nie możesz!

Roześmiał się z dziecinnem zadowoleniem, rozstawił swym zwyczajem szeroko nogi i odwrócił się bez zainteresowania od bójki na drodze.

Ciemność padała na górskie ściany i trudno już

było wymiarkować o postępach walki. Widać tylko było, że jacyś jeźdźcy natarli końmi na zwarty tłum zbójców, których, zdaje się, woleli znużyć i zepchnąć, niż pozabijać. Podobniejsze to było do rozpędzania tłumów miejskich niż do krwawej walki z opryskami.

Muscari patrzył zmieszany i naraz uczuł, że go ktoś trąca w łokieć. Był to ten śmieszny, mały księżulek, który teraz jak Noe zjawił się przed nim. Poprosił, aby mu użyczył chwilki rozmowy.

— Signor Muscari — odezwał się — w takiej chwili należy wiele ludziom wybaczyć. Muszę pana objaśnić, w jaki sposób mógłby pan pomóc skuteczniej, niż stojąc u boku żandarmów. Pozwoli pan, że zatracę o poufne sprawy, ale proszę mi się przyznać, czy panna Harrogate obchodzi pana cokolwiek? Czy na tyle obchodzi, że pragnąłby się pan z nią ożenić i być dla niej dobrym mężem?

— Tak — odrzekł skromnie poeta.

— A ona, czy też ma takie uczucie dla pana?

— Zdaje mi się, że tak... — brzmiała odpowiedź,

— Więc niech pan jej się zaraz oświadczy. Niech pan jej obieca wszystko, na co stać pana... Niebo i ziemię, jeżeli pan może... Ale prędko, bo pozostało mało czasu...

— Jakto? — spytał zdziwiony poeta.

— Bo los jej zbliża się ku niej, tu, po tej drodze.

— Nic się nie zbliża prócz odsieczy.

— Tak, ale niech pan będzie gotów uwolnić ją od tej odsieczy.

Przez krzaki przedzierali się w ucieczce bandyci. Zanurzyli się w zarośla i bujną trawę jak tropiona zwierzyna. Około tych krzaków przemknęły stosowane kapelusze górskiej żandarmerji. Padł nowy rozkaz. Zsiadano z koni, a wysoki oficer z szarym papierem w ręce ukazał się w zagłębieniu, które miało być wrotami Złodziejskiego Raju.

Zapanowała cisza. Naraz bankier krzyknął głosem, pełnym przerażenia:

— Zostałem ograbiony!... Okradziono mnie!

— Jakto? przecież to już ze dwie godziny temu zostałeś, ojcze, ograbiony z dwóch tysięcy funtów! — zawołał syn zdumiony.

— Nie chodzi mi o dwa tysiące — odrzekł bankier, dziwnie naraz uspokojony — lecz o małą flaszczkę.

Żandarm z papierem w ręku przeszedł małe wgłębienie, a spotkawszy na swej drodze Króla Złodziejów, poklepał go po ramieniu, niby po przyjacielsku, dość jednak silnie, że Ezza się zachwiał.

— Jeżeli pan nie zaprzestanie swych kawałów, może pana spotkać kiedy porządna nieprzyjemność — odezwał się do niego.

Żandarm, minąwszy pseudobandytę, zbliżył się do towarzystwa i, stanąwszy przed bankierem, odezwał się:

— Samuelu Harrogate, aresztuję cię w imię

prawa za sprzeniewierzenie sum Hull i Huddersfield Banku.

Wielki finansista skinął głową, wyrażając tem zgodę, zdawał się chwilę namyślać i, zanim mogli mu przeszkodzić, znalazł się na samej krawędzi skalnej ściany. Rozłożywszy ręce, skoczył tak lekko, jak przed paru godzinami wyskoczył z powozu. Lecz teraz nie upadł na miękki kobierzec murawy — spadł nadół z wysokości tysiąca stóp, gdzie stał się miazgą rozbitych kości.

Potoczyście gniew swój wyraził włoski oficer przed Ojcem Brownem, nie mógł jednak ukryć i podziwu.

— Więc uniknął swego losu — mówił. — A był to niepospolity bandyta! Ostatnia jego sprawa jest rzeczywiście niesłychana. Uciekł z bankowemi pieniędzmi do Włoch i kazał się porwać bandytom, by w ten sposób wytłumaczyć zniknięcie pieniędzy. Żądanie okupu byłoby zapewne wzięte poważnie przez policję. Ale od szeregu lat uprawiał wcale niegorsze od tej sprawy... I tak byłby stracony dla rodziny.

Muscari zajął się nieszczęśliwą córką, która silnie przytuliła się do niego. Może tuliłaby się tak do niego dopiero po kilku latach...

Mimo tak tragicznej chwili poeta nie mógł się powstrzymać od uśmiechu i podania ręki Ezzie Montana.

— Gdzież się teraz udasz? — spytał się.

— Do Birmingham — odrzekł aktor, paląc pa-

pierosa. — Czyż ci nie mówiłem, że jestem futury-
stą — człowiekiem przyszłości? Przejmuję się każdą
rolą i wierzę we wszystko, o ile mogę w coś wierzyć.
Ruch, zmiana, krzątanie co wieczór! Wszystko mi
jedno, gdzie będę; może to być Manchester, Liver-
pool, Leeds, Hull, Huddersfield, Glasgow, Chicago—
jednem słowem tam, gdzie jest oświecony, energicz-
ny, cywilizowany świat!

— Jednem słowem — dokończył Muscari —
prawdziwy Złodziejski Raj!

POJEDYNEK D-RA HIRSCHA

Pewnego dnia przez rozświetlone Pola Eli-
zejskie pan Maurycy Brun i pan Armand Armagnac
szli krokiem rześkim, lecz pełnym godności. Obaj
byli niscy, żywego temperamentu i pewni siebie.
Czarne brody obu tych panów wyglądały na przypra-
wione dzięki dziwnej modzie francuskiej, która spra-
wia, że własne włosy wyglądają na sztuczne. Klin
brody pana Bruna był niby przyklejony do dolnej
wargi, pan Armagnac zaś dla odmiany miał dwie
brody, sterczące po każdej stronie podbródka. Obaj
byli młodzi, obaj byli z przekonania ateistami, co się
odbijało w przygnębionym wyrazie twarzy, nie tamu-
jąc jednak wielkiej żywości ruchów; obaj byli ucznia-
mi dra Hirscha, uczonego publicysty i moralisty.

Brun wślawił się swym wnioskiem, aby zwykłe
wyrażenie „Adieu“ zostało wykreślone ze wszystkich
francuskich klasycznych dzieł, a następnie powoli
wycofane z codziennego użycia.

— W ten sposób — przekonywał — imię waszego wyimaginowanego Boga przestanie wreszcie brzmieć w uszach ludzkich.

Armagnac był zdecydowanym antimilitarystą i żądał, aby w Marsyljance słowa: „Aux armes, citoyens“ zmieniono na: „Aux grèves, citoyens!“ Cały ten jego antimilitaryzm był specyficznie galijski. Zjawiał się kiedyś u niego pewien wybitny i bardzo bogaty kwakier angielski, pragnąc się naradzić z nim o sposobie rozbrojenia całego świata, i strapił się wielce propozycją Armagnaca, aby na początek żołnierze powystrelali swych oficerów.

Otóż pod temi względami, obaj ci ludzie różnili się bardzo od swego kierownika duchowego i mistrza filozofji życiowej. Dr. Hirsch urodził się we Francji, tam otrzymał świetne, prawdziwie francuskie wychowanie, a jednak, z temperamentu sądząc, był zupełnie odmiennym typem. Łagodny, marzycielski, ludzki i mimo pozornego sceptycyzmu nie hołdujący transcendentalizmowi. Był poprostu bardziej Niemcem niż Francuzem. Jakkolwiek okazywano mu najgłębszą cześć, coś podświadomie drażniło tych Galijszyków, gdy stawał w obronie powszechnego pokoju w zbyt pacyfistyczny sposób. A jednak w kołach naukowych całej Europy dr. Hirsch cieszył się powszechnym szacunkiem. Jego niezwykle śmiałe teorie kosmiczne przekonywały o własnem życiu surowem i chłodnej, istotnej moralności.. Były to zasady Darwina na podkładzie Tołstojowskim. Nikt nie

mógł mu zarzucić braku patryotyzmu lub nazwać anarchistą. Poglądy jego na powszechne rozbrojenie były umiarkowane i ewolucyjne. Rząd republiki francuskiej ufał mu zupełnie, gdy Hirsch przeprowadzał chemiczne udoskonalenia. On to wynalazł ową bezgłośną materję wybuchową, której tajemnicę powierzył rządowi francuskiemu.

Dom jego leżał przy pięknej ulicy, sąsiadującej z Polami Elizejskimi. Podczas silnych upałów ulica ta kryła się w zieleni jak w parku, szereg wielkich kasztanów chronił ją od promieni słonecznych, przerywał się tylko nieco w miejscu, gdzie wielka kawiarnia wysypywała swe stoliki na ulicę. Wprost niej bielił się wielki dom uczonego o zielonych zasłonach. Wzdłuż całego piętra biegł balkon żelazny, pomalowany również na zielono. Pod nim znajdowało się wejście na rodzaj podwórza, ocienionego krzewami i wyłożonego ceglami. Weszli tam obaj Francuzi, prowadząc ożywioną rozmowę.

Drzwi im otworzył Simon, stary służący uczonego, który z powodzeniem mógł uchodzić za samego doktora. Nosił porządny garnitur czarny, miał siwe włosy i poufałe zachowanie. Rzeczywiście sługa ten wyglądał bardziej na uczonego, niż jego pan, który podobny był do rosochatej rzodkwi. Spojrzawszy na tę bulwiastą głowę, nie zwracało się już na resztę ciała uwagi.

Simon z miną wielkiego uczonego, który światu wręcza nowe odkrycie, podał panu Armagnac list.

Ten pochwycił go z wielką niecierpliwością, właściwą swej rasie, i przeczytał szybko:

„Nie mogę zejść nadół, aby się z tobą rozmówić. Jest tu pewien człowiek, z którym nie chcę się spotkać. Jest to jakiś zwyczajowy oficer Dubosc. Siedzi na schodach. Poprzewracał meble we wszystkich pokojach. Zamknąłem się w gabinecie. Jeżeli mi dobrze życzysz, idź do kawiarni i czekaj przy stoliku na zewnątrz lokalu. Postaram się przysłać ci go. Chcę, abyś się z nim rozmówił. Nie mogę się z nim widzieć, nie mogę... nie chcę!

Jest to sprawa, podobna do sprawy Dreyfusa. *P. Hirsch*“.

Armagnac spojrział na Bruna. Brun wziął list, przeczytał i spojrział na Armagnaca. Zawrócili szybko, przeszli przez ulicę i zajęli jeden z małych stolików w kawiarni, stojących pod kasztanami. Kazali podać dwa wysokie kieliszki obrzydliwego, zielonego absyntu, który mogli pić zawsze i o każdej porze.

Kawiarnia była prawie pusta. Przy jednym stole jakiś wojskowy pił kawę, przy drugim wysoki jegomość pił likier, a przy nim siedział ksiądz, który nic nie pił.

Maurycy Brun odchrząknął i odezwał się:

— Musimy naturalnie pomóc swemu mistrzowi, ale...

Umilkł nagle, a z kolei odezwał się Armagnac:

— Musi być widocznie poważna przyczyna, dla której nie chce się zobaczyć z tym człowiekiem, ale...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdyż intruza najwidoczniej wysiedlono z domu uczonego. Krzaki przed podjazdem zakołysały się tak gwałtownie, jakby niepożądany gość został wystrzelony z armaty.

Był to krzepki jegomość w małym tyrolskim kapelusiku. Wogóle cała postać przypominała tyrolski typ. Ramiona wielkie, szerokie, nogi szczupłe, ruchliwe, odziane w krótkie spodnie i pończochy. Twarz opalona jak orzech, oczy żywe, ciemne. Czarne włosy, zaczesane na czoło i przycięte w grzywkę, wydaniały silną, kwadratową czaszkę. Na twarzy wielkie czarne wąsy, podobne do rogów bizona. Taka potężna głowa mieści się zwykle na byczym karku, szyja jednak była ukryta pod wielką, szeroką szarfą, która owijała ją po same uszy i kryła swe końce pod klapami kurtki, tworząc fantazyjną kamizelkę. Szarfa ta prawdopodobnie pochodziła ze Wschodu, gdyż składały się na nią najdziksze kolory: była tam czerwień we wszystkich odcieniach i dużo złota. Właściciel zaś jej wyglądał bardziej na węgierskiego szlachcica, niż na francuskiego oficera. W każdym razie było coś w nim barbarzyńskiego. Oczywiście musiał być Francuzem z urodzenia, a patryotą zapalczywym do śmieszności. Zaledwie wyleciał z bramy, głos jego zagrzemiał, jak róg myśliwski.

— Jest tam jaki Francuz? — jakgdyby w Mecce przywoływał chrześcijan.

Natychmiast z miejsc swoich zerwali się Armagnac i Brun, lecz za późno, gdyż człowiek ten minął szybko róg ulicy, gdzie zebrała się już gromadka ludzi, i z talentem ulicznego trybuna podbiegł do jednego ze stolików kawiarni, wskoczył nań i, trzymając się gałęzi kasztana, krzyczał jak ongiś Desmoulins, gdy zbierał liście wawrzynu między ludnością.

— Francuzi! — grzmiał. — Trudno mi to wypowiedzieć! Niech mi Bóg dopomoże, abym mógł wszystko dokładnie wyłożyć! Ci, którzy tam w tych plugawych parlamentach uczą się mówić, uczą się także i milczeć! Milczeć, jak on milczał, gdym dobiegał się do jego mieszkania! Milczeć, jak on teraz milczy, chociaż słyszy mój głos i drży w swem ukryciu! O! umieją być wymowni w swem milczeniu ci politycy! Ale nadszedł czas, gdy my, którzy nie umiemy mówić, będziemy zmuszeni przemówić! Zdradzono was przed Prusakami! Teraz właśnie zdradzono was! Tamten oto człowiek was zdradził! Jestem Juljusz Dubosc, pułkownik artylerji. Wczoraj w Wogezach złapaliśmy szpiega niemieckiego... znaleźliśmy przy nim list... Ten list mam w swych rękach... O! na pewno chcieliby to zatuszować, ale ja zaniósłem pismo wprost do tego, co je pisał... tu, do tego domu... Ręka tego człowieka to pisała!... podpisane jest jego inicjałami!... Pisz, w jaki sposób można wykraść tajemnicę wynalazku, bezgłośnego prochu. A proch ten wynalazł Hirsch! I to Hirsch napisał ten list! List ten został znaleziony w kieszeni Niemca!

„Powiedz temu człowiekowi, że wzór prochu bezgłośnego znajduje się w pierwszej szufladzie szafki biurka w sekretarjacie Ministerstwa. Jest w szarej kopercie i pisany czerwonym atramentem. *P. H.*“

Wykrzykiwał te słowa jak karabin maszynowy i czynił wrażenie człowieka, który albo ma rację, albo jest szalony.

Szara masa tłumu, usposobiona narodowo, zaczęła czynić wrzawę, inteligencja w mniejszości z Armagnac'em i Brunem na czele, równie rozgoryczona, powiększała grono wojennie usposobionych.

— Jeśli to wojskowa tajemnica — zawołał Brun — czemuż pan ją wyjawia na ulicy?

— Zaraz powiem, dlaczego to robię — wrzeszczał Dubosc do hałasującego tłumu. — Poszedłem do tego człowieka zupełnie prywatnie. Gdyby miał czyste sumienie, mógłby wytłumaczyć się przede mną z całym zaufaniem. On jednak odmówił wyjaśnień. Odesłał mię jak do swych lokajów, do jakichś dwóch nieznanomych, którzy podobno siedzą w tej kawiarni... Wyrzucił mię z domu, lecz ja tam powrócę, prowadząc lud paryski za sobą!...

Dom zdawał się drzeć od krzyków, i padły dwa kamienie, tłukąc balkonowe okno. Nieposiadający się z gniewu pułkownik wpadł znów do bramy i tam krzyczał i bombardował. Tłum stawał się coraz gęstszy, pchał się do sztachet i schodów domu

zdrajcy, i wydawało się, że go wkrótce zdobędą, ni-
czem Bastylję, gdy naraz stłuczone okno otworzyło
się i na balkonie ukazał się dr. Hirsch. Na jego wi-
dok rozległ się śmiech, tak zabawna wydała się po-
stać uczonego. Długa szyja i pochyle ramiona robiły
wrażenie butelki od szampańskiego, ale było to jedy-
ne wrażenie czegoś odświeżającego. Ubranie wisiało na
nim jak na kołku, włosy koloru marchwi, długie
i zmierzwiłone, na policzkach i podbródku porastała
jedna z tych obrzydliwych bród, które zaczynają
rosnąć tuż przy samych ustach. Na oczach miał nie-
bieskie okulary.

Był bardzo blady, ale mówił z taką stanowczo-
ścią, że motłoch uspokoił się już przy trzecim zda-
niu.

— ...ale powiem wam tylko dwie rzeczy. Jedną
przeznaczam dla mych wrogów, drugą — dla przy-
jaciół. Niech więc moi wrogowie wiedzą, że to
prawda, iż nie chciałem się zobaczyć z panem Du-
bosc, chociaż dobijał się do mego pokoju. I to także
prawda, że prosiłem dwóch panów, aby rozmówili
się z nim w mojem zastępstwie. A dlaczego? Dlate-
go, że widzenie się z nim sprzeciwiłoby się prawom
godności i honoru. Zanim mię sądy oczyszczą z za-
rzutu, inne zadośćuczynienie winien mi dać ten pan,
więc, odwołując się do mych sekundantów, jestem...

Armagnac i Brun machali kapeluszami zawzię-
cie, a nawet nieprzyjaźnie dotychczas usposobieni wi-
dzowie hałaśliwie oklaskiwali to nieoczekiwane wy-

zwanie. Wobec tego zgiełku niepodobna było dosłyszeć dalszych zdań. Po chwili, gdy się nieco uspokoiło, usłyszano:

— Przyjaciele moi wiedzą, że wolałbym zawsze broń bardziej intelektualną i taka powinna wystarczyć kulturalnej ludzkości. Nasze własne przekonania są główną siłą, wpływającą z nas samych i dziedzicznych naszych instynktów. Moje dzieła zyskały uznanie, teorie me są niezbitą prawdą, cierpię jednak prawie fizycznie, widząc, że Francuzi czują ku mnie jakieś uprzedzenie. Nie umiem mówić jak Clemenceau lub Deroulée, gdyż słowa ich są jak echo ich pistoletów, Francuzów uważa się za urodzonych zwolenników pojedynków, jak Anglików za sportsmenów. Dobrze więc, spłacę tę barbarzyńską daninę i na resztę życia okupię sobie spokój.

W bramie ukazał się Dubosc z miną zadowoloną, a z tłumu wystąpiło dwóch mężczyzn, ofiarowując mu swe usługi. Jeden z nich był prostym żołnierzem.

— Proszę mną rozporządzać — odezwał się. — Jestem ksiązę de Valognes.

Drugi, tęgi mężczyzna, który siedział przy stoliku w kawiarni z księdzem, wystąpił również naprzód, mimo iż go ksiądz powstrzymywał.)

* * *

W Café Charlemagne nakrywano już do wczesnego obiadu. Nie było tam szklanego dachu i złocistych sztukateryj, ale goście znajdowali się pod

prawdziwym dachem delikatnych liści. Drzewa rosły dość gęsto i dawały złudę cienistego parku.

Przy jednym ze środkowych stolików siedział samotnie krępy księżyna i kazał sobie podać porcję małych rybek. Zwykle jadał bardzo skromnie, miewał jednak czasami napady zbyt kownych gustów, można więc było go nazwać umiarkowanym epikurejczykiem. Nie odrywał oczu od talerza, obłożonego czerwonym pieprzem, cytrynami, razowym chlebem z masłem i tym podobnemi przysmakami, poukładanemi symetrycznie, gdy naraz na stół jego padł długi cień i przyjaciel jego Flambeau zasiadł naprzeciwko. Flambeau był bez humoru.

— Niebardzo podoba mi się ta sprawa — odezwał się. — Stałem po stronie francuskich wojskowych jak Dubosc, a mam przeciw sobie francuskich ateistów jak Hirsch. A zdaje mi się, żeśmy się pomylili. Postanowiliśmy razem z księciem zbadać całą rzecz i jestem zadowolony, żeśmy to uczynili.

— Więc list ten jest sfałszowany? — spytał książdz.

— Jest w tem coś dziwnego — odrzekł Flambeau. — Podobne jest zupełnie do pisma Hirscha, nikt nie może mieć co do tego żadnej wątpliwości, a jednak nie jest pisane przez Hirscha. Jeżeli jest francuskim patryjotą, nie mógł tego napisać, bo daje w nim informacje Niemcom, a jeżeli jest niemieckim szpiegiem, to też nie mógł tego pisać, bo... nie daje żadnych informacji Niemcom...

— Uważasz, że informacje te są błędne? — spytał Ojciec Brown.

— Błędne. I to właśnie w tem, gdzie mogłyby być dobre, bo chodzi o tę skrytkę w jego własnem biurze z tym wzorem chemicznym.

Zdobywszy pozwolenie dra Hirscha i władz, poszliśmy z księciem do biura i zbadaliśmy szufladę, w której Hirsch przechowuje swoją tajemnicę. Jesteśmy więc jedynemi osobami prócz wynalazcy i ministra wojny, którzy są w to wtajemniczeni. Ale minister pragnął uchronić Hirscha od pojedynku i dlatego dał pozwolenie. No i rzeczywiście nie możemy stać po stronie pułkownika Dubosc, ponieważ jego rewelacje są absurdalne.

— Więc są absurdalne?

— Są. Jest to tak niezdarne fałszerstwo, popełnione przez kogoś, kto nie wie nic o prawdziwej skrytce. Pisze, że skrytka z dokumentem znajduje się w lewej szafce, a w rzeczywistości szafka ze skrytką jest z prawej strony. Pisze, że szara koperta zawiera duży dokument pisany czerwonym atramentem. Wcale nie jest pisany czerwonym, tylko zwycajnym — czarnym. Byłoby absurdem twierdzić, że Hirsch mógł się omylić. Nikt prócz niego nie wiedział, jaki papier znajduje się w kopercie. Pocóżby naprowadzał na fałszywy ślad zagranicznego złodzieja, każąc mu grzebać w innej zupełnie szufladzie? Myślę, że trzeba dać pokój wszystkiemu i przeprosić tę starą Marchew.

Ojciec Brown zamyślił się. Wziął na widelec małą rybkę.

— Czy jesteś pewien, że szara koperta znajduje się w prawej szufladzie?

— Zupełnie pewien. Zresztą szara koperta jest właściwie białą kopertą...

Ojciec Brown położył małą, srebrną rybkę razem z widelcem i wpatrzył się w przyjaciela.

— Co? — zapytał zmienionym głosem.

— Co niby? — powtórzył zapytanie Flambeau, sam teraz zabierając się z apetytem do jedzenia.

— Nie jest szara? Flambeau, przerażasz mię!

— Nie wiem, czem, u diabła, mogę księdza przerażać?

— Idzie mi o białą kopertę — odparł ksiądz poważnie. — Gdybyż chociaż koperta była szara! Na Boga! powinna być szara! Ale ona jest biała, więc cała ta sprawa jest czarna! Doktor coś tam spartaczył!

— Ależ mówię księdzu, że on nie mógł pisać tej notatki! — zawołał Flambeau. — Notatka zupełnie przeczy faktom. A doktor Hirsch, winny czy niewinny, wie przecież o faktach!

— Ktoś, co napisał tę notatkę, wie na pewno dokładnie o faktach — przyznał ksiądz spokojnie. — Nie mógłby dać fałszywej wskazówki, nie wiedząc o tem. Wiedziałeś na pewno doskonale w każdym wypadku, ile razy omyliłeś się... trochę umyślnie.

— Więc ksiądz sądzi?...

— Sądzę, że człowiek, który mówi kłamstwo, mógłby powiedzieć i prawdę... — mówił ksiądz stanowczym głosem. — Przypuśćmy, że ktoś każe ci wyszukać dom z zielonemi drzwiami i niebieskimi żaluzjami, z ogrodem przed domem, a nie za domem, gdzie trzymają psa, nie kota, i gdzie piją stale kawę, a nie herbatę. Mógłbyś powiedzieć, że jeżeli ci się nie udało znaleźć takiego domu, to widocznie go wcale niema. Ale ja będę innego zdania. Powiem, że jeśliś znalazł dom o niebieskich drzwiach, a zielonych żaluzjach, gdzie ogród znajduje się za domem a nie przed domem, gdzie hodują koty, a do psów natychmiast strzelają, gdzie herbatę piją kwartami, a kawa jest wzbroniona — to powinieneś wiedzieć, żeś ten dom już znalazł. Ten, co ci kazał szukać tego domu, musiał zbyt dobrze go znać, aby mógł być tak niedokładnym.

— Więc co o tem myśleć?

— Nie wiem! Nie mogę tego pojąć, nie mogę zrozumieć całej tej sprawy! Dopóki chodziło o prawą szufladę zamiast lewej, o czerwony atrament zamiast czarnego, myślałem, że zachodzą tu tylko pewne niedokładności w fałszerstwie. Ale trójka jest cyfrą mistyczną... na niej kończy się sprawa... tak, na niej kończy się cała sprawa... Że miejsce, gdzie się znajduje skrytka, kolor koperty i kolor atramentu nie zgadzają się z rzeczywistością — przypadkiem, niepodobna, aby się zgadzały przez zbieg okoliczności... Nieprawdaż?

— Więc cóż w tem jest? — spytał Flambeau, nie przerywając jedzenia. — Zdrada?

— Nic innego nie może być, tylko... — mówił ksiądz, dziwnie zmieszany. — Myślę, że to może być... Tak! nigdy nie rozumiałem dobrze sprawy Dreyfusa. Łatwiej mi jest ująć każdy moralny dowód niż wszelki inny. Śledząc wzrok i głos ludzki, wiem, czego ty nie wiesz. Mogę powiedzieć, czy rodzina tego człowieka jest szczęśliwa, co on lubi, a czego nie znosi... A w sprawie Dreyfusa byłem zakłopotany. Nie dlatego, że obie strony oskarżały się o straszne rzeczy... Doszedłem do przekonania, że (niebardzo to w stylu współczesnym) im natura ludzka stoi na wyższym szczeblu kultury, tem pochopniej staje się Beatrix Cenci lub Borgią. Nie mam na myśli politycznych partyj, szeregi ich są zwykle cnotliwe, a często wyprowadzane w pole. Myślę o osobach dramatu, myślę o spiskowcach, o ile oni byli spiskowcami, myślę o zdrajcy, o ile on był zdrajcą. Mam na myśli ludzi, którzy musieli znać prawdę. Dreyfus bronił się jak człowiek pewny swej krzywdy, a francuscy mężowie stanu i władze wojskowe widziały w nim nie pokrzywdzonego, lecz obwinionego. Nie twierdzę, że postępowali dobrze, mówię, że postępowali tak, jak-gdyby byli pewni swego.

— No, dobrze, ale co mamy zrobić ze starym Hirschem?

— Przypuszczam, że ktoś, będąc w posiadaniu tajemnicy, dał nieprzyjacielowi informacje, ponieważ

były to fałszywe informacje. Może ten ktoś myślał, że w ten sposób broni swego kraju, okłamując nieprzyjaciela. Może uwikłał się w koła szpiegowskie, może pożyczono mu pieniędzy i w ten sposób wciągnięto go w zasadzkę. Może nie mogąc dłużej milczeć, postanowił jednak nie powiedzieć prawdy. Mógł z czystym sumieniem twierdzić: „Nie zdradziłem tajemnicy nieprzyjacielowi, bo powiedziałem, że dokument znajduje się w prawej szufladzie...” Mniej czysta strona jego sumienia szepnęła mu: „A nieprzyjaciel był pewien, że mówię prawdę...” Takie wyjaśnienie jest najbardziej psychologicznie zrozumiałe — w naszym oświeconym wieku.

— Może być psychologicznie zrozumiałe i tak można było bronić Dreyfusa, jeżeli miało się pewność, że jest pokrzywdzony, i gdy ze strony sędziów też była pewność, że był winny, lecz takie rozumowanie nie byłoby ścisłe, gdyż ten dokument Dreyfusa (o ile to był jego dokument) był w zupełnym porządku.

— Nie myślałem w tej chwili o Dreyfusie — odrzekł Ojciec Brown

Stoliki opustoszały, i coraz ciszej było dokoła nich. Było już późno, chociaż promienie słoneczne błąkały się jeszcze gdzieś niedaleko, zawikłane między gałęziami drzew. Ciszę tę przerwał Flambeau, zmieniając nagle miejsce i trącając łokciem krzesło.

— A więc — odezwał się jeszcze bardziej cierpkim tonem — jeżeli Hirsch jest zwykłym zdrajcą...

— Nie bądź zbyt surowy dla takich ludzi — mitygował go Ojciec Brown łagodnie. — To nie jest ich wina, że nie rządzą się instynktem. Mam na myśli ten instynkt, który każe kobiecie nie tańczyć z pewnym mężczyzną, lub mężczyźnie nie pozwala ruszyć kapitału. W pojęciu zaś tamtych ludzi jest to kwestja rozumowania.

— Tłumaczenie takie niewiele mu pomoże, więc niema o czem mówić. Ten Dubosc może trochę warijować, ale nie można zaprzeczyć, że jest patryjotą.

Ojciec Brown zajadał w milczeniu swoje rybki. Było coś w sposobie tego jedzenia, że Flambeau zwrócił zirytowane spojrzenie na swego towarzysza, kończącego z apetytem posiłek.

— Co nareszcie ksiądz o tem myśli? Ksiądz uważa, że Dubosc ma rację? Ksiądz o nim nie wątpi?

— Mój przyjacielu — westchnął biedny ksiądz, kładąc nóż i widelec z pewną desperacją — ja o wszystkim wątpię, a szczególnie o tem, co się dzisiaj stało. Wogóle wątpię o całej tej sprawie, chociaż rozegrała się przed mojami oczami, wątpię o wszystkim, co dziś od rana widziałem. W całej tej sprawie jest zupełnie coś innego niż w każdej detektywnej sprawie, gdzie jeden człowiek mniej lub więcej kłamie, a drugi mniej lub więcej mówi prawdę. Ci dwaj ludzie... Już zresztą mówiłem ci o różnych przypuszczeniach, które powinnyby wszystkich zadowolić, mnie jednak nie zadawałają...

— Ani mnie — odparł Flambeau, marszcząc

brwi, a ksiądz z rezygnacją zabrał się znów do swoich rybek. — Jeżeli wszystkie przypuszczenia księdza opierają się na stwierdzeniu, że ta notatka zawiera same sprzeczności, to przyznaję, że jest to niezwykle bystre, ale... jak ksiądz je nazwie?...

— Ja nazwę je subtelnem — odrzekł szybko ksiądz. — Nazwałbym je niezwykle subtelnem. Tylko że w tej całej sprawie jest coś dziwnego. Kłamstwo jest zupełnie sztubackie. Mogą być tylko trzy kombinacje: Dubosca, Hirscha i moja, czyli to, co ja sobie wyobrażam. Albo ta notatka była pisana przez francuskiego oficera, by zdyskredytować francuskiego urzędnika, albo była pisana przez francuskiego urzędnika na korzyść niemieckiego państwa, albo była pisana przez francuskiego oficera, aby w błąd wprowadzić niemieckie państwo. Ty sobie naturalnie wyobrażasz, że takie pismo, krążące między podobnymi ludźmi, powinno całkiem inaczej wyglądać. Powinno być szyfrowane z pewnemi skrótami, z pewnemi naukowemi technicznemi wyrażeniami... Ono zaś wygląda całkiem zwyczajnie bez żadnych omówień jak w bajce: „W tajemniczej grocie znajdziesz złotą szkatułkę...” Robi to wrażenie, jakgdyby... samo chciało być przejrane nawylot...

Nie skończył, gdyż do kawiarni jak wicher wpadł wojskowy francuski, i zanim się spostrzegli, zasiadł koło nich przy stole.

— Mam nadzwyczajne wiadomości — odezwał się książę de Valognes. — Przychodzę właśnie od

naszego pułkownika. Pakuje się i opuszcza kraj. Prosi, aby go wytłumaczyć przed wszystkimi *sur le terrain*.

— Co? — krzyknął Flambeau z niedowierzaniem. — Przeprasza?...

— Tak — mruknął książę — i to teraz... kiedy miecze są już wyciągnięte... Obaj z panem mamy podać to do wiadomości, a on sam wyjeżdża...

— Co on sobie myśli? — krzyczał Flambeau — przecież nie zląkł się chyba tego niezdarnego Hirscha!... Do diabła z nim! — wrzeszczał z zupełnie usprawiedliwioną wściekłością. — Kto może się bać takiego Hirscha?...

— To chyba jakiś spisek — burknął de Valognes — spisek Żydów i masonów... ku pogębieniu dra Hirscha...

Jakoś jedynie księdza Browna wiadomość ta nie wyprowadziła z równowagi, a nawet znać było, że jest zadowolony. Niewiele można było wymiarkować, czy już wie wszystko, czy też nic nie wie. W każdym razie na twarzy czał się dziwny wyraz, a Flambeau, znając dobrze swego przyjaciela, domyślał się, że ksiądz nie ma już żadnych wątpliwości. Ojciec Brown w milczeniu kończył wreszcie swe rybki.

— Kiedy pan się widział z tym sławnym pułkownikiem? — gniewnie pytał się Flambeau.

— Udał się do hotelu Saint Louis przez Pola Elizejskie, a kiedy przyszliśmy do niego, zaczął się już pakować, jak już mówiłem.

— Czy jest tam jeszcze, jak się panu zdaje? — pytał zachmurzony Flambeau

— Nie mógł chyba jeszcze wyjechać — odparł książę. — Pakował się do długiej podróży.

— E, nie... — odezwał się spokojnym głosem Ojciec Brown, wstając nagle od stołu — do bardzo krótkiej podróży... Na pewno do jak najkrótszej... Ale możemy go jeszcze przyłapać, jeżeli weźmiemy auto.

Podczas całej drogi był ciągle zamyślony, i gdy auto stanęło na rogu, poprowadził swoich towarzyszy w uliczkę, pogrążoną w cieniach zapadającego zmroku. Gdy książę zapytał niecierpliwie, czy Hirsch jest winny zdrady, czy nie, odpowiedział odniechcenia:

— Nie, jeno jak Cezar zawinił nazbyt wygórowaną ambicją. — I dodał dość niekonsekwentnie: — Prowadzi bardzo samotne życie, musiał wreszcie zrobić coś i dla siebie...

— Jeżeli więc jest ambitny, powinien teraz być zadowolony — odezwał się Flambeau z goryczą. — Cały Paryż będzie wiwatował na jego cześć, zwłaszcza, gdy ten przekłety pułkownik da nura.

— Nie mów tak głośno — ostrzegł go ksiądz, zniżając głos. — Właśnie ten twój przekłety pułkownik idzie przed nami.

Dwaj towarzysze drgnęli i cofnęli się w cień muru, ujrawszy krzepką postać pułkownika, kryjącą się w mrokach nocy. Niósł w każdej ręce walizkę. Wyglądał tak samo, jak przed paru godzinami, prócz te-

go, że swoje góralskie portczyny zmienił na przyzwoitszą parę spodni. Widocznie zmykał już z hotelu.

Uliczka, którą szli, wyglądała jak tylna część kulis za sceną. Jedną jej stronę zamykał mur, niewyraźnego koloru, przerywany w niektórych miejscach drzwiami o brudnych, wyblakłych barwach i niczem szczególnie nie odznaczających się prócz napisów, nabazgranych kredą przez łobuzerję. Z nad muru ukazywały się gdzie niegdzie wierzchołki drzew, a poza niemi, w tajemniczym, szarym zmierzchu dojrzeć można było fragmenty wysokich domów paryskich, osuwających się tarasami i zwartych szczelnie niby grzbiet niedostępnych marmurowych gór. Z drugiej strony uliczki błyszczały złożone sztachety mrocznego parku.

Flambeau oglądał się dokoła dość podejrzliwie.

— Wiecie — odezwał się — to miejsce dziwnie mi jakoś wygląda...

— Patrzcie! — zawołał nagle ksiązę. — Gdzieś się podział! Znikł jak kamfora!

— To nic — uspokoił ich ksiądz. — Ma przy sobie klucz. Wszedł tylko do tego ogrodu przez jedną z tych furtek.

Rzeczywiście usłyszeli w tej chwili trzaśnięcie furtki właśnie przed nosem Flambeau. Stał więc przed nią i gryzł węża ze złości i ciekawości. Nagle wyciągnął swe długie ramiona i jak małpa wdrapał się na mur. Na szczycie tej ściany i na tle ciemnego

nieba ukazała się jego postać niby jeden z wierzchołków drzew.

Ksiązę spojrział na księdza.

— Bardzo sprytnie ten Dubosc obmyślił swoją ucieczkę, ale sądzę, że wyjedzie z Francji.

— On zewsząd wyjedzie — odrzekł Ojciec Brown. Oczy księcia zabłysły; zniżył głos.

— Przypuszcza ksiądz samobójstwo?

— Nie znajdzie pan jego ciała.

— Już wiem, co to za miejsce! — rozległ się okrzyk stojącego na murze Flambeau. — Przecież na ten zaułek wychodzą tyły domów z ulicy, na której mieszka Hirsch!... Poznaje doskonale! To przecież jego własny dom!...

— A tam Dubosc poszedł — krzyknął ksiązę, uderzając się po bokach. — Widocznie tam odbędzie się ich pojedynek! — I z francuską żywością, ruchów skoczył na mur, siadając koło Flambeau i machając nogami z podnieceniem. Tylko ksiądz, niewzruszony, oparł się plecami o mur i, nie zwracając już na nic uwagi, wpatrywał się bacznie w rozkołysane drzewa między sztachetami parku.

W księciu drzemały utajone arystokratyczne instynkty i wolał się przyglądać domowi niż zapuszczać szpiegowskie oko. Lecz instynkty Flambeau były bardziej godne rzezimieszka (a może detektywa), więc spuścił się z muru na samotne rozwidlone drzewo, skąd mógł się przysunąć do jedyne go oświetlonego okna w ciemnym zupełnie domu.

Czerwona roleta kryła okno, ale że była trochę skrzywiona, utworzyła się z boku szpara, i Flambeau, wyciągnawszy szyję, mógł dojrzeć, jak pułkownik Dubosc przechadzał się po rześście oświetlonej i wspaniale umeblowanej sypalni.

— A więc jednak odbędzie się ten pojedynek — odezwał się, bo chociaż odsunął się nieco od swych towarzyszy, mógł jednak z nimi rozmawiać.

— Nie odbędzie się nigdy — odrzekł Ojciec Brown. — Hirsch miał rację, mówiąc, że w takich sprawach osoby główne nie powinny się spotykać. Czytał pan może tę dziwną psychologiczną powieść Henryka James'a, gdzie dwie osoby, którym przypadek nie pozwala się nigdy spotkać, zaczynają się obawiać siebie wzajemnie i podejrzывать, że to jakieś fatum ich ściga. Tutaj właśnie jest coś podobnego, tylko o wiele ciekawsze.

— Znajdą się jeszcze ludzie w Paryżu, którzy potrafią wyleczyć ich z tych chorobliwych urojeń — groził de Valognes. — Spotkają się z wielką przyjemnością, jeżeli ich przyłapiemy i zmusimy do bicia się!

— Nawet w Dniu Sądu Ostatecznego nie spotkają się — odparł ksiądz. — Gdyby sam nawet Wszechmocny Bóg otwierał szranki boju, a sam święty Michał zatrąbił na skrzyżowanie mieczów, gdyby jeden z nich stanął gotowy — drugi nie mógłby się zjawić...

— Eh! baję mi tu ksiądz o jakichś mistycz-

mach! — zawołał ksiązę de Valognes zniecierpliwiony. — Dlaczego by, u diabła, nie mieli się spotkać jak wszyscy ludzie?

— Bo każdy z nich jest zaprzeczeniem drugiego — odrzekł ksiądz z dziwnym uśmiechem. — Jeden musi przeczyć istnieniu drugiego. Wykreślają się po prostu wzajemnie.

Wpatrywał się w ciemniejące drzewa, gdy nagle ksiązę zwrócił głowę ku Flambeau, słysząc jego stłumiony okrzyk. Inwestygator, wpatrując się w oświetlony pokój, zobaczył, że pułkownik, przeszedłszy parę kroków, zaczął zdejmować ubranie. Sądził zrazu, że Dubosc robi przygotowania do pojedynku, lecz szybko tę myśl odrzucił. Cała krzepkość i silna budowa Dubosca znikła wraz z jego ubraniem. Skoro pozostał w koszuli i spodniach, stał się niezwykle wątłym mężczyzną. Zbliżył się do łazienki, nie w żadnym wojowniczym celu, ale po prostu, aby się umyć. Nachylił się nad miednicą, umył się, wytarł ociekającą wodą ręce i twarz ręcznikiem i powrócił do pokoju. Światło padło mu wprost na twarz. Cała opalenizna znikła i wąsy czarne też znikły, był zupełnie gładko wygolony i bardzo blady. Po pułkowniku pozostały tylko żywe jastrzębie oczy.

Tymczasem pod murem Ojciec Brown oddawał się zwykłym swoim medytacjom, mrucząc do siebie:

— Tak, stało się to, co przewidywałem. Te dwie

sprzeczności przestały działać. Nie mogą już działać... Nie mogą się bić... To, co było czarne, stało się białe i słabe, w miejsce silnego... i tak dalej... I w tem jest cała tajemnica, moi państwo... tak, moi państwo, cała tajemnica... Jeden z tych mężczyzn jest niby brunetem, drugi blondynem, jeden krzepki, drugi wątły, jeden silny, drugi słaby... Jeden ma wąsy, a nie ma brody, tak, że można dojrzeć jego usta, drugi ma brodę, a nie ma wąsów i nie można zobaczyć jego podbródka. Jeden ma włosy krótko strzyżone i szyję, okręconą szarfą, drugi ma niski kołnierzyk, a długie włosy kryją szyję. Zbyt to wszystko jest dokładne, proszę państwa, i w tem leżał klucz całej tajemnicy... Wszystko jest tu sprzeczne. Gdy jeden ukazuje się, drugi znika... Niby twarz i maska, albo dziurka od klucza i klucz...

Flambeau z twarzą pobladłą zaglądał do pokoju. Intruz w sypialni Hirscha stał obrócony plecami do okna, lecz twarz jego można było widzieć w lustrze. Widać więc było, jak umieszczał sobie dokoła twarzy oprawę z czerwonych włosów, opadających w nieładzie dokoła szczęk i podbródka. Szydercze usta pozostawały odsłonięte. Ta blada twarz, odbita w lustrze, przypominała oblicze Judasza, śmiejącego się złowrogo, które otaczały chwiejące się płomienie ognia piekielnego. Przez sekundę dojrzał Flambeau, jak okrutne, o czerwonych brwiach oczy zabłysły, zanim przysłonięte zostały niebieskimi okularami. Zarzuciwszy na siebie obszerny czarny tużurek, po-

stać ta znikła w pokojach, wiodących ku frontowi domu.

W chwilę później dała się słyszeć z ulicy powitalna wrzawa, obwieszczająca, że doktor Hirsch ponownie ukazał się na balkonie.

CZŁOWIEK W PASAŻU.

Na dwóch krańcach pasażu, biegnącego obok teatru Apollo przy ulicy Adelphi, ukazało się jednocześnie dwóch mężczyzn. Na ulicach mimo zbliżającego się wieczoru było zupełnie widno, i światło dzienne jeszcze silnie opalizowało w próżni, w długim jednak pasażu było tak ciemno, że każdy z mężczyzn widział tylko czarną sylwetkę drugiego. Mimo to jeden drugiego poznał doskonale. Nietrudno to może było, bo sylwetki te były bardzo charakterystyczne, a przytem nienawidzili się serdecznie.

U wylotu jednego końca tego krytego pasażu szły schody ulicy Adelphi, drugi kończył się tarasem, wychodzącym na ozłoconą promieniami słońca rzekę. Jedną ścianę pasażu stanowił mur, wzniesiony dla wzmocnienia starej, nieczynnej już restauracji teatralnej, na drugiej ścianie przy obu wylotach było dwoje drzwi. Żadne z nich nie prowadziły na scenę, były to specjalne wyjścia, przeznaczone dla uprzywilejowanych aktorów. Wybitni artyści lubią korzystać

z osobnego wejścia, by móc przyjmować znajomych, lub unikać ich.

Obaj ci mężczyźni byli widocznie takimi znajomymi, którzy wiedzieli o istnieniu tych wejść, i wiedzieli, że zostaną im otwarte; zbliżali się więc z obu stron tunelu z pewnością i ufnością. Nie z jednakowym pośpiechem wszakże. Ten, który miał dłuższą drogę do przebycia, szedł śpieszniej, bo szedł z dalszego końca tunelu. Obaj więc przybyli przed tajemne drzwi w jednym czasie. Skłonili się sobie uprzejmie, przez chwilę czekali, wreszcie jeden z nich, ten, który śpieszniej szedł i widocznie mniej był cierpliwy, zastukał do drzwi.

Obaj ci ludzie byli przystojni, inteligentni i znani szeroko w Londynie. Każdy z nich odmiennej zażywał sławy, jak i każdy z nich był odmiennej urody i temperamentu.

Sir Wilson Seymour należał do ludzi, o których wiele się mówi we wszystkich społecznych kołach. Bardzo inteligentny należał przynajmniej do dwudziestu nieinteligentnych komitetów. Interesował się wszystkim, zarówno reformą Królewskiej Akademji, jak i projektem bimetalizmu Wielkiej Brytanji. W sferach zaś artystycznych był wyrocznią. Rozmówienie jego w sztukach pięknych i prawdziwe ich znawstwo nasuwały wątpliwości, azali to nie jest wielki arystokrata, który życie swe poświęcił sztuce pięknej, czy też wielki artysta, którego popiera arystokracja. Bądź co bądź, każdy, kto choć przez

chwilę z nim rozmawiał, czuł, że rozmowa ta musi wywrzeć wielki wpływ na jego całe życie.

Postać jego była „dystyngowana“ w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Wyraz ten we francuskim języku oznacza „wyróżniający się“, otóż postać sir Wilsona Seymoura była podobna do wielu innych, a jednak wyróżniała się od wszystkich. Moda nie znalazłaby żadnego błędu w jego wysokim cylindrze, a jednak różnił się od wszystkich modnych cylindrów; może był odrobinę wyższy, a może miał taki fason, że wyglądał na wyższy. Sir Wilson był wysoki, szczupły, trzymał się nieco pochyło, nie wyglądało to jednak na osłabienie. Mimo włosów, lekko wysrebrzonych, nie wyglądał staro. Włosy nosił dłuższe niż wszyscy, lekko sfalowane, a jednak na pewno nie ręką fryzjera, nie miał mimo to wyglądu zniewieściałego. Starannie utrzymana, spięzasta bródka nadawała twarzy wyraz bardziej męski, prawie wojskowy, jaki mają starzy admirałowie Velasqueza, którego szerniałych portretów pełno było w jego domu.

Szare rękawiczki miały odcień bardziej niebieskawy, niż wymagała moda, laska ze srebrną rączką była dłuższa, niż te setki lasek, jakich pełno w teatrach i restauracjach.

Drugi mężczyzna nie był tak wysoki, nie można go było jednak nazwać niskim. Wyglądał silnie i urodziwie. Włosy miał również kędzierzawe, lecz jasne i przyszyżone krótko na silnej głowie, takiej

głowie, o której mówi Chaucer, że może wysadzić drzwi. Wąsy i barczyste ramiona mówiłyby o karierze wojskowej, gdyby nie para szczerych, przenikliwych, niebieskich oczu, jakie częściej widzimy u żeglarzy. Twarz miała zarys nieco kwadratowy, szczęki też odcinały się pod skórą trochę kwadratowo, ramiona opadały także pod kątem prostym, nawet czarne ubranie wyglądało jakoś kwadratowo. Skorzystał z tego Max Beerbohm i w karykaturze oddał jego postać jako czwartą księgę Euklidesa.

W kraju był równie znany, jak i sir Wilson Seymour, tylko, że zajmowano się nim w inny sposób. Nie trzeba było szukać wytwornych kół towarzyskich, aby usłyszeć o kapitanie Cutlerze, o oblężeniu Hong-kong i wielkim marszu przez Chiny. Wszędzie go znano, wszędzie o nim mówiono. Pełno było pocztówek z jego portretami, mapki jego bitew podawano we wszystkich pismach ilustrowanych, piosenki na jego cześć śpiewano we wszystkich music-hallach i wygrywano na wszystkich katarynkach. Sława jego, może krótkotrwała, była stokroć głośniejsza, popularniejsza i okazywana mu bardziej spontanicznie niż innym sławnym ludziom. Większość Anglików uważała, że kapitan Cutler dorównywa Nelsonowi, a jednak zażywał mniejszej powagi w kraju niż sir Wilson Seymour.

Otworzył im drzwi jakiś służący, czy też zarządzający garderobą, którego zniszczona twarz, starcza figura i czarne wyszarzałe ubranie dziwnie nie

licowały z przepysznie urządzonem wnętrzem garderoby wielkiej artystki.

Wszystkie ściany i kąty zawieszone były lustrami, światło załamywało się w nich tak, że pokój robił wrażenie wielkiego brylantu. Cały przepych urządzenia, masa kwiatów, poduszek jedwabnych, strzępy kostjumów scenicznych, rozmnażały się w tych zwierciadłach w oszalamiający sposób jak w czarodziejskim pałacu; poruszyły się, zmieniały miejsce bezustannie, gdy służący odsuwał które z luster lub przysuwał je do ściany.

Obaj goście powitali Parkinsona i spytali o pannę Aurorę Rome. Parkinson odpowiedział, że jest w drugim pokoju, ale może ją poprosić. Chmura przepłynęła przez czoła obu gości. Drugi pokój należał do sławnego aktora, z którym panna Aurora występowała razem, a jej osóbką była tego rodzaju, że nie umiała niecić uwielbienia, nie rozżarzając jednocześnie zazdrości.

Nie upłynęło pół minuty, gdy drzwi się otworzyły i weszła mieszkanka tego pokoju. Gdy wchodziła na scenę czy też do salonu, witała ją zwykle głęboka cisza, która starczyła za najgorętsze oklaski. Miała na sobie strój z zielonego w pawim odcieniu atłasu, który miał połysk zielono-niebieskiego metalu, tak ulubiony przez dzieci i estetów. Ciężkie, gorąco kasztanowate włosy okalały twarz niebezpieczną dla wszystkich mężczyzn, lecz specjalnie nie-

bezpieczną dla młodych chłopców i siwiejących panów.

Występowała obecnie w towarzystwie swego amerykańskiego kolegi, sławnego Izydora Bruno, w niezwykle poetycznej i fantastycznej interpretacji *Snu Nocy Letniej*, gdzie głównymi osobami były Oberon i Tytania czyli Bruno i ona. Na tle bajkowych dekoracyj, poruszany rytmem czarodziejskiego tańca kostjum zielony jak rozwinięte skrzydła chrząszcza podkreślał subtelną indywidualność Królowej Elfów. Teraz jednak, w jasnym świetle dziennym, stanęła przed oczyma męskimi piękna tylko kobieta.

Przywitała swych gości uprzejmym, lecz chłodnym uśmiechem, który potrafi utrzymać w pewnej odległości mężczyznę.

Kapitan Cutler, równie gorący i hojny tak w boju, jak i w miłości, ofiarował jej pęk pięknych kwiatów. Od sir Wilsona przyjęła zupełnie innego rodzaju podarunek, ofiarowany w chwilę później i bardziej nonszalancko. Byłoby to wbrew jego zasadom okazać pośpiech i dawać rzeczy tak banalne jak kwiaty.

Trafił mu się drozbiazg, jak mówił, dość ciekawy. Był to starożytny grecki sztylet z epoki myce-nejskiej, używany zapewne w czasach Tezeusza i Hypolita. Był z miedzi jak wszelka ówczesna broń, ale zachował jeszcze piękny kształt i ostrość na tyle, że można nim było się skaleczyć. Właśnie zwrócił

na siebie uwagę sir Wilsona tym kształtem liścia, kształtem tak nieskazitelny, jak sylwetka greckiej wazy. Jeżeli równie podoba się pannie Rome, lub może przyda się jej do której sztuki, ma nadzieję, że ona...

Otworzyły się nagle drzwi, i ukazała się potężna postać, będąca silniejszym kontrastem sir Wilsona, niż kapitana Cutlera. Przeszło sześć stóp wysoki, z bardziej rozwiniętymi, niż potrzeby teatru wymagały, mięśniami, z narzuconą wspaniałą lamparcią skórą na złociste ubranie Oberona, wyglądał jak barbarzyński bóg. W ręku trzymał coś w rodzaju łowieckiej włóczni, która z oddali, z widowni teatralnej wyglądała jak srebrzysta różdżka, lecz w małym natłoczonym pokoju dość pospolicie jak zwykła dzida, mimo to też dość groźnie. Żywe, czarne oczy patrzyły namiętnie, ciemna twarz, w której odznaczały się kości policzkowe i błyszczały białe zęby, rodziła przypuszczenie, że pochodził z amerykańskich plantacji południowych.

— Auroro — zaczął. Głos miał miękki, pieściwy, drżący namiętnością, która tak wzrusza audytoryum. —... czy zechcesz...

Przerwał, gdyż we drzwiach ukazała się szósta osoba, a była to postać tak niepasująca do tego otoczenia, że prawie komiczna. Był to maleńki jegość w ubraniu katolickiego księdza, który wyglądał (głównie wobec Aurory i Bruna) jak wystrugany z drzewa Noe, wychodzący z arki.

— Zdaje się, że panna Rome posyłała po mnie...

Bystry obserwator zauważyłby odrazu, że emocjonalna temperatura wzrosła jeszcze bardziej po tak nieemocjonalnej przerwie. Ukazanie się zawodowego celibatora wyjawilo obecnym tu mężczyznom, że dokoła tej kobiety tworzą pierścień rozamorowanych rywali, jak wejście do pokoju człowieka w zaśnieżonym ubraniu nasuwa spostrzeżenie, że w pokoju jest ciepło jak w piecu. Obecność jednego niezakochanego mężczyzny przypomniła, że wszyscy są zakochani, a każdy z nich nawet niebezpiecznie. Aktor z apetytem dzikusa lub rozkapryszonego dziecka, żołnierz ze zwykłym samolubstwem człowieka, przywykłego do tego, że w nim rządzi wola nie rozsądek, Wilson Seymour ze specjalnem namaszczeniem, z jakim starzy hedoniści dosiadają ulubionego konika. Nawet ten stary Parkinson, który znał ją jeszcze, zanim została sławną, teraz wodzi za nią oczyma i chodzi za nią krok w krok, zapatrzony niemym wzrokiem wiernego psa.

Bystry obserwator mógłby zauważyć jeszcze dziwniejszą rzecz. Ten przybysz, (któremu też nie brakło zmysłu obserwacyjnego), podobny do Noego, wystruganego z czarnego drzewa, spostrzegł odrazu z wielką, lecz ukrywaną uciechą, że sławna Aurora, jakkolwiek nieobojętna na hołdy innej płci, miała ochotę pozbyć się wszystkich swych wielbieli i pozostać sam na sam z człowiekiem, który jej wcale nie podziwiał, a właściwie nie podziwiał w ten

sposób, co inni, gdyż należy przyznać, że maleńki księżulek pełen był podziwu dla kobiecej dyplomacji, z jaką starała się przeprowadzić swój zamiar. Może to była jedyna rzecz, którą Aurora umiała sprytnie robić, jako przedstawicielka drugiej połowy ludzkości.

Książdz przyglądał się niby napoleońskiej kampanji, jak zręcznie i sprytnie wyprawiała jednego po drugim, nie pozbywając się nikogo. Bruno, ten olbrzym, był tak naiwny, że można mu było bez ceremonji, niby w napadzie złego humoru, kazać wyjść i trzasnąć za nim drzwiami. Cutler, angielski oficer, dość powoli myślący, lecz wrażliwy na obejście, nie był czuły na delikatne napomnienie, lecz okazał się bardzo czuły na wyraźne zlecenie pani swego serca. Ze starym Seymourem trzeba było inaczej postąpić i pozostawić go na ostatek. Aby go ruszyć z miejsca, należało się zwrócić jak do starego przyjaciela, prawie, że wtajemniczyć.

Książdz naprawdę był pełen podziwu dla miss Rome, jak udało się jej to przeprowadzić.

Zbliżyła się do kapitana Cutlera i rzekła ze słodką minką:

— Ogromnie cenię otrzymane od pana kwiaty, bo są ulubionemi pańskimi kwiatami. Ale przyjemność będzie jeszcze większa, gdy znajdzie się między niemi i mój ulubiony kwiat. Mam nadzieję, że pan postara się jeszcze o kilka pięknych lilij, bardzo się ucieszę, naprawdę...

Wydalenie Bruna niewiele zajęło czasu. Oddawszy swą włóczęnię niby berło gestem lorda żalosnemu Parkinsonowi, zaczął się usadowiać na zarzuconym poduszkami fotelu jak na tronie. Gdy usłyszał jednak słodki głos Aurory, zwrócony do Cutlera, w opalowych źrenicach rozpałała się cała zuchwałość niewolnika. Zacisnął olbrzymie, brązowe pięści, kopnął drzwi, prowadzące do jego garderoby, i zniknął za niemi.

Jednak zmobilizowanie armji angielskiej nie poszło tak łatwo, jakby się mogło zdawać. Oficer wstał rzeczywiście odrazu i sztywnym krokiem pomaszerował ku drzwiom, bez gniewu, jakby na słowo rozkazu. Lecz było coś widocznie w postawie nie dbale ułożonego w swym fotelu Seymoura, że Cutler, wychodząc, zwrócił ku niemu głowę i popatrzył nań gniewnym wzrokiem.

— Muszę temu nieborakowi powiedzieć, gdzie ma je kupić — szepnęła Aurora Seymourowi i wyszła za próg za Cutlerem.

Wytworny sir Wilson, niby obojętny zupełnie, chwilę nadśluchiwał i widocznie uspokoił się, usłyszawszy, że Aurora daje tylko objaśnienia Cutlerowi. Lecz nagle odwróciła się szybko i, śmiejąc się, pobiegła pasażem na drugi koniec, który kończył się tarasem nad Tamizą. Brwi Seymoura zbiegły się. Człowiek na jego stanowisku miewa zazwyczaj wielu współzawodników, a on w tej chwili przypomniawszy sobie, że właśnie w tamtej stronie pasażu znajdują

się drzwi do prywatnego mieszkania Bruna. Nie stracił nic ze swej dystynkcji. Wyrzekł do Ojca Browna parę uwag o wskrzeszeniu architektury bizantyńskiej w katedrze Westminsterskiej, a potem zupełnie spokojnym krokiem wyszedł z pokoju w górną stronę pasażu.

W pokoju więc pozostał ojciec Brown z Parkinsonem. Żaden z nich nie okazywał wielkiej chęci do konwersacji. Lokaj chodził po pokoju, wysuwając naprzód lustra, to znów je wsuwając zpowrotem. Podniszczone jego ubranie bardziej jeszcze raziło, od chwili, gdy wziął do ręki berło Oberona.

Ile razy poruszył ramą którego z luster, ukazywała się w niem postać Ojca Browna. Ten śmieszny lustrzany pokój przepełniony był Ojcami Brown. Niektóre z tych postaci unosiły się pod sufitem jak aniołowie, inne znów przewracały kozły jak akrobaci, to odwracały się plecami jak źle wychowane osoby. Ojciec Brown nie zwracał jednak uwagi na tę chmarę świadków, tylko śledził wzrokiem ruchy Parkinsona, dopóki ten ze swą śmieszną włócznią nie znikł w sąsiednim pokoju Bruna.

Książdz pozostał sam i oddał się abstrakcyjnym medytacjom, któremi lubił zazwyczaj zabawiać się — obliczał kąty luster, kąty każdego odbicia, który z tych kątów musi wypaść na ścianę... gdy nagle usłyszał silny, zdławiony krzyk.

Zerwał się z miejsca i nadsłuchiwał. W tej chwili

li wpadł sir Wilson Seymour do pokoju, blady jak ściana.

— Co to za człowiek w pasażu? — krzyczał. — Gdzie jest mój sztylet?

Zanim Ojciec Brown zdążył poruszyć z miejsca swe ciężkie buty, Seymour zaczął po pokoju szukać gorączkowo broni, lecz zanim znalazł, usłyszano ciężkie kroki, i kwadratowa twarz Cutlera ukazała się we drzwiach. Śmiesznie wyglądał z wiązką lilij w rękę.

— Co to jest? — wołał. — Kto tam łązi w pasażu? Pewnie znów jakiś pański kawał!

— Mój kawał? — syknął blady rywal i skoczył ku niemu.

Tymczasem Ojciec Brown wyjrzał przeze drzwi i naraz ruszył szybkim krokiem ku końcowi pasażu. Obaj zaś rywale porzucili sprzeczkę i wybiegli za nim. Cutler wołał:

— Co pan tam robi? Kto pan jest?

— Nazywam się Brown — odrzekł ksiądz smutnie. Był schylony nad czymś, a teraz wyprostował się. — Panna Rome przysłała po mnie, i przyszedłem, jak mogłem najszybciej. Ale przyszedłem za późno...

Trzej mężczyźni spojrzeli. Na pewno dla jednego z nich życie w tej chwili straciło całą wartość. Środkiem pasażu światło kładło się złotą ścieżką, a na niem leżała Aurora Rome, połyskująca swą suknią zieloną, z zamarłą twarzą, zwróconą ku gó-

rze. Rozdarta suknia, może w walce, odsłaniała prawe nagie ramię, lecz rana, z której krew się sączyła, była z drugiej strony. O kilka kroków dalej leżał napłask miedziany sztylet.

Zapadła taka cisza, że słychać było śmiechy kwiaciarek z poza Charing Cross i gwizdanie na taksówkę z jednej ulic Strandu. Naraz kapitan uchwycił Seymoura za gardło ruchem tak nagłym, można go było dwojako tłumaczyć, albo jako odruch namiętnego wzburzenia, lub obmyślany gest teatralny.

Seymour patrzył na niego, nie próbując się bronić, lecz bez strachu.

— Nie potrzebujesz mię pan zabijać — wyrzekł zupełnie spokojnym tonem. — Zrobię to sam, bez niczyjej pomocy...

Ręka kapitana rozluźniła uścisk i opadła, tamten zaś dodał z mrozącą szczerością:

— Jeżeli zabraknie mi odwagi do odebrania życia tym sztyletem, wystarczy mi miesiąc upijania się.

— Upijanie pańskie nie wystarczy mi — odrzekł kapitan. — Muszę mieć zapłatę z krwi, zanim umrę. Nie pańskiej krwi... wiem już czyjej!...

Zanim mogli domyślić się, co chce uczynić, podniósł sztylet, podbiegł do drzwi w tamtym końcu pasaży, otworzył je gwałtownie i znalazł się w garderobie Bruna.

Tymczasem Parkinson wyjrzał przeze drzwi i ujrzał leżące ciało. Chwiejnym krokiem zbliżył się,

spojrzał na nie błędnym wzrokiem, równie chwiejnie wrócił do garderoby i usiadł nagle na jednym z zarzuconych poduszkami krzeseł. Ojciec Brown pośpieszył natychmiast do niego, nie zwracając już uwagi na Cutlera i aktora, chociaż pokój drżał od ciosów, gdyż zaczęli walczyć o sztylet. Seymour, posiadając najwięcej zimnej krwi, gwizdał na policję z drugiego wylotu pasażu.

Policja przedewszystkiem musiała rozdzielić obu mężczyzn, uczeplonych w małą sposób za bary, a po kilku formalnych zapytaniach aresztować Izydora Bruno, pod zarzutem morderstwa, oskarżonego przez rozjuszonego przeciwnika.

Policja jest także wrażliwa na sławę, jak i dziennikarze, nie było więc jej obojętne, że sławny bohater narodowy własną ręką oddaje władzy przestępcę. Okazywali mu przytem wiele uszanowania i zwrócili uwagę, że na ręce ma lekkie skaleczenie. Stało się to wtedy, gdy Cutler wykręcał swego przeciwnika, wyginając go plecami na stół, Bruno zdołał uchwycić sztylet i skaleczyć kapitana w przegub ręki. Rana była zupełnie lekka, lecz gdy kapitan wychodził z pokoju, półdziki więzień patrzył na płynącą krew z uśmiechem.

— Wygląda jak jaki kanibal — odezwał się konstabl konfidencko do Cutlera.

Kapitan nic na to nie odpowiedział. Po chwili wybuchnął z rozpaczą.

— A więc byliśmy obecni... przy śmierci...

— Śmierci dwóch osób... — dał się słyszeć głos księdza z drugiego kąta pokoju. — Ten biedaczysko umarł, zanim zbliżyłem się ku niemu...

Stał, patrząc na starego Parkinsona, siedzącego niedbale na wspaniałem krześle. Zapłacił też haracz i to bardzo wymowny, kobiecie umarłej.

Ciszę przerwał Cutler, którego to, zdaje się, nie-bardzo wzruszało.

— Chciałbym być na jego miejscu — wyrzekł ochrypłym głosem. — Pamiętam, że zawsze był przy niej, zawsze siedł za nią jak cień. Ona była jego powietrzem, powietrza zabrakło, więc umarł.

— Wszyscyśmy umarli... — odrzekł na to dziwnym głosem Seymour, patrząc na drogę.

Żegnali się z Ojcem Brownem na rogu ulicy, przepraszając za bezwiedną może niegrzeczność. Wszystkich twarze miały wyraz tragiczny.

Mózg niepozornego księżulka przypominał królikarnię, w której myśli jak płochliwe zwierzątka skakały zbyt szybko, by je można było uchwycić. Tylko jak biały króliczy ogonek migała stale płoszona myśl, że jakkolwiek niema żadnej wątpliwości co do smutku obu tych panów, nie jest jednak zupełnie pewien ich niewinności.

— Chodźmy już — westchnął smutnie Seymour. — Zrobiliśmy, co mogliśmy zrobić.

— Czy zechce pan zrozumieć moje motywy — zwrócił się Ojciec Brown łagodnie do Cutlera, — jeżeli powiem, że zrobił pan wszystko, aby zranić...

Obaj spojrzeli na niego z pewną obawą, a Cutler zawołał ostro:

— Zranić? Kogo?

— Zranić się samemu — odparł ksiądz. — Nie chciałbym panu jeszcze przysparzać przykrości, ale czuję się w obowiązku go ostrzec. Jeżeli aktora uniewinnią, pan będzie w podejrzeniu. Mnie wezwą na świadka i będę musiał zeznać, że gdy do uszu moich doszedł krzyk, każdy z panów pokolei wpadał do pokoju zmieszany, szukając sztyletu. Ja będę przysięgał, ale i panowie będziecie przysięgali. Ażeby więc panom nie stała się krzywda, kapitan Cutler musiał się sam zranić.

— Sam się zranić! — zawołał kapitan z pogardą. — Takie lekkie zadraśnięcie!

— Z którego jednak krew popłynęła — odparł ksiądz spokojnie. — Teraz wiemy, że to jest pańska krew na sztylcie, a nie będziemy wiedzieli, czy przedtem była jaka krew na nim.

Zamilkł.

— Ależ ja widziałem jakiegoś człowieka w pasażu! — zaprotestował dobitnie Seymour.

— Tak, wiem o tem — odparł ksiądz z obojętną twarzą. — To samo mówił kapitan Cutler. I to właśnie wydaje się nieprawdopodobne.

Zanim zrozumieli sens tych słów i zdobyli się na odpowiedź, Ojciec Brown pożegnał się szybko i odszedł, stukając głośno parasolem.

W gazetach współczesnych najwięcej miejsca zajmują wiadomości policyjne. Przyznać należy, że w XX wieku większą wagę przywiązują do zbrodniarzy, niż do polityków, pewnie dlatego, że zbrodnia jest o wiele poważniejszą kwestją niż polityka. Żadna jednak sprawa chyba tyle miejsca nie zajęła, co „Sprawa aktora Bruna“, czyli „Tajemnica pasażu“ w prasie londyńskiej i prowincjonalnej. Tem większe było zainteresowanie, że prasa nic dodać nie mogła, sprawozdania z badań wstępnych nie wносиły nic nowego do sprawy. Osoby, grające jakieś role w tym dramacie, nie miały nic w sobie zagadkowego. Ofiara była znaną, lubianą aktorką, oskarżony — znany, lubianym aktorem. Przyłapał go prawie na gorącym uczynku ceniony przez całe społeczeństwo żołnierz. Te całkiem niepodejrzane, dokładne okoliczności paraliżowały prasę. Rozwiązanie tej istotnie oryginalnej sprawy można uzupełnić ze sprawozdań procesu.

*

*

*

Sprawie przewodniczył sędzia Monkhouse, znany ze swej żartobliwości, a jednak był to bardzo poważny człowiek, tylko, że nadmiernie solenne traktowanie każdej sprawy wytrącało go z równowagi i objawiało się zjadliwym dowcipem. Należy przyznać, że każdy do zbytku poważny sędzia jest w gruncie rzeczy pełen pustoty — czyli próżności.

Główne osoby dramatu zażywały niepowседневnej sławy, ale i przedstawiciele prawa nie ustępowali im wcale. Oskarżycielem był sir Walter Cowdroy, poważny i ceniony adwokat, jeden z tych, którzy potrafią być Anglikami i zasługiwać na zaufanie, jak również olśniewać krasomóstwem, nie siląc się na nie. Obrońcą oskarżonego był Mr. Patrick Butler, niedoceniany przez ludzi, nie umiejących zrozumieć Irlandczyka, jak i przez tych, którzy nie byli przez niego badani.

W lekarskiem sprawozdaniu nie znaleziono też żadnych sprzeczności. Zdanie doktora, wezwanego przez sir Wilsona Seymoura, zgadzało się ze zdaniem chirurga, który później badał ciało. Śmiertelna rana w serce, z której umarła Aurora Rome, zadana była ostrem narzędziem, nożem czy sztyletem o krótkiem ostrzu. Gdy doktor po raz pierwszy ją badał, upłynęło niespełna dwadzieścia minut od jej śmierci, a gdy Ojciec Brown nachylił się nad nią, zaledwie trzy.

Następowały zeznania detektywów, którym głównie chodziło o to, aby stwierdzić, czy były jakie ślady walki. Przypuszczenia takie nasuwała rozdarta suknia i zranione ramię, nie miało to jednak znaczenia wobec ostatniego ciosu. Po stwierdzeniu tych wszystkich szczegółów, nie rozjaśniających wcale sprawy, wezwano pierwszego świadka.

Sir Wilson Seymour złożył swe zeznanie. Uczynił to, jak zwykle wszystko czynił, to jest bez zarzutu.

Jakkolwiek bardziej sławny niż sędzia, zatuszował lekko wielkość swej osoby przed Sądem Królewskim, i jakkolwiek w oczach ogółu nie ustępował wcale premierowi lub arcybiskupowi Canterbury, przemawiał jednak jak zwykły gentleman, ale koniecznie jak gentleman. Przemawiał równie jasno, jak na posiedzeniach komitetowych.

Był u panny Rome, tam spotkał się z kapitanem Cutlerem, tam przybył również na krótką chwilę i oskarżony, który jednak powrócił zaraz do swej garderoby. Tam przyszedł także i ksiądz katolicki, zaproszony przez nieboszczkę. Powiedział, że nazywa się Brown. Panna Rome wyszła z pokoju, aby wskazać kapitanowi Cutlerowi sklep z kwiatami, gdzie miał jej kupić parę lilij. Świadek zaś pozostał w pokoju, zamieniając parę słów z księdzem. Słyszał wyraźnie słowa panny Rome, wysyłającej kapitana, i słyszał, jak w chwilę później biegła ze śmiechem w drugi koniec pasażu, gdzie znajdowały się drzwi do mieszkania oskarżonego. Świadek, zaciekawiony trochę, wysunął głowę za drzwi i spojrzał w tamtą stronę. Czy zobaczył coś w pasażu? Tak, zobaczył.

Sir Walter Cowdroy pozwolił na chwilę zamilknąć świadkowi, który, zdaje się, zbladł jeszcze bardziej. Wreszcie prawnik, zniżając głos, brzmiały sympatją i współczuciem, zapytał:

— Czy pan to wyraźnie widział?

Sir Wilson, choć wzruszony, władze umysłowe miał w zupełnym porządku.

— Sylwetkę widziałem bardzo wyraźnie, ale szczegóły, ukryte poza linią sylwetki — niewyraźnie. Pasaż jest tak długi, że każda rzecz wydaje się czarną na tle światła, padającego z wylotu.

Świadek opuścił swe stanowcze spojrzenie i dodał:

— Zauważyłem ten fakt, zanim nadszedł kapitan Cutler.

— A więc — nalegał cierpliwie sędzia — jakaż to była sylwetka? Może to była postać zamordowanej?

— Bynajmniej — odrzekł spokojnie Seymour.

— Kogoż więc przedstawiała? jak pan myśli?

— Zdaje się, że przedstawiała wysokiego mężczyznę.

Każdy z obecnych starał się wlepić wzrok w byle co, bądź w pióro, trzymane w ręku, bądź w książkę lub rączkę parasola, a nawet w buty, byle nie spojrzeć w stronę więźnia. Wszyscy jednak mieli go mimo to przed oczyma, pamiętali, jak jest olbrzymi. Przed wyobraźnią ich spuszczonej oczu potężniał jeszcze bardziej, rósł do gigantycznych rozmiarów.

Cowdroy poprawił się z uroczystą miną na siedzeniu, pogładził jedwabny czarny strój i jedwabiste bokobrody.

Po kilku jeszcze zapytaniach sir Wilson zszedł z miejsca, przeznaczonego dla świadków, gdy naraz zatrzymał go obrońca.

— Jeszcze chwilę zatrzymam pana — odezwał się Butler. Miał minę wieśniaka, który dopiero co się przebudził z drzemki. — Skąd pan wie, że to był mężczyzna?

Lekki, subtelny uśmiech przemknął się przez usta Seymoura.

— Chyba najlepszym dowodem są zawsze spodnie. Gdym wreszcie zobaczył smugę światła między nogami, byłem już zupełnie pewien, że to mężczyzna.

— Gdy wreszcie... już... — powtórzył obrońca. — Więc z początku myślał pan, że to kobieta?

Seymour trochę się zmieszał.

— Trudno na to odpowiedzieć. A jeżeli wolno mi będzie określić moje wrażenie, to oczywiście potrafię to uczynić. Coś było w tej postaci, że nie byłem narazie pewien, czy to kobieta, czy mężczyzna. Linja ciała była jakaś inna. A przytem widziałem jakgdyby dłuższe nieco włosy.

— Dziękuję panu — rzekł Butler i usiadł z nią, że dowiedział się, czego potrzebował.

Zeznania kapitana Cutlera były mniej ścisłe i mniej spokojne niż Seymoura, samo jednak opowiadanie o zaszłych faktach było zupełnie takież samo.

Opowiedział o odejściu Bruna do jego garderoby, o swem pośpiesznem wyjściu po kupno kwiatów, powrót z drugiego końca pasażu, to, co zobaczył w pasażu, podejrzenie, jakie miał co do Seymoura, i swoją walkę z Brunem. Mógłby coprawda tak samo subtelnie, jak Seymour, określić tę czarną sylwetkę,

którą widział również. Zapytany o tę postać, odrzekł nie bez ironji, że nie posiada tyle zmysłu obserwacyjnego i krytycznego, co sir Seymour, a czy to była kobieta, czy mężczyzna, może powiedzieć, że wyglądało to raczej na zwierzę. Miało się wrażenie, że miał na myśli oskarżonego. Był przytem tak szczerze wzruszony i zmartwiony, że Cowdroy szybko powstrzymał dalsze zeznania, które nic nowego nie wносиły do sprawy, a fakty były już dostatecznie wyjaśnione.

Obrońca ze swej strony prosił o pozwolenie zadania krótkiego pytania, które jednak nie było tak krótkie, co było jednak jego zwyczajem.

— Użył pan dziwnego wyrażenia — odezwał się, patrząc na Cutlera śpiącemi oczami. — Co pan chciał powiedzieć przez te słowa, że wyglądało raczej na zwierzę niż na mężczyznę czy kobietę?

Cutlera pytanie to poruszyło.

— Może nie powinienem był tak się wyrazić — odrzekł. — Ale jeżeli takie bydlę ma olbrzymie jak szympanś zgarbione ramiona, a szczecina sterczy mu ze łba jak u świni...

Butler przerwał te ciekawe spostrzeżenia.

— Czyż koniecznie miały być jak u świni? Może takie jak u kobiety?

— U kobiety? — zawołał kapitan. — Nigdy w życiu!

— Tak przynajmniej tłumaczył nam tamten świadek — przekonywał bez żadnego skrupułu obroń-

ca. — Bardzo wymownie nam tłumaczył, że postać owa miała te węzowe, prawie kobiece linje... Nie?... Nie miała linij kobiecych? Więc według pana, postać była bardziej ciężka, kwadratowa?

— Może pochylił się naprzód — odrzekł Cutler słabym, ochrypłym głosem.

— A może się nie pochylił — odparł pan Butler i usiadł.

Trzecim świadkiem, wezwanym przez sir Waltera Cowdroya, był niski katolicki ksiądz, tak niski, że głowę jego zaledwie było widać z poza balustrady i mogło się wydawać, że przed sądem stoi dziecko. Na nieszczęście jednak sir Walter Cowdroy nabił sobie głowę, że Ojciec Brown stoi zapewne po stronie oskarżonego, ponieważ oskarżony był też niedowiarkiem, prócz tego cudzoziemcem, a nawet pochodzenia murzyńskiego. Więc trzymał krótko Ojca Browna i nie pozwolił mu długo rozwodzić się, gdy ten chciał coś wytłumaczyć. Pozwolił mu tylko odpowiadać — tak albo nie — i fakty przedstawiać krótko, bez żadnych jezuickich intryg. Gdy Ojciec Brown chciał w prostocie ducha wytłumaczyć, jak sobie tłumaczy ową postać w pasażu, sędzia przewał mu, mówiąc, że nie ciekaw jest jego teoryj.

— Proszę mi tylko powiedzieć, jak wyglądała ta czarna sylwetka w pasażu, którą wszyscy widzieli?

Ojciec Brown zmrużył oczy jak po otrzymanej naganie, lecz przecież długo uczył się prawdziwego posłuszeństwa.

— Sylwetka była mała, gruba, miała dwa czarne zakrzywione wyrostki po obu stronach głowy, podobne do rogów, ale...

— Ach, naturalnie! djabeł z rogami! — zawołał Cowdroy, siadając zadowolony. — Djabeł się zjawił, aby pożreć protestanckie dusze!...

— Nie — odrzekł z niewzruszonym spokojem ksiądz. — Wiem, kto to był.

Było to może bez sensu, ale zupełnie naturalne, że teraz całe ciało sądowe przestało myśleć o oskarżonym, tylko o owej postaci z pasażu. A postać ta, opisana przez trzech rozumnych, szanowanych mężów, nabierała właściwości niesamowitej zjawy. Jeden twierdził, że to była kobieta, drugi, że zwierzę, trzeci, że djabeł...

Sędzia patrzył na księdza spokojnym, przenikliwym wzrokiem.

— Szczególny z pana świadek. Chciałbym się jednak przekonać, czy pan mówi prawdę. Więc kogoż pan zobaczył w pasażu?

— Siebie samego — odrzekł Ojciec Brown.

Obrońca Butler skoczył na równe nogi i wśród niezwyklej ciszy zapytał: — Proszę o pozwolenie zadania kilku pytań — i nie czekając, rzucił księdzu zupełnie odmienne pytanie:

— Słyszał pan o sztylcie i wie pan, że eksperci orzekli, iż zbrodnia została spełniona narzędziem o krótkim ostrzu?

— O krótkim ostrzu — kiwnął głową uro-

czyście jak sowa Ojciec Brown — ale o bardzo długiej rękojeści.

Zanim słuchacze mogli oswoić się z myślą, że ksiądz widział mordercę, uderzającego krótkim sztyletem o długiej rękojeści (co przejmowało pewną grozą), ksiądz śpiesznie tłumaczył:

— Sądzę, że nietylko sztylety mają krótkie ostrza, włócznie mają również takie same. Włócznię chwyta się za stalowy koniec jak w sztylcie, szczególnie, gdy ma się do czynienia z włócznią teatralną, jak to uczynił biedny Parkinson, gdy zabił swoją żonę. Tegoż właśnie dnia posłała po mnie, abym dopomógł zakończyć jej rodzinne przykrości — a ja, niestety, przyszedłem za późno, niech mi Bóg przebaczył! A zmarły pokutnik — bo umierając, rozpoczął swoją pokutę — nie mógł przeżyć swego czynu!

Wrażenie, wywołane temi słowami, było tak wielkie, że księżuło był strasznie zakłopotany, stojąc tak na widoku.

Sędzia patrzył nań z zaciekawieniem, a obrońca niezwruszony rzucił mu nowe pytanie:

— Jeżeli Parkinson zabił włócznią teatralną, musiał mierzyć z odległości czterech łokci. Skądże więc ślady walki?... rozdarcie sukni na ramieniu?

Właściwie pytanie to powinno było być raczej skierowane do eksperta, a nie do świadka, ale nikt na to nie zwrócił uwagi.

— Pani ta rozdarła suknię, zaczepiwszy ją o hak.

Próbowała się sama oswobodzić, gdy tymczasem wyszedł z pokoju Parkinson i uderzył w nią włócznią.

— O hak? — powtórzył zaciekawiony prawnik.

— O hak od lustra, które wisiało na drzwiach — tłumaczył Ojciec Brown. — Gdy siedziałem sam w garderobie, przyszło mi na myśl, że pewnie w pa-sażu wystaje koniec takiego haka.

Znowu zapadła cisza, wreszcie sędzia przemówił:

— Więc pan przypuszcza, że kiedy pan wyjrzał przeze drzwi, ujrzał pan siebie... w lustrze?

— Tak. Właśnie chciałem to powiedzieć, ale pytano mię tylko o sylwetkę, a że nasze kapelusze mają duże ronda, które zgięte, wyglądają jak rogi, więc ja...

Sędzia pochylił się naprzód, stare oczy ożywiły się jeszcze bardziej, i zapytał dobitnie:

— I pan sądzi, że gdy sir Seymour ujrzał postać o linjach kobiecych a spodniach męskich, to ujrzał siebie samego?

— Na pewno.

— A gdy kapitan zobaczył szympansa ze zgarbionemi ramionami i świńską szczecina, to także siebie zobaczył?

— Z pewnością.

Sędzia oparł się na krzesło z miną, wielce zadowoloną, w której malował się zarówno cynizm, jak i podziw.

— A czy może pan powiedzieć, dlaczego pan siebie poznał w lustrze, a obaj panowie nie potrafili?

Ojciec Brown zmrużył oczy z większą jeszcze przykrością i wyjąkał:

— Nie wiem... ale może dlatego, że ja się tak często w lustrze nie przeglądam.

GŁOWA CEZARA.

Nieskończenie długi szereg wysokich, imponujących zbytkiem i rozmiarami domów Bromptonu lub Kensingtonu przypomina ustawione obok siebie grobowce. Schody, wiodące ku ciemnym drzwiom frontowym, zdają się prowadzić do wnętrza piramid i niejednego przejmują obawą, aby nie spotkać się w nich z mumją, pełniącą obowiązki portjera. Najbardziej jednak przygnębiające wrażenie sprawia bezkresna prawie linja tych szarych, bliźniaczo do siebie podobnych fasad. Idący tedy przechodzień zaczyna wątpić o napotkaniu upragnionej przerwy w tych jednostajnych murach. Tymczasem niespodziewany widok wyrwa mu niemal okrzyk zdziwienia z piersi. Oto staje przed pewnego rodzaju zaułkiem, położonym pomiędzy dwoma wysokimi domami i podobnym wobec szerokości ulicy do szpary we drzwiach. Niemniej ta ciasna szczelina jest w stanie udzielić jeszcze gościny mikroskopijnej knaajpce, gdzie służba stajenna zwykła zaspokajać swój apetyt. Ten nieoczekiwany widok rozwesela ogólną szarzyznę posępnego oto-

czenia i mimo niepozorności jest dziwnie ponętny w swej prostocie. Skromna garkuchnia podobna jest u stóp tych kamiennych olbrzymów do gościnnie oświetlonej sadyby karzełków.

Pewnego jesiennego wieczora w jednym z takich zakątków czyjaś ręka odchyliła czerwoną zazdrostkę, ukazując twarz, niezmiernie przypominającą figlarną twarzyczkę gнома. W istocie jednakże do broduszne to oblicze należało do wielebnego ojca Browna, kapłana z Cobhole w hrabstwie Essex, od niejakiego czasu przebywającego w Londynie.

Przyjaciół jego Flambeau, prywatny detektyw, siedział wpodłę i robił notatki, dotyczące szczegółów świeżo przez siebie wyświeconej w sąsiedztwie sprawy. Usadowili się przy stole, stojącym przy oknie, i wtedy to właśnie ksiądz uchylił owej powabnej firanki i spojrzął przez szybę. Zobaczył jakiegoś przechodnia i opuścił zazdrostkę zpowrotem. Zkolei skierował oczy na białe litery, namalowane na szybie, zerknął mimochodem w stronę sąsiedniego stołu, przy którym jakiś robotnik spożywał ser, zapijając piwem, wreszcie wzrok jego zatrzymał się przez krótką chwilę na rudej dziewczynie, siedzącej skromnie przy szklance mleka. Widząc, że Flambeau chowa notatnik do kieszeni, odezwał się cicho:

— Jeżeli rozporządzasz dziesięcioma minutami, to możebyś poszedł za tym człowiekiem z przyprawionym nosem.

Detektyw okazał coś w rodzaju zdziwienia, któ-

re łatwo dało się zauważyć również i na twarzy rudej dziewczyny. Młódka ta, jakkolwiek nader skromnie ubrana w lekką sukienkę z ciemnego żaglowego płótna, sprawiała wrażenie prawdziwej damy, niewątpliwie należącej do lepszego towarzystwa.

— Człowiek z przyprawionym nosem? — powtórzył Flambeau. — Któż to taki?

— Nie mam pojęcia — odparł ojciec Brown. — Ale chciałbym, żebyś się dowiedział, proszę cię o to bardzo. Poszedł tam! — I skierował wielki palec w stronę swoich pleców jakimś nieokreślonym gestem. — Nie minął jeszcze trzech latarni. Chciałbym tylko wiedzieć, dokąd poszedł.

Flambeau patrzył jakiś czas na przyjaciela, niepewny, czy z niego nie żartuje, wkońcu jednakże powstał od stołu i, przycisnąwszy z trudem swoją imponującą postać przez maleńkie drzwiczki tawerny, rozpląnął się w ciemnościach.

Ojciec Brown wyjął z kieszeni małą książeczkę i jął czytać uważnie. Zdawał się nie wiedzieć o tem, że rudowłosa panna powstała ze swojego miejsca i usiadła naprzeciw niego. Wreszcie pochyliła głowę i zapytała cicho, lecz wyraźnie:

— Dlaczego pan to powiedział? Skąd pan wie, że nos jest przyprawiony?

Podniósł ciężkie powieki, mrugając z zakłopotania, i skierował niepewne spojrzenie ku zbawczym literom, namalowanym na szybie. Oczy młodej panny

podążyły w tym kierunku i z niemałym zdziwieniem spoczęły na białym napisie.

— Nie — odezwał się ojciec Brown, jakby odpowiadając na jej myśli. — To nie znaczy „SELA“ jak w psalmach, sam tak przeczytałem w pierwszej chwili przez roztargnienie... to znaczy „ALES“*).

— Dobrze, ale co to ma do rzeczy? — spytała zdziwiona panna.

Jego zamyślony wzrok błędził po rękawach panińskiej sukienki, ozdobionych przy mankietach artystycznym hafcikiem. Drobnym ten szczegół pozwalał mniemać, że posiadaczka tego robotniczego ubrania nie była jednakże zwykłą robotnicą, lecz prawdopodobnie studentką szkoły artystycznej. Dało to księdzu do myślenia, lecz bynajmniej nie wpłynęło na trafność jego odpowiedzi.

— Widzi pani — rzekł zwolna — zakład ten z zewnątrz wygląda wcale nieźle. Jest to nawet zupełnie przyzwoity lokal, ale i tak damy pani pokroju nie potrafiłyby tego rozpoznać. Podobnych miejsc nigdy nie odwiedzają z własnej woli oprócz...

— Oprócz — powtórzyła.

— Oprócz kilku wykojęzonych, które przychodzą tutaj wcale nie dla mleka.

— Pan jest bardzo dziwny — odpowiedziała młoda osoba. — Nie rozumiem, jaki pan ma cel...

— Bynajmniej nie mam zamiaru pani zakłopo-

*) Piwo

tać — uprzejmie tłumaczył się ksiądz. — Chciałbym tylko przekonać się dostatecznie, abym poproszony o pomoc, mógł jej bez zastrzeżeń pani udzielić.

— A skąd pan przypuszcza, że będę potrzebowała pomocy?

On zaś mówił, jakby sam do siebie:

— Nie przyszła tu pani dla jakiejś ważnej a tajemniczej rozmowy, gdyż zażądałaby pani oddzielnego pokoju... Nie weszła tu pani dlatego, że zrobiło jej się słabo, gdyż zajęłaby się panią gospodyni, będąca wielce szanowną osobą... Zresztą wcale pani nie wygląda na słabą... Raczej robi pani wrażenie istoty prześladowanej... Ta ulica jest rozpaczliwie długa i wydostać się z niej jest bardzo trudno... Z obydwu stron zamykają ją te ponure domy... Mogę jedynie przypuścić, że schroniła się pani w tej tawernie z obawy przed kimś, kogo wołałaby pani nie spotkać twarzą w twarz... Może jest nim ów przechodzień, którego spostrzegłem przez okno zaraz po pani przyjsciu?... Wygląda on aż nadto podejrzanie. W razie napaści proszę liczyć na mnie. Tak, to właśnie chciałem pani powiedzieć... Mój przyjaciel zaraz nadejdzie, i jestem przekonany, że nie odnalazł nikogo... Zbyt mało miał szans.

— Więc pocóż go pan wysłał? — zawołała, pochylając się ku księdzu, ogromnie zaintrygowana. Ożywione, szlachetne rysy jej twarzy zdradzały w tej chwili duże zaciekawienie. Różową cerą i rzymskim wykrojem nosa przypominała Marję Antoninę.

Popatrzył na nią badawczo i odrzekł, nie śpiąc się:

— Bo byłem pewien, że pani zechce ze mną pomówić.

Spojrzała na ścianę ponad jego plecami i pomimo pewnego zaniepokojenia, wywołanego jego słowami, w spojrzeniu tem, jak i w drżących zlekka kącikach jej ust widniała tłumiona wesołość, gdy odezwała się, pokazując białe ząbki:

— A więc pała pan chęcią porozmawiania ze mną... Bardzo pięknie. Mogę tedy spodziewać się, że otrzymam łaskawą odpowiedź, skąd pan wie, że nos tego człowieka jest przyprawny?

— Wosk przy takiej pogodzie zwykł zawsze zmieniać kolor — odpowiedział z prostotą ksiądz.

— Ależ to jest taki zakrzywiony nos! — zauważyła panna.

Ksiądz uśmiechnął się.

— Nie sędzę, aby ktoś przyprawiał sobie nos dla przypodobania się damom. Przypuszczam nawet, że ten pan nosi nos z wosku dlatego tylko, że jego nos rodzony jest może nieco kształtniejszy.

— A to znów dlaczego?

— Hm, jak to brzmi owa piosenka dziecinna: „Był sobie krzywy pan, szedł sobie krzywą drogą...” Otóż i ten pan chadza widocznie krzywą drogą wślad za swoim niezbyt pięknym nosem.

— Co? Co on robi? — zapytała najwidoczniej poruszona.

— Nie mam wcale zamiaru wymuszać na pani zwierzeń — odpowiedział Ojciec Brown spokojnie — ale wydaje mi się, że nie ja, lecz właśnie pani mogłaby udzielić o nim cenniejszych informacji.

Dziewczyna powstała nagle i zacisnęła pięści, jakby chcąc odeprzeć iluzoryczny cios ze strony zbyt ciekawego księdza, lecz paluszki jej wnet rozkurczyły się i usiadła zpowrotem.

— Nieuzasadniony niepokój bywa zwykle najdokuczliwszy — zauważył gderliwie ksiądz.

— Powiem panu wszystko — rzekła rudowłosa panna niechętnie. — Wszystko oprócz przyczyny, dla której to mówię, i oprócz tego, czego nie wiem. — I skubiąc pocerowaną serwetę, zaczęła:

— Pan sprawia wrażenie człowieka, rozumiejącego dokładnie wszystkie pozytywne i negatywne cechy snobizmu, więc gdy wyjawię, że należę do wielce szanownej i starej rodziny, to powinien pan zrozumieć, czemu to wyznanie jest niezbędne w całości opowiadania. W istocie ogromne niebezpieczeństwo zawisło nadę mną z powodu poglądów mojego brata, który przywiązuje wielką wagę do *noblesse oblige* i innych tego rodzaju przyjemności. Nazywam się Christabel Carstairs, ojciec mój był pułkownikiem, musiał pan zresztą o nim słyszeć, jako o znanym kolekcjoniście starych monet rzymskich. Nie potrafiłabym z pewnością określić trafnie mojego ojca, mogę jedynie powiedzieć, że sam był podobny do rzymskiej monety. Był to człowiek rów-

nie piękny i czysty i z niemniej szlachetnego kruszcu ulany, jak umiłowane przez niego monety. Kolekcję swoją cenił więcej od zbioru broni, trudno jest mi nawet wyrazić, jak bardzo był z niej dumny. Temu niezwykłemu charakterowi odpowiadała silna, nieugięta wola, granicząca z despotyzmem. Oprócz mnie miał jeszcze dwóch synów. Z jednym z moich braci, Giles'em, poróżnił się o coś, więc wyprawił go do Australji, udzieliwszy mu niewielkiego zasiłku. W testamencie całą swoją kolekcję przekazał mojemu bratu Arturowi. Rzeczą prostą uważał to wyróżnienie za zaszczyt. Chciał w ten sposób wynagrodzić swojego syna za nieskazitelną prawość, za pilność i postępy, okazywane w czasie jego matematycznych i ekonomicznych studjów w Cambridge. Mnie przypadła w udziale wcale okrągła fortuna, którą ojciec mój zwykł był zresztą lekceważyć. Pan zapewne przypuszcza, że Artur miał prawo uskarżać się na taki wybór? Otóż nie powstało mu to nawet w głowie, wszak był on drugim, poprawnem wydaniem naszego ojca... Jakkolwiek w młodzieńczych latach miewał niejednokrotnie odmienne od niego zapatrywania, to jednakże po odziedziczeniu kolekcji stał się jej prawdziwym, całkowicie oddanym kapłanem. Łączył te rzymskie groszaki z honorem rodu Carstairs'ów w taki sam nieugięty, bałwochwalczy sposób, jak to ojciec przed nim czynił. Postępował tak, jakgdyby pieniądz rzymski mógł być wyłącznie strzeżony przez wcielenie wszystkich cnót rzymskich. Nie

znał żadnych rozrywek, nic na siebie nie wydawał, żył całkowicie dla tej kolekcji. Niejednokrotnie nie chciał zadawać sobie trudu dla spożycia niewyszukanego obiadu, tylko snuł się pośród swoich umiłowanych rulonów, owiniętych starannie w brązowy papier (inaczej nie wolno było ich dotknąć), w starym brunatnym szlafroku. Sznury i chwosty tego luźnego stroju i blada wychudła twarz robiły go podobnym do ascetycznego mnicha. Czasami jednak ukazywał się wytwornie ubrany, ale zdarzało się to jedynie wtedy, gdy udawał się do Londynu z zamiarem zrobienia jakiegoś nowego nabytku dla kolekcji Carstairs'ów.

Lękam się, aby nie wziął mi pan tego za złe, ale muszę ze skruczą wyznać, że miałam usposobienie zupełnie odmienne. Nie powinno tedy pana zdziwić, że starożytnych Rzymian uważałam, owszem, za ludzi wielce czcigodnych, ale ich nie lubiłam i czułabym się szczęśliwa, gdyby ich pozostawiono w spokoju. Kochając życie i jego radości, nie rozumiałam nudnego i sztywnego Artura. Po kądzieli oprócz rudych włosów odziedziczyłam wiele staroświeckiego romantyzmu. Biedny Giles był taki sam, i chociaż rzeczywiście zawinił i o mały włos nie dostał się do więzienia, to jednakże myślę, że zatechła atmosfera owych obrzydłych monet powinna go przynajmniej trochę usprawiedliwiać. Lecz nie popełnił on takiego występku, jak ja, o czym pan zaraz usłyszysz.

Zbliżam się do najgłupszej części opowiadania.

Myślę, że taki bystry człowiek jak pan potrafi bez trudu domyślić się, w jaki sposób młoda, siedemnastoletnia wiosna licząca i wybitnie samowolna dziewczyna mogła sobie urozmaicać monotonię życia. Jednakże nie umiałam połapać się w swoich uczuciach. Do dzisiaj nie wiem, czy powinnam się ich wstydzić jako przelotnej miłości, czy też uważać za bolesny cios w rodzaju złamanego serca... Mieszkaliśmy w małej miejscowości nadmorskiej południowej Walji. Obok nas mieszkał emerytowany kapitan marynarki, który miał syna o pięć lat ode mnie starszego, ten zaś przyjaźnił się z Giles'em przed jego wyjazdem do kolonii. Mój chłopak nazywał się Filip Hawker. Wdzi pan, że nic nie ukrywam, jakkolwiek nazwisko to nie powinno nikogo obchodzić. Razem brodziliśmy po morzu, poławiając krewetki, i kochaliśmy się bardzo, przynajmniej on nieraz mi o tem mówił, a ja... ja myślałam... chyba, że go także kochałam. Jeżeli powiem, że miał ciemne, kędzierzawe włosy i dra pieżną twarz, opaloną przez morskie wichry, to nie dla zaspokojenia pańskiej ciekawości, lecz że szczególnie ten stał się pośrednią przyczyną mojego występu...

Pewnego letniego popołudnia stałam we drzwiach naszego domu, wybierając się z Filipem na krewetki, gdy zobaczyłam Artura, niosącego kilka paczek, niewątpliwie zawierających świeżo zakupione monety. Widziałam, jak przeglądał je po drodze, kierując się do swojego ciemnego gabinetu, znajdującego się

wtyle domu i służącego zarazem za muzeum. Gdy wreszcie ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim, skończyłam po swoją siatkę i miałam biec nad morze, lecz nagle spostrzegłam pod oknem błyszczący pieniądz, najwidoczniej zgubiony przez mego brata. Była to bronzowa moneta, oczywiście rzymska, a wybita na niej głowa budową smukłej szyi, rysunkiem swego rzymskiego nosa, jak i kolorem, do złudzenia przypominała Filipa Hawkera. Przypomniałam sobie, że w swoim czasie Giles opowiadał o jakiejś monecie, na której miała istnieć podobizna Filipa, i że ten koniecznie chciał ją zdobyć. Może pan sobie wyobrazić, jakie szalone myśli zrodziły się w mojej głowie. Oto same niebiosa zsyłają mi cudowny dar, któremu odrazu zaczęłam przypisywać najniezwyklesze właściwości. Zdawało mi się, że gdybym pobiegła z tym pieniążkiem do Filipa i ofiarowała mu, niby jakiś osobliwy pierścień zaręczynowy, to związałby on nas na wieki. Tysiące takich myśli przelatywało mi przez głowę. A jednak tkwiła w głębi mojego mózgu świadomość tego, co czynię, straszna myśl, nieznośna jak dotknięcie gorącego żelaza, co Artur na to powie.. Okropność!... Członek rodziny Carstairs'ów — złodziejem i to złodziejem rodowego skarbu!... Byłam przekonana, że brat mój za taki występek z przyjemnością zobaczyłby mnie płonąca na stosie, niby średniowieczną czarownicę. Sama myśl o tem pogłębiała jeszcze nurtującą we mnie nienawiść do tych starych zaśniedziałych rupieci i wzma-

gała tęsknotę za młodością i swobodą, oczekującą mnie nad morzem. Na dworze było słońce i silny wiatr. Żółte kiście janowca czy też ostów uderzały o szybę. Wydało mi się, że to życie samo wzywa mnie ku sobie, a narzucony szacunek dla bezduszných, starych monet począł nagle we mnie topnieć. To natura toczyła walkę z kolekcją Carstairs'ów.

Przyzna pan, że natura jest mocniejsza od naszej kolekcji. Gdy zaciskając w dłoni małą brązową monetę, biegłam nad morze, czułam na barkach ciężar całego imperjum rzymskiego, niemniej przytłaczający od genealogicznego drzewa Castairs'ów. Nietylko nasz stary lew herbowy ryczał mi uszach... Wszystkie orły Cezarów biły skrzydłami i dziko krakały, goniąc za mną. Pomimo to radość mnie wprost rozpierała. Wreszcie przebrnęłam piaszczyste wydmy i znalazłam się na plaży, gdzie Filip czekał już na mnie, stojąc po kostki w odległości paruset łokci od brzegu w płytkiej błyszczącej wodzie. Słońce zachodziło krwawo, i olbrzymia wodna powierzchnia wyglądała, niby morze rubinowego ognia. Pozbyłam się szybko bucików i pończoch i pośpieszyłam do mojego chłopaka. Idąc, obejrzałam się dookoła. Byliśmy zupełnie sami wśród morza i mokrego piasku. Wtedy dałam mu tę monetę z głową Cezara.

Nagle uczułam wstrząśnienie. Doznałam wrażenia, że jakiś człowiek, stojący daleko na piaszczystych diunach, patrzy na mnie badawczo. Jednakże zdałam sobie natychmiast sprawę, że to pewno broją

moje podrażnione nerwy. Ów domniemany człowiek był tak daleko od nas, że tworzył zaledwie czarny punkcik i mógł równie dobrze patrzeć na mewy, na zachód słońca lub na przepływający właśnie na horyzoncie statek. Nie miałam zgoła żadnych logicznych podstaw do niepokojącego przeświadczenia, że jestem obserwowana. Jednakże mój wstrząs nerwowy był widocznie wywołany złowrogiem przeczuciem, w tej samej bowiem chwili ów punkcik poruszył się i, przybierając coraz wyraźniejsze kształty ludzkie, począł zbliżać się w naszą stronę. Po chwili mogłam już swobodnie rozróżnić, że był to brodaty mężczyzna w ciemnych okularach, ubrany całkowicie na czarno, począwszy od kapelusza i skończywszy na mocnych butach. Naogół wyglądał biednie, lecz przyzwoicie. Nie zdejmując swych solidnych butów, wszedł w morze i zbliżał się ku mnie z fatalizmem zabłąkanej kuli.

Trudno opisać mi zgrozę, która mną owładnęła na widok łatwości, z jaką przekroczył granicę pomiędzy lądem i morzem. Robiło to wrażenie, jakgdyby znalazłszy się wobec rozległej płaszczyzny skalnej, szedł teraz w powietrzu. Gdyby się był chociaż chwilkę zawahał przed wejściem do wody, nie doznałabym takiego osobliwego wrażenia, teraz zaś wydało mi się, że żadna przeszkoda, nawet bezmiar oceanu, nie zdołałaby go w drodze ku mnie zatrzymać. Filip stał kilka kroków za mną, nachylony nad swoją siatką. Zamoczony do kolan nieznajomy zbli-

żył się do mnie i odezwał się z przesadną grzecznością:

— Czy wielką przykrość zrobiłoby pani umieszczenie tej monety pod cokolwiek zmienionym adresem? —

Poza pewnym szczegółem nic w nim nie było nienaturalnego. Ciemne szkła jego okularów okazały się zbliżone nie czarne, lecz pocziwie niebieskie, zaś w badawczo utkwionych we mnie oczach nie mogłam również dostrzec przebiegłości. Ciemna broda nie była znowuż tak bardzo długa i zaniedbana, tylko że zarastała mu połowę twarzy, zaczynając się tuż pod kośćmi policzkowymi. Cery bynajmniej nie miał niezdrowej, przeciwnie, wyglądał młodo i świeżo, lecz jej karnacja przypominała białoróżowy wosk, co budziło we mnie, sama nie wiem dlaczego, uczucie zgrozy. Jedynym nienaturalnym szczegółem w jego twarzy był nos, nawet zupełnie kształtny, tylko lekko na końcu zagięty, jakgdyby był miękki i zakrzywiono go drewnianym młotkiem. Był to może wrodzony defekt, lecz na mnie sprawiało to wrażenie wręcz niesamowite. Gdy tak stał w ozłoconej słońcem wodzie, wydał mi się jakąś stworą piekielną, która rycząc, wynurzyła się z morza krwi. Nie wiem dlaczego, ale najbardziej przygnębił mnie ten nos. Byłam przekonana, że może nosem tym władać, niby palcem; i nawet wydało mi się, że przed chwilą nim poruszył.

— Przy dobrej woli ze strony pani — prawili

tym samym przesadnym tonem — nie będę zmuszony uciec się do skomunikowania się z pani rodziną.

Spadło to na mnie jak grom... Stało się tedy. Jestem zhańbiona na wieki kradzieżą tego nieszczęsnego pieniądza... Lecz nagle wszystkie moje obawy i przygnębienie pierzchły wobec ważkiego i nader praktycznego zagadnienia: skąd on o tem wie? Ukradłam ten drobiazg prawie bezwiednie i w pośpiechu, wreszcie byłam wtedy zupełnie sama, gdyż zwykle starałam się wybiegać na spotkania z Filipem tak, aby mnie nikt nie widział. Nikt również za mną nie pobiegł, a gdyby nawet tak było, to musiałby chyba przeświecić promieniami Rentgena moją zaciśniętą dłoń, aby dojrzeć schowany w niej pieniądz. Człowiek, stojący na dalekich wydmach, nie mógł również żadną miarą dostrzec, jak wręczałam monetę Filipowi.

— Filipie! — zawołałam bezradnie — spytaj, proszę, tego pana, czego sobie życzy!

Gdy wreszcie Filip podniósł głowę z nad siatki, miał twarz czerwoną, jakby zakłopotaną lub nadąsaną. Zresztą może to krew napłynęła mu do twarzy skutkiem nachylenia, albo zachodzące słońce rzuciło mu na nią swój odbłask. Odezwał się szorstko do przybysza:

— Proszę się odczepić! — i skinął na mnie, abym szła za nim, nie zwracając na nikogo uwagi. Staął na kamiennej tamie, wznoszącej się z morza i łączącej się z brzegiem. Może sądził, że nasz prze-

śladowca zrezygnuje z niebezpiecznej wędrówki po nierównych, oślizgłych od wilgoci głazach. Niestety, intruz chodził niegorzej, niż się wyrażał, to też w drodze do wydmy nie przestawał brzmieć mi w uszach jego cichy, natrętny głos. Gdy znaleźliśmy się już na piaszczystym wzgórzu, Filip stracił nagle cierpliwość (nie spodziewałam się do tej pory po nim, że ma ją tak wyrobioną) i, obejrzawszy się raptownie, zawołał:

— Ruszaj precz! nie mam zamiaru gadać z tobą dłużej! — a widząc, że to nie skutkuje, schwycił go za ramiona i zepchnął z wydmy. Natręt potoczył się niezgrabnie nadół. Widziałam go jeszcze, jak gramolił się, cały utyłłany w piasku.

Jakkolwiek mogłam odpokutować interwencję Filipa, to jednakże poczułam się nią uspokojona, natomiast po moim chłopaku nie znać było zadowolenia, rzekłabym nawet, że stracił dużo z wrodzonej mu pewności siebie i mina mocno mu zrzędła. Zatrzymał się przed swoją bramą, i zanim zdążyłam zapytać go o powód jego zastanawiającego zachowania, wypowiedział nieoczekiwane dwie uwagi, które wprawiły mnie w osłupienie. Naprzód zakomunikował mi, że zważywszy wszystkie okoliczności, powinno się monetę zwrócić kolekcji Carstairs'ów, ale że on, Filip, zatrzyma ją pomimo to, „jako podarunek“. Potem zaś zauważył mimochodem: „czy wiesz, że Giles przyjechał do kraju?“

W tem miejscu swojego opowiadania panna

Christabel zamilkła, gdyż otworzono drzwi garkuchni i olbrzymi cień Flambeau'a padł na stół. Ojciec Brown przedstawił detektywa dziewczęciu, nadmieniając przekonywująco, że przyjaciel jego jest człowiekiem zewszeczmiar zasługującym na sympatję i zaufanie. Flambeau skłonił się i, zajmwszy swoje miejsce, podał księdzu mały skrawek papieru. Ojciec Brown z niemałym zdziwieniem przeczytał skreślone ołówkiem słowa: Dorożka 379, Wagga Wagga, Mafeking Avenue, Putney. Tymczasem panna opowiadała dalej:

— Wracałam do domu z zawrotem głowy. Nie oprzytomniałam bynajmniej, gdy przed drzwiami zauważyłam stojącą bańkę z mlekiem i człowieka z owym strasznym nosem. Z tej bańki wywnioskowałam, że nikogo ze służby niema w domu, gdyż Artur, człapiący po mieszkaniu w swym burym szlafroku, oddawna już przywykł nie reagować na wszelkie dzwonki i stukania. Na nikogo więc nie mogłam liczyć oprócz mojego brata, którego pomoc jednakże odebrałaby mi resztkę nadziei i pograżyła bez ratunku. Z rozpaczy wetknęłam natrętowi w łapę dwa szylingi i powiedziałam, żeby się zgłosił za parę dni, gdy się namyszę. Odszedł posępny, potykając się na ścieżce. Z mściwą przyjemnością przyglądałam się jego opiaszczonemu plecom. Minąwszy kilka domów, zniknął za węglem ulicy.

Uwolniwszy się od intruza, zrobiłam sobie herbatę i starałam się myśleć o czem innem. Usiadłam

w salonie przy oknie i patrzyłam na ogród, oświetlony ostatnimi promieniami tonącego już w morzu słońca. Byłam jednak zbyt zdenerwowana, aby móc uważnie przyglądać się trawnikom, kwietnikom i grządkom. To też doznałam niemałego wstrząsu, gdy błędząc roztargnionym wzrokiem, ujrzałam nagle szatana czy potwora, stojącego w samym środku ogrodu. Wszyscy znamy bajki o zamieszkujących ciemności białych widmach, ale ten człowiek wyglądał o wiele okropniej. Rzucając długi cień, stał w pełnych blaskach słońca, jego zaś twarz miała odcień woskowy, tak swoisty dla lalek fryzjerskich. Stał spokojnie z twarzą, zwróconą ku mnie. Trudno mi nawet określić, jak okropne sprawiał wrażenie wśród tulipanów i innych wykwintnych kwiatów. Zamiast pięknej rzeźby wśród czarujących kwiatów figura woskowa.

Gdy zobaczyłam, że poruszyłam się przy oknie, odwrócił się i wyszedł boczną furtką, którą zapewne musiał tutaj wtargnąć. Ta jego nieśmiałość, dziwnie nie licująca ze stanowczością, z jaką szedł ku mnie przez morze, nieco mnie uspokoiła. Pomyślałam, że lęka się, aby go Artur nie zobaczył. Odetchnąwszy trochę spokojniej, zjadłam obiad, zresztą samotnie, gdyż Artur raz na zawsze zabronił przeszkadzać sobie, gdy był zajęty w muzeum. Oswobodzona od lęku myśl pobięła ku Filipowi, przyczem patrzyłam bezwiednie, lecz uporczywie, na drugie okno niezasłonięte, lecz już ciemne zapadającą nocą. Wten przy ze-

wewnętrznej framudze zauważyłam coś przylepionego do szyby i podobnego do ślimaka. Po dłuższej chwili baczniejszej uwagi zmieniłam zdanie: rzekomy ślimak był raczej palcem przyciśniętym do okna i to nieco skrzywionym palcem. Jednocześnie z łękiem narodziła się we mnie niespodziewanie determinacja. Jednym skokiem przypadłam do okna, lecz jeszcze prędzej odskoczyłam, tłumiąc okrzyk zgrozy, który łatwo mógł Artur usłyszeć.

O nieba! nie był to palec, nie był to również ślimak. Był to koniec zakrzywionego nosa, przyciśnięty do szyby i zbiegający od nacisku. Narazie nie widziałam poza ciemną szybą twarzy i uporczywie wlepionych we mnie oczu, gdy zaś je spostrzegłam, zrobiły na mnie upiorne wprost wrażenie. Spuściłam z trzaskiem żaluzję i, uciekłszy pędem do swojego pokoju, zamknęłam się na cztery spusty. Ale mogłabym przysiąc, że gdy mijałam drugie okno, tkwił już w niem przylepiony do szyby ów potworny ślimakowaty nos.

Najprościej byłoby uciec się pod opiekę Artura. Jeżeli ten podejrzany człowiek krążył ustawicznie koło naszego domu niewątpliwie w złych zamiarach, to fakt ten mógł niejako przytłumić znaczenie mojego występku. Mój brat był zdolny wyrzucić mnie za drzwi, ale był gentlemanem i na pewno stanąłby w mojej obronie. Rozmyślałam nad tem z dziesięć minut, wreszcie poszłam, zapukałam do drzwi, wezłam... i zobaczyłam rzecz straszliwą.

Brata mojego w pokoju nie było. Lecz za to siedział tam człowiek z krzywym nosem, najwyraźniej na niego czekając. Siedział z całą bezczelnością w kapeluszu na głowie na miejscu Artura i czytał najspokojniej przy świetle lampy jedną z jego książek. Twarz miał skupioną i zamyśloną, ale nos zachował swoją ruchliwość słoniowej trąby. Widziałam jasno, że pragnie mojej zguby, skoro mnie tak wytrwale prześladowe. W tej chwili jednak zdawał się nic nie wiedzieć o mojej obecności i to mnie właśnie najbardziej przerażało.

Zdaje się, że krzyczałam długo i rozpaczliwie, ale mniejsza z tem. Gorzej, że oddałam mu całą moją gotowiznę, wraz z całkowitym portfelem listów zastawnych, któremi zresztą z powodu swej niepełnoletności nie miałam prawa dysponować. Wyszedł nareszcie, przeprosiwszy mnie w wyszukany sposób, a ja usiadłam, przybita ogromem mojej zupełnej ruiny. Reszta nocy upłynęła spokojnie, tylko Artur, który był zmuszony, jak się okazało, wyjechać nagle do Londynu, powrócił późną nocą, zresztą nadzwyczaj ze swej wycieczki zadowolony, gdyż udało mu się wynaleźć jakiś nadzwyczaj cenny skarb dla swojej kolekcji. Był tak rozpromieniony, że chciałam już wypowiadać się przed nim ze swojej kradzieży, ale zagadał mnie, kierując rozmowę na swoje najbliższe plany. Ponieważ interes, o którym wspominał z takim zapałem, nie był jeszcze ubity i wymagał jego bezwarunkowej obecności w naszym domu na Ful-

ham-Place, więc Artur usilnie nalegał, abym niezwłocznie zapakowała swoje kufry i pojechała z nim razem. Jakoż chętnie uciekłam od mojego prześladowcy jak od złośliwej strzygi, ale... Mój Boże! Filip tam został... Brat przesiaduje przeważnie w muzeum kensingtonskim, ja zaś zapisałam się na wykłady w szkole sztuk pięknych. Dzisiaj właśnie wracałam ze szkoły, gdy nagle zobaczyłam owego nikczemnego nosala, śpieszącego tą nieskończenie długą ulicą. Resztę już pan wie, gdyż było tak, jak pan się tego trafnie domyślił.

Chciałam jeszcze jedno nadmienić. Uważam, że spotkała mnie zasłużona kara i właściwie nie powinienam spodziewać się od nikogo pomocy. Zresztą stało się, to trudno... Jedna wszakże rzecz nie daje sypiać mi po nocach. Czy to siły nadprzyrodzone ukarały mnie tak dotkliwie? Skąd zwykły śmiertelnik mógłby wiedzieć o tem, że pieniądz ten doręczyłam Filipowi? I to gdzie? niemal na środku morza?...

— Istotnie, to zastanawiające — przyznał Flambeau.

— Bardziej zastanawiający będzie epilog tego nieprawdopodobnego zdarzenia — powiedział ojciec Brown posępnie. — Czy będziemy mogli zastać panią w domu na Fulham Place za półtorej godziny?

Dziewczyna wstała, musnęła księdza wzrokiem i, nakładając rękawiczki, odparła krótko:

— Dobrze, będę. — Poczem natychmiast wyszła.

Dwaj przyjaciele, jadąc tegoż wieczora na Fulham Place, rozmawiali o rodzinie Carstairs'ów, która osiedliła się w tak osobliwej dzielnicy.

— Rozmyślałam właśnie o całej tej awanturze — mówił Flambeau — i wyznam, że sądząc z pozorów, musiał tutaj przeskrobać ten australijski braciszek. Miał on już przedtem jakieś nieporozumienia z kodeksem, teraz znowu powraca do kraju, niewiedomo poco, z pewnością nie brak mu również różnych podejrzanym kamratów z pod ciemnej gwiazdy. Ale nie mogę zrozumieć, skąd dowiedział się?... W jaki sposób skombinował?... Chyba że...

— Że co? — nalegał ksiądz.

Flambeau zniżył głos:

— Chyba, że kawaler tej panny jest w to wpłątany, a w takim razie jest ostatnim łajdakiem. Australijczyk wiedział, że Hawker pragnie mieć ten pieniądz... Nie rozumiem znowu, skąd u Boga mógł wiedzieć, że Hawker dostał już tę monetę? Chyba, że Filip dał mu wtedy z wody jakiś znak...

— To jest wielce prawdopodobne — przyznał ksiądz z podziwem.

— Czy ojciec zauważył jeden jeszcze szczegół? — wykladał podniecony Flambeau. — Ten Hawker był przy tem, gdy jego ukochaną znieważano, i raptem zepchnął natręta na miękki piasek. To ci dopiero pogromca!... Ale on wiedział, co robi. Gdyby pchnął swojego współnika między złomy skalne, to mógłby go niebezpiecznie poranić.

— To także prawda — potakiwał ojciec Brown.

— Rozważmy tę sprawę zasadniczo — unosił się detektyw. Do samobójstwa wystarczy jedna osoba, do morderstwa — dwie, ale dla przeprowadzenia szantażu potrzeba co najmniej trzech osób.

— Dlaczego? — spytał ksiądz miękko.

— Ależ oczywiście! — krzyczał Flambeau. — Jedna — układa szantaż, druga — go wprowadza w życie, a przecież musi istnieć trzecia, będąca przedmiotem wymuszenia.

Ksiądz zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Po błędnej drodze kroczysz, mój drogi — rzekł wreszcie. — Niepotrzeba trzech osób dla popełnienia oszustwa. W zupełności podołają mu dwie.

— A to jakim sposobem?

— Czyż autor szantażu nie może być zarazem jego wykonawcą? Przypuśćmy na przykład, że żona zostaje członkinią towarzystwa wstrzeźliwości i, pragnąc odstraszyć męża od potajemnego odwiedzania knajpy, pisze do niego zmienionym charakterem list z groźbą, że o jego karygodnym przyzwyczajeniu powiadomi małżonkę, to jest w tym wypadku samą siebie. Czyż tak być nie może? Przypuśćmy dalej, że ojciec zabrania synalkowi grać w karty i, idąc za nim w przebraniu, grozi mu gniewem ojcowskim. Przypuśćmy..., ale oto jesteśmy już na miejscu.

— Na Boga! — zawołał Flambeau — chyba ksiądz nie sądzisz...

Jakaś zwinna postać zbiegła szybko ze stopni,

wiodących do hall'u. W bladym świetle lampy ulicznej zamajaczyła ciemna twarz o charakterystycznym rzymskim profilu.

— Panna Carstairs — odezwał się Hawker bez żadnego wstępu — pragnie, aby panowie weszli sami do tego domu.

— Zapewne i pan jest nie od tego — zauważył ojciec Brown konfidencyjnie. — Istotnie lepiej będzie dla panny Christabel poczekać pod jego opieką przed domem. Czuję, że pan domyśla się wszystkiego...

— Tak — odparł młody człowiek półgłosem — domyślałem się już wtedy nad morzem, a teraz wiem już wszystko. Dlatego właśnie pchnąłem go tak lekko.

Wziąwszy klucz z rąk panny i monetę od Hawkera, ksiądz i Flambeau weszli do domu. Znaleźli się odrazu w salonie. Nie było w nim nikogo prócz człowieka, którego ksiądz był zauważył przechodzącego koło tawerny. Stał oparty o ścianę, niezmienny wcale, jedynie zamiast czarnego ubrania miał na sobie szlafrok.

— Przyszliśmy — przemówił grzecznie ksiądz Brown — zwrócić panu tę monetę. — I podsunął pieniądz owemu jegomości.

Flambeau wytrzeszczył oczy.

— Więc ten pan jest zbieraczem?

— Ten pan Artur Carstairs — wygłosił ksiądz stanowczo — i jest nieco osobliwym zbieraczem.

Na te kateryoryczne słowa człowiek ten zmienił się straszliwie na twarzy, a jego zakrzywiony nos podniósł się w ucieszny sposób. Zwrócił się do przybyłych z godnością, w której brzmiała rozpacz:

— Przekonacie się panowie, że honoru nie utraciłem. — Odwrócił się nagle i wszedł do sąsiedniego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Trzymaj go! — zawołał przenikliwym głosem ksiądz, rzucając się naprzód i przewracając krzesło. Flambeau szarpnął drzwiami parę razy i otworzył je. Ale było już za późno... Pozostawało jedynie wezwać policję i lekarza, aby urzędowo stwierdzić zgon.

Na podłodze leżała próżna butelka. Ciało Artura Carstairs'a, oparte bezwładnie o blat stołu, spoczywało pomiędzy porzuconymi w nieładzie ciężkimi rulonami, opakowanymi w brązowy papier. Z niektórych powysypywały się monety bynajmniej nie rzymskie, lecz współczesne angielskie.

Ksiądz wskazał monetę z głową Cezara:

— To wszystko, co pozostało z kolekcji Carstairsów.

Gdy po chwili milczenia odezwał się znowu, w głosie jego brzmiało niezwykle mu wzruszenie:

— Oto mści się niedorzeczne okrucieństwo testamentu Carstairs'a — ojca. Artur nienawidził pozostawionej mu w spadku kolekcji, czuł natomiast coraz gwałtowniejszy pociąg do pieniędzy, od których został odsunięty. Nietylko sprzedawał odziedzi-

czone rzymskie monety sztuka po sztuce, lecz spadał etycznie coraz niżej, szantażując pod przebraniem własne swoje rodzeństwo. Szantażował swojego brata, wiedząc o jakimś błahem jego przewinieniu (w związku z tem wziął dorożkę na Wagga Wagga w Putney), szantażował również siostrę, podrzuciwszy na jej drodze ów pieniążek. Podświadomie przeczuła ona prawdę, gdy zobaczyła go, stojącego na wydmach.

Zapanowała cisza.

— A więc ten sławny numizmatyk — mruknął wreszcie detektyw — ten sławny kolekcjonista był tylko zwykłym, łasym na grosz sknerą?

— Czy to taka wielka różnica? — odparł ksiądz Brown poważnie. — To samo zło tkwi w skąpcu, co i w zbieraczu... To samo zło... „Nie czyń sobie obrazu rytego, ani żadnego podobieństwa rzeczy tych, które są w niebie wgórze i które na ziemi nisko i które są w wodach pod ziemią. Nie będziesz im się kłaniał, ani będziesz im służył. Bom Ja Bóg...” ale musimy już iść zobaczyć, co tam ta nieszczęsna młoda para porabia.

— Myślę — rzekł Flambeau — że pomimo wszystko jest im bardzo dobrze.

NIEDOKŁADNY APARAT.

Słońce kłoniło się ku zachodowi. Korzystając z pięknej pogody, dwaj przyjaciele, Ojciec Brown i Flambeau, zasiedli w Temple Garden i zabawiali się rozmową. Wpływ otoczenia czy też przypadek zrządził, że rozmowę skierowali na przeróżne sprawy karne i procedurę badań śledczych. Roztrząsali rozliczne metody, poczynawszy od rzymskich i średnio-wiecznych tortur do sposobów, stosowanych w urządach śledczych we Francji, wreszcie Flambeau wspomniął o sposobie badania t. zw. trzeciego stopnia w Ameryce.

— Czytałem niedawno o tej nowej psychometrycznej metodzie, o której tak wiele mówią, a zwłaszcza w Ameryce. Słyszał ksiądz pewnie o tem? Zakładają pulsometr na rękę oskarżonego, a sędzia śledzi bicie jego serca przy wymawianiu pewnych słów. Co ksiądz o tem myśli?

— Bardzo to ciekawe — odrzekł Ojciec Brown — przypomina mi to zabobony zamierzchłych czasów.

Gdy zabójca dotknął swej ofiary, krew tryskała z nieboszczyka.

— Książd więc sądzi, że te dwie metody nie różnią się niczem?

— Sądzę, że obie są równie bezwartościowe. Krew płynie z ludzi żywych lub martwych, zwolna lub szybko, dla tysiąca powodów, o których nic nie wiemy. Krew może ze mnie tryskać jak fontanna nawet ponad szczyt Materhornu, a ja nic nie będę wiedział, że ją tracę.

— A jednak najślawniejsi amerykańscy uczeni gorąco polecają tę metodę.

— Bardzo sentymentalni są ci uczeni! — zawołał Ojciec Brown. — A iluż takich sentymentalnych uczonych jest w Ameryce! Tylko Yankesowi mogło przyjść do głowy wypróbowanie bicia serca. Tak, są równie sentymentalni, jak mężczyźni, którzy twierdzą, że kobieta się w nich kocha, dlatego, że się rumieni na ich widok. Teorię o krążeniu krwi odkrył światu nieśmiertelny Harvey, a to, co mi mówisz, jest tylko jej stwierdzeniem, ale jako nowa teoria nie ma wcale sensu.

— Ależ z pewnością — upierał się Flambeau — aparat taki może doskonale służyć do badań śledczych, jeżeli wskazówka wykazuje jakieś różnice.

— Właśnie całe nieporozumienie w tem, że taka wskazówka coś wskazuje. Cóż to jest? Dlaczego drugi koniec wskazówki wskazuje przeciwny kierunek? Zależy tylko, czy trzymasz wskazówkę z wła-

ściwego końca... Widziałem już coś podobnego i od tego czasu nie wierzę w podobne rzeczy. — I rozpoczął opowiadanie, skąd się wzięła nieufność jego do tej metody.

Działo się to dwadzieścia lat temu, gdy był kapelanem swoich współwyznawców w więzieniu w Chicago, gdzie irlandzka ludność okazuje równe dążenia do zbrodni, jak i do pokuty, co wiele mu przysparzało zajęcia. Zarządzającym tem więzieniem był dawny detektyw Greywood Usher. Niezwykle starannie wysławiał się ten Yankes, wygłaszając swe filozoficzne poglądy, przyczem trupia jego twarz wykrzywiała się od czasu do czasu uprzejmym grymasem. Ojca Browna otaczał pewną opiekuńczą sympatją. Ojciec Brown też go lubił, jakkolwiek nie podzielał jego teoryj, które były bardzo skomplikowane, a uważane przez niego za niezmiernie proste.

Pewnego wieczoru zaprosił do siebie księdza, który jak zwykle zasiadł w milczeniu przy stole, założonym papierami, i czekał. Gospodarz grzebał długo między temi papierzyskami, wreszcie wyciągnął skrawek wyciętej gazety i podał księdzu. Ten przeczytał z uwagą. Był to wycinek z jednej z najpoważniejszych amerykańskich gazet i brzmiał, jak następuje:

„Raz jeszcze pomysłowy pan Todd wprowadził w podziw swych gości, wydając na ich cześć Wieczór Szaleństw. Cały wytworny świat londyński długo będzie miał w pamięci tę wystawną biesiadę w

pałacu pana Todda w Pilgrim's Pond, gdzie jakowemiś czarodziejskimi sposoby sprawiono, iż nawet nasze okazałe debutantki wyglądały o wiele młodziej niż zwykle. Ten sam niewyczerpany w pomysłach p. Todd wydał zeszłego roku Ucztę Kanibalów, na której cukry miały kształt rąk i nóg ludzkich, a uprzejmość posuwano do tego stopnia, iż zapraszano gorąco do skonsumowania własnego sąsiada przy stole. Dowcipny pomysł tej ucztę zrodził się albo w niezwykłym umyśle p. Todda lub też wyszedł z grona leader'ów wesołości naszego miasta. Obecnie mówią o projekcie sparodjowania skromnych obyczajów drugiej połowy naszego społeczeństwa. Należy wspomnieć jeszcze, że p. Todd gości u siebie lorda Falconroy, słynnego podróżnika, arystokratę czystej krwi, świeżo przybyłego ze swej ojczyzny. Lord Falconroy rozpoczął swe podróże, zanim jego starożytny tytuł, sięgający jeszcze czasów feudalnych, został mu przywrócony. W naszym kraju był już za lat swych młodzieńczych, a teraz chodzą różne wersje o przyczynach jego powrotu. Wiemy tylko, że panna Etta Todd jest jedną z najhojniej uposażonych przez naturę mieszkanki Nowego Yorku i posiada przeszło miliard dolarów posagu“.

— Cóż, zajmuje to księdza? — zapytał Usher.

— Nic mi te słowa nie mówią — odrzekł Ojciec Brown — i przyznam się, że nic mniej nie mogłoby mnie interesować. Widzę jedynie, że władze państwowe mogłyby słusznie domagać się posadzenia na elek-

trycznem krześle takich dziennikarzy za pisanie podobnych bredni, ale nie uważam, aby w tej notatce było coś takiego, coby pana mogło interesować.

— Ach, tak! — wycedził oschle pan Usher i podał inny skrawek gazety. — Może więc to księdzajda zajmie?

Notatka nosiła tytuł: „Barbarzyńskie zabójstwo strażnika“. „Ucieczka więźnia“.

„W osadzie karnej, w Sequah, przed świtem dał się słyszeć krzyk, wołający o pomoc. Personel więzienny, pobiegłszy śpiesznie w tym kierunku, znalazł trupa strażnika, który patrolował z północnej strony więzienia. Miejsce to jest bardzo strome i niedostępne, więc warta nad niem powierzana bywa jednemu tylko strażnikowi. Nieszczęśliwy człowiek został strącony ze skały, mózg rozprysł się jak pod uderzeniem pałki. Stwierdzono poza tem, że nie miał przy sobie strzelby. Późniejsze badania wykazały, że jedna więzienna cela była opróżniona. Zajmował ją dziwnie ponury łotrzyk, podający się za Oskara Rianna. Miał wyznaczoną niewielką karę za jakiś zwykły napad, ale robił wrażenie człowieka o ciemnej przeszłości i niebezpiecznej przyszłości. Gdy światło dzienne oświeciło scenę zabójstwa, przeczytano napis, wykonany na skale palcem, umaczanym we krwi: „Była to samoobrona, a potrzebowałem strzelby. Nie miałem zamiaru zrobić nikomu krzywdy. Kulę zatrzymuję dla Pilgrim's Pond. O. R.“. Człowiek ten musiał użyć jakiegoś szatańskiego podstępu lub

wprost nadludzkiej odwagi, by dostać się na tę skałę, bronioną przez uzbrojonego strażnika“.

— Owszem, tu styl jest nieco lepszy, — przyznał ksiądz z zadowoleniem. — Ale co ja na to poradzę? Mógłbym za nim gonić swemi krótkimi nogami, szukać po całym Stanie tego atletycznego zbója, ale wątpię, czyby mi się to udało, wątpię wogóle, czy go ktokolwiek znajdzie... Kolonja karna znajduje się o trzydzieści mil stąd, okolica tam dzika i niedostępna, a dalej — kraj preryj, gdzie prawdopodobnie się schronił, nie do przebrnięcia. Siedzi sobie w jakiejś dziurze albo na drzewie...

— Nie siedzi w żadnej dziurze, ani na drzewie...

— Skąd pan wie? — spytał ksiądz, mrużąc oczy.

— Może ksiądz chce z nim porozmawiać?

Ojciec Brown otworzył szeroko swe niewinne oczy.

— Tutaj jest? — zawołał. — Jakże pańscy ludzie go wynaleźli?

— Sam go wynalazłem — wycedził Amerykanin, przeciągając się i leniwie wyciągając chude nogi przed kominkiem. — Zatrzymałem go końcem zakrzywionej laski. Cóż się ksiądz tak dziwi? Ksiądz wie, że chodzę czasami na przechadzkę na okoliczne łąki, aby dalej od tego ponurego gmachu. A więc chodziłem sobie dzisiejszego wieczoru po wilgotnych łąkach. Po obu stronach ciemniały krzaki i zaorane pola, a sierp księżycy srebrzył drogę. Przy jego świetle dojrzałem jakiego człowieka, biegnącego przez

poła ku drodze. Biegł nachylony i dobrym kłusem. Wydawał się bardzo zmęczony, a gdy wpadł między czarny żywopłot, płatał się niby w pajęczynie, a tak ciężko łamał gałązki, jakby sam był z kamienia. W chwili, gdy znów mi się ukazał w świetle księżyca, przebiegając drogę, zarzuciłem zakrzywioną łaskę na jego nogi i przyciągnąłem do siebie. Gwizdnąłem z całej siły, i zaraz nasi chłopcy nadbiegli i zajęli się nim.

— Byłoby trochę gorzej, gdyby się okazało, że to zwykły sportowiec, uprawiający szybki bieg.

— Ale nie był nim — odparł Usher, wyszczerzając zęby. — Odrazu zgadliśmy, co to za ptaszek, a i mnie nie trudno było domyślić się, skoro promień księżyca padł na niego.

— Ponieważ pan przeczytał tę wiadomość dziś w gazecie, pomyślał pan naturalnie, że to zbiegły więzień.

— Miałem trochę lepsze podstawy ku temu — odparł chłodno urzędnik. — Byłoby to zbyt proste, żebym stąd miał wysnuć podejrzenia. Pomyślałem więc, że szanujący się sportowiec nie biega naprzelaj przez pola i nie wydrapuje sobie oczu gałęziami, ani nie zgina się jak łaszący się pies... Były to szczegóły bardziej decydujące dla wytrawnego oka. Człowiek ten miał na sobie proste, podarte ubranie, a i to nawet dziwnie wyglądało, tak na nim śmiesznie leżało, że rzucało się to odrazu w oczy, nawet zdaleka, gdy ukazał się jako czarna sylwetka na tle księżycowego

światła. Kołnierz, w którym chowała się głowa, tworzył garb na plecach, a długie, szerokie rękawy rozwiewały się koło niego, jakby w nich nie było rąk. Przyszło mi odrazu na myśl, że rzuciwszy ubranie więzienne, skombinował sobie jakieś cudackie, które wcale na niego nie pasowało. Przytem muszę zaznaczyć, że był dość silny wiatr, więc musiałbym zobaczyć podnoszące się przy biegu włosy, o ile nie były krótko obcięte. Wreszcie przypomniałem sobie, że za temi polami, któremi biegł, leży Pilgrim's Pond, na które więzień (o ile ksiądz pamięta) pozostawił sobie jedną kulę. Wówczas zarzuciłem laskę.

— Wspaniały przykład szybkiej dedukcji — odezwał się Ojciec Brown. — A czy miał strzelbę?

A gdy Usher zatrzymał się nagle w swej przechadzce po pokoju, ksiądz dodał, usprawiedliwiając się:

— Bo sama kula nie byłaby chyba do użytku bez strzelby...

— Nie miał strzelby — odrzekł tamten poważnie. — Zapewne coś wpłynęło na zmianę jego planów. Być może, iż ta sama ostrożność, która go skłoniła do zmiany ubrania, wpłynęła na porzucenie strzelby. A może zaczął żałować tego ubrania, które zostawił we krwi swej ofiary.

— Tak, to możliwe.

— A warto było o nie zatroszczyć się — rzekł Usher, wracając do gazet — bo wiemy, kim był ten człowiek w swoim czasie.

— Jakto? spytał niepewnym głosem ksiądz. Greywood Usher rzucił gazety i wziął znowu do ręki wycinki.

— Ponieważ ksiądz jest tak uparty, zacznijmy znów od początku. Zauważył ksiądz pewnie, że obie te wiadomości tyle tylko mają ze sobą wspólnego, że obie wspominają o Pilgrim's Pond, posiadłości milionera Todda. Dowiedział się ksiądz również, że pan ten ma niepospolity charakter. Jest z tych, którzy kroczą po kamiennych stopniach...

— ...i wznoszą się po naszych trupach ku wyższym celom — dokończył ksiądz. — Tak, znam to. Pewnie nafta?

— Nie. Pan Todd zarobił wiele na interesie z rumem.

Wyciągnął się znowu przed ogniem i mówił dalej wymownie, barwnie, zrozumiale:

— Mając to wszystko w pamięci, przestaję czuć tu tajemnicę. Nie jest więc ani dziwne, ani zagadkowe, że ptaszek ten zabrał strzelbę do Pilgrim's Pond. Nasza ludność nie lubi Anglików, którzy mając przed sobą jedyny cel — zrobienie majątku, zapominają o wszystkim. Nie lubi ich również dlatego, że wyrzucają pieniądze na konie i gości. Todd stał się wielkim dzięki swojemu sprytowi i być może, że tacy, którym zaimponował swoim sprytem, chcieli ze swej strony okazać spryt zapomocą strzelby. Todda łatwo mógł sprzątnąć ktoś, kogoby nawet nie podejrzewał. Mógł to być wydalony robotnik lub usunięty

urzędnik biurowy. Todd jest człowiekiem bogato uposażonym umysłowo i o bardzo uspołecznionym charakterze, ale w naszych stronach stosunki między chlebobdawcami a pracownikami są bardzo ciężkie.

Możnaby więc zrobić przypuszczenie, że Rian udał się do Pilgrim's Pond, by zabić Todda. Tak mi się właśnie zdawało, dopóki inne odkrycie nie obudziło mych zdolności detektywnych. Gdy już umieściłem swego więźnia w bezpiecznym miejscu, wziąłem znów łaskę i łąziłem po drodze, która zaprowadziła mnie na granicę gruntów Todda. Granicą tą jest staw czy jezioro, które dało nazwę tej miejscowości (Pilgrim's Pond — sadzawka pielgrzymów). Było to ze dwie godziny temu, czyli koło siódmej. Księżyc świecił silniej niż poprzednio. Widziałem długie, białe smugi światła księżycowego na tajemniczo wyglądającej sadzawce, okolonej szaremi, napół zalanymi wodą brzegami, po których, jak powiadają, przodkowie nasi przepędzali czarownice przed ich spławieniem. Zdaje mi się, że tak bywało, już nie pamiętam dobrze, ale ksiądz wie, o czym mówię. Otóż miejsce to leży na północ od domu Todda. Jest to pustkowie, na którym rosną tylko dwa drzewa, pokrzywione i tak cudackie, że wyglądają bardziej na jakieś olbrzymie narośle niż na skromne rośliny. Gdy tak stałem i patrzyłem na mroczną sadzawkę, wydało mi się, że widzę jakiś słaby kształt ludzki, kierujący się ku temu miejscu, ale tak niewyraźny i daleki, że

nie miałem żadnej pewności, co to właściwie było. Tymczasem uwagę moją przykuło coś innego.

Podszedłem bliżej i przykucnąłem za płotem, który na szczęście miał wyłomy w kilku miejscach, jakgdyby specjalnie poto, aby przyłożyć tam badawcze oko. O jakie dwieście łokci znajdowało się lewe skrzydło letniej rezydencji Todda. W ciemnej masie budynku otworzyły się drzwi, i na tle oświeconego wnętrza ukazała się czarna sylweta jakiejś osoby, pochylonej nieco, wpatrzonej widocznie w ciemności nocne. Drzwi zamknęły się za nią i zobaczyłem, że niosła latarnię, która rzucała płatek niedostatecznego światła na ubranie. Zdawało mi się, że to kobieta, owinięta w jakiś podarty płaszcz. Najwidoczniej było to przebranie dla niezwrócenia uwagi. Było coś dziwnego w tych łachmanach i tem tajemniczem wykradaniu się z wielkopańskiego domu. Szła ostrożnie ogrodową ścieżką, która dochodziła prawie do miejsca, na którym siedziałem. Zatrzymała się chwilę na usypanem torfowisku, spojrzała na zamuloną sadzawkę i, podnosząc latarnię wgórę, poruszyła nią trzy razy. Wyglądało to na sygnał. Przy tym ruchu promień światła padł na jej twarz. Znałem tę twarz. Była nienaturalnie blada. Głowę owiniętą miała zwykłym chłopskim szalem, mimo to byłem pewien, że to Etta Todd, córka milionera.

Wróciła tą samą drogą, i drzwi zamknęły się za nią. Miałem już przesadzić płot i pójść za nią, lecz uprzytomniłem sobie, że detektywna gorączka zbyt

daleko mię unosi i że w bardziej znamiennej sprawie mam już wszystkie karty w rękę. Zawróciłem więc, gdy naraz jakiś hałas rozdarł ciszę nocną. Z trzaskiem otwarło się okno na jednym z wyższych pięter pałacu, ale poza węglem domu, tak, że z mojego miejsca nic widzieć nie mogłem. Jakiś głos dopytywał się, gdzie się podział lord Falconroy, gdyż niema go w całym domu. Znałem ten głos, nie mogłem się omylić, słyszałem go nieraz na meetingach i zebraniach dyrektorów. Był to głos Iretona Todda. Natychmiast odezwały się inne głosy, z niższych pięter, czy też ze schodów odpowiadające, że lord Falconroy wyszedł przed godziną w kierunku sadzawki i dotąd nie wrócił.

— Może zamordowany! — krzyknął Todd i zaszasało okno.

Słyszałem, jak zbiegał ze schodów.

Utrwaliwszy poprzednie, zupełnie racjonalne przypuszczenie, usunąłem się szybko z miejsca, gdzie na pewno będą poszukiwać zaginionego, i wróciłem do domu dobrze po ósmej.

A teraz zwracam się znów z prośbą o przypomnienie sobie tej towarzyskiej notatki, dla której ksiądz okazał zupełny brak zainteresowania. Jeżeli więzień trzymał w zapasie kulę nie dla Todda, to miał ją zapewne wpogotowiu dla lorda Falconroy. Niezwykle ciekawe geologiczne otoczenie sadzawki było doskonale wybranem miejscem dla zabójstwa. Ciało upadłoby w szlam i pograżyłoby się w nie-

zmierzoną dotychczas głębinę. Przypuśćmy, że ten ptaszek o krótko przyszczyżonych włosach zamierzał zabić lorda Falconroy, nie zaś Todda. Ale jak już zaznaczyłem, jest wiele powodów, dla których można by zabić Todda, a niema żadnego, by spełnić zabójstwo na angielskim lordzie, świeżo tu osiadłym — prócz jednego, wzmiankowanego w tej gazecie, że lord rozpoczął konkury o rękę córki miljardera. Ten podejrzany jegomość mimo źle skrojonego ubrania może być wzdychającym kochankiem.

Wiem, że wydaje się to księdzu niezrozumiałe, a może nawet komiczne, ale tylko dlatego, że ksiądz jest Anglikiem. Dla księdza brzmi to tak, jakgdyby ktoś powiedział, że córka arcybiskupa z Canterbury ma zaślubić w kościele Ś-go Jerzego na Hanover Square zamiatacza więzienia. Ksiądz nie zdaje sobie sprawy z wysokich aspiracyj naszych obywateli. Spotyka ksiądz np. wytwornego, siwowłosego pana w wieczorowym stroju, któremu wszyscy nie szczędzą dowodów szacunku. Jest ksiądz pewien, że to filar Stanów Zjednoczonych. Błędne mniemanie! Nawet ksiądz nie przypuszcza, że pan ten parę lat temu był pod nadzorem albo w więzieniu. Ksiądz nie uznaje naszego unoszenia się po powierzchni i wypływania nawierzch. Nasi najbardziej znakomici obywatele nietylko zaczynali swą karierę nader skromnie, lecz zaczęli ją bardzo późno. Córka Todda miała już osiemnaście lat, gdy ojciec jej zaczął robić majątek, więc nie jest to niemożliwe, by do tej pory nie po-

czuła głodu miłosnego, czy też nie zawiązała jakiego stosunku miłosnego. Cóż dziwnego, że mi takie przypuszczenie nasunęło się odrazu na myśl, gdy zobaczyłem ją na tej nocnej wycieczce z latarnią. Więc możliwe, że ręka, dzierżąca latarnię, zespoliła się z ręką, ściskającą strzelbę. O! to będzie głośna sprawa!

— Tak — odrzekł ksiądz, wysłuchawszy cierpliwie. — A co dalej pan uczynił?

— Już widzę, jak ksiądz tem się zgorszy, bo wiem, że nie zgadza się z postępem nauki w tych sprawach. Dałem ujście swej przedsiębiorczości i pomyślałem, że zdarza się sposobność wypróbowania aparatu psychometrycznego, o którym księdzu już kiedyś wspominałem. Byłem pewien, że aparat taki nie może skłamać.

— Tak, może nie kłamać, ale też może nie powiedzieć prawdy.

— A jednak w tym wypadku powiedział prawdę, jak to księdzu zaraz opowiem — odpowiedział Usher z zadowoleniem. — Posadziłem tego człowieka w tak źle dopasowanem ubraniu na wygodnem krześle, pisałem sobie spokojnie wyrazy na tablicy, aparat zapisywał zmiany jego pulsu, ja zaś obserwowałem tego człowieka. Cała rzecz na tem polegała, by wypisywać wyrazy, mające związek z przypuszczalną zbrodnią, przeplatając dla niepoznaki rozmaitemi innymi w taki sposób, żeby to wyglądało zupełnie naturalnie. Więc pisałem „czapla“, „orzeł“, „sowa“; a gdy napisałem „sokół“ (falcon po ang. sokół), apa-

rat poruszył się niespokojnie, a gdy potem dopisywałem do tego wyrazu literę „r“, aparat podskoczył. Kogożby mogło więcej podniecić nazwisko świeżo przybyłego Anglika, jak nie człowieka, który do niego strzelał? Czyż to nie jest lepszym świadectwem niż pusta gadanina wszystkich świadków? Świadećstwo takie dał ten niezawodny aparat!

— Pan ciągle zapomina, że ten niezawodny aparat został wykonany przez inny całkiem zawodny aparat — zauważył ksiądz.

— Nie rozumiem.

— Mam na myśli Człowieka — najbardziej zawodny aparat ze wszystkich. Nie mam zamiaru być surowym, nie chcę, aby pan moje określenie, może obraźliwe i niezbyt dokładne, wziął do siebie. Pan powiada, że obserwował tego człowieka, lecz skąd pan wie, że obserwował go pan odpowiednio? Pan powiada, że słowa pisane były tak, aby to wyglądało naturalnie, lecz skąd pan wie, że pisał pan je w naturalny sposób? Skąd pan wie, czy właśnie pan nie był obserwowany podczas tej czynności? Kto może zapewnić, czy właśnie pan nie był wzruszony?... mimo że pan nie miał założonego aparatu na swoim pulsie?

— Zapewniam księdza — krzyczał Amerykanin — że byłem zimny jak... ogórek!...

— Zbrodniarze też umieją zachować chłód ogórka — przekonywał ksiądz z uśmiechem. — A przynajmniej potrafią być tak chłodni jak pan.

— A właśnie on takim nie był! — zawołał Usher, odrzucając nabok papiery. — Och! zmęczył mnie ksiądz!

— Bardzo mi przykro, ale starałem się wykazać wszelką ewentualność. Gdy pan był pewien, że wyraz, napisany przez pana, potępia go, on również mógłby powiedzieć, że właśnie wyraz ten potępia pana. Ja osobiście zająłbym się czemś więcej niż wyrazami, zanimbym kogoś potępił.

Usher uderzył w stół i wstał z gniewnem zadowoleniem.

— A właśnie, że jest tak, jak księdzu mówiłem— zawołał. — Była to próba aparatu, i przekonałem się, że działa doskonale.

Zamilkł na chwilę, potem kończył z mniejszem podnieceniem:

— Jeżeli więc księdzu o to chodzi, to podkreślam, że traktowałem doświadczenie to, jako naukowy eksperyment, bo żadnego realnego dowodu nie mam przeciw temu człowiekowi. Ma na sobie źle leżące ubranie, ale nie różni się ono niczem od ubrania, jakie noszą ludzie z niższej sfery, do której niewątpliwie należy. Gdyby nie biegł przez zaorane pola i nie przedzierał się przez krzaki, nicby mu nie można było zarzucić. Wówczas wyglądał na uciekiniera z więzienia, ale teraz robi wrażenie biednego, ale zupełnie przyzwoitego człowieka. Zachowanie jego, muszę przyznać, było zgodne ze zwyczajami jego klasy. Był spokojny i pełen tej godności, jaką i ludzie

z jego sfery mają, znać było wielkie, lecz skrywane strapienie, właśnie tak, jak i znać bywa na nich. Powiedział, że nie wie nic o zbrodni i o całej tej sprawie, i okazywał tylko pewne zniecierpliwienie, gdy przerywałem jego markotne zamyślenie. Pytał mnie parę razy, czy nie może zatelefonować do swego prawnika, który go przez dłuższy czas wspomagał swemi radami podczas jakichś nieporozumień robotniczych. Jednem słowem postępował tak, jak postępowałby zupełnie niewinny człowiek. Krótko mówiąc, nicby mu nie można było zarzucić prócz tego, że wskazówka pulsometru wykazywała zmianę jego pulsu.

Tak, Ojcie Brown, instrument zdał swój egzamin i jest bez zarzutu... Potem wyszedłem z nim z mego prywatnego pokoju do przedpokoju, gdzie wielu ludzi czekało już na swoją kolej badania, i sądziłem, że już na tyle się uspokoił, iż zechce mi coś wyznać, gdyż zwrócił się do mnie i zaczął mówić zniżonym głosem:

— Nie powinienem się dłużej ociągać. Jeżeli pan musi wiedzieć o mnie wszystko... — Naraz jakaś kobieta, siedząca na ławie, krzyknęła głośno i wskazała na niego palcem. Tak przejmującego wrażenia nie doznałem nigdy w życiu... Wyciągnięty palec zdawał się go przeszywać. Głos jej podobny był do wyčia, a każda sylaba tak wyraźna, jak uderzenie dzwonu.

— Drugger Davis! — krzyknęła. — Złapali Davisa!

Wszystkie kobiety, przeważnie złodziejki, włóczędzy uliczne, podniosły głowę i wpatrzyły się z radością i nienawiścią. Gdyby słowa tej kobiety nie doszły do mych uszu, zrozumiałbym, że tak zwany Oskar Rian usłyszał własne swe nazwisko, tak zmieniła się jego twarz... Ale i dla mnie nazwisko to nie było obce. Drugger Davis znany był jako najstraszniejszy i najbardziej zdeprawowany zbrodniarz, doprowadzający do rozpacz policyjną. Zanim zabił owego strażnika, popełnił niejedną zbrodnię, ale nigdy nie było przeciw niemu żadnego dowodu, co właśnie jest ciekawe ze względu na sposób, w jaki popełniał swoje występki. Był to przystojny, dobrze zbudowany chłop i pozostał takim do pewnego stopnia. Zadawał się zwykle z dziewczętami z szynkowni i pannami sklepowymi i wyłudzał od nich pieniądze. Czasem posuwał pomysłowość swą za daleko, bo znajdowano je nieraz zatrute papierosami albo czekoladkami, ogołocone z pieniędzy. Raz nawet znalaziono jedną dziewczynę martwą, lecz nie było dowodu, że on jest sprawcą jej śmierci, a i jego też nie można było odszukać. Słyszałem potem pogłoskę, że pojawił się w nowym charakterze, jako wypożyczający pieniądze, nie zaś jak dotychczas pożyczający od biednych dziewcząt. Pożyczki ofiarowywał biednym wdowom, które umiał usidlić, i zwykle taka transakcja smutnie się kończyła dla biednej wdowy. Tak

oto wygląda pańskie niewiniątko z równie niewinnym rejestrem uczynków. Teraz jego tożsamość stwierdziło czterech kryminalistów i trzech strażników i ustaliło sprawę. I cóż ksiądz teraz powie o tym małym instrumencie? Czy to nie on wydał świadectwo przeciw niemu? Ksiądz jednak będzie wołał powiedzieć, że to ta kobieta i ja świadczyliśmy przeciw niemu...

— Tak, powiem, że to pan — odrzekł Ojciec Brown, podnosząc się i drżąc lekko — ocalił go od elektrycznego krzesła. Nie przypuszczam, że miano uśmiercić Druggera Davisa za niestwierdzone otrucie, a co do więźnia, który zabił strażnika, to jest jasne, że to nie jego pan złapał. Davis jest niewinien tej zbrodni, na pewno.

— Jakto? — spytał Usher. — Ksiądz sądzi, że on jej nie popełnił?

— Tej nie popełnił — wołał z rzadkiem u siebie ożywieniem Ojciec Brown — ale popełnił inne. Nie rozumiem, dlaczego pan i pańscy ludzie taką wielką do niego przywiązują wagę? Panu się zdaje, że on jest zbiornikiem wszystkich grzechów. Pan tak mówi, jakgdyby każdy, kto skąpi w poniedziałek, musiał koniecznie marnotrawić w środę. Opowiadał mi pan, że człowiek ten otumaniał kobiety, wyłudzaąc od nich pieniądze, że w najlepszym razie oszalał na je narkotykiem, a w najgorszym — truł; że stał się później lichwiarzem i oszukiwał biedaków w ten sam sposób — cierpliwie i pocichutku. Niech więc już

tak będzie... zgódźmy się na to, że istotnie tak czynił. Ale ja panu powiem, czego nie robił. Nie zdobywał skały, bronionej przez uzbrojonego człowieka. Nie pisał na skale własnoręcznie wyznania swej zbrodni. Nie usprawiedliwiał samoobrony. Nie wymieniał nazwy majątku, gdzie miał podążyć ze zdobytą strzelbą. Nie napisał swych inicjałów krwią zbroszoną ręką... Święci Pańscy! Czyż pan nie widzi, że cały charakter tej sprawy jest odmienny? Dlaczego pan nie umie tego wyczuć jak ja, chociaż w słabszym stopniu? Myślałby kto, że nie ma pan pojęcia o własnych wadach!...

Zdumiony Amerykanin otwierał już usta, aby sprostować, gdy nagle drzwi, łączące jego mieszkanie z urzędowym biurem, otworzyły się z impetem, całkiem bez ceremonji, do czego nie był przyzwyczajony.

Drzwi rozwarły się naoścież. Na chwilę przedtem Greywood Usher miał przygotowany taki argument, że Ojciec Brown niechybnieby oniemiał, gdy zaś w chwilę później zaczął rozmyślać — sam oniemiał. Do pokoju wpadł jakiś człowiek w brudnych łachmanach, w zatłuszczonym, pogniecionym kapeluszu, włożonym nabakier, pod jednym okiem miał zielony siniak, oczy mu świeciły jak u tygrysa. Reszty twarzy nie można było dojrzeć, broda bowiem łączyła się z wąsami tak ściśle, że nos z trudnością przedzierał się przez tę gęstwinę, a szyję kryła wstręt-na czerwona chustka. Usher chwalił się niejedno-

krotnie, że widywał już najgorsze okazy Stanów Zjednoczonych, teraz jednak musiał uznać, że takiego koczkodana, takiego starego pawjana nie widział nigdy. A przytem nigdy w swem cichem, poświęconem nauce życiu nie słyszał, aby tak ktoś mógł do niego przemawiać.

— Te! Usher, stara małpo! — wrzasnął przybyły. — Nie próbuj bawić się ze mną w chowanego! Jakiem prawem go zatrzymujesz? Popamiętasz mnie dobrze, jeżeli go przez chwilę jeszcze zatrzymasz! Przysięgam, że nie wyjdiesz stąd cały!

Zacny Usher patrzył długo na ryczącego potwora z takim zdumieniem, że istotnie na inne uczucie nie mógł się zdobyć. Oczy jego były tak zgorszone, że uszy nic nie słyszały. Wreszcie dotknął dzwonka ręką, drżącą z oburzenia. Dzwonek jęczał długo i przenikliwie, mimo to łagodny głos Ojca Browna zabrzmiał zupełnie wyraźnie.

— Rodzi się we mnie przypuszczenie — mówił — ale nieco bezładne. Nie znam tego pana... ale... здаje mi się, że go znam... Tak, pan go zna... zna go pan bardzo dobrze... ale oczywiście, nie zna go pan... Wiem, że to brzmi paradoksalnie...

— Chyba świat się wali... — szepnął Usher, rzucając się na krzesło.

— No! prędzej! — ryczał brodac, uderzając pięścią w stół. Mimo donośnego brzmienia głos jego był dziwnie łagodny i przekonywujący. — Nie pozwolę kazać na siebie czekać!

— Kto to u diabła jest? — jęknął Usher, prostując się na krześle.

— Zdaje mi się, że pan ten nazywa się Todd — powiedział ksiądz i wziął ze stołu skrawek gazety. — Chyba pan nie przeczytał tej notatki uważnie? — I zaczął czytać monotonnym głosem: „...lub wyszedł z grona leaderów wesołości naszego miasta. Obecnie mówią o projekcie sparodjowania skromnych obyczajów drugiej połowy naszego społeczeństwa.“ — Zapewne więc dziś wydano Obiad w Spelunce w Pilgrim's Pond i jeden z gości zaginął. Pan Iretton Todd jest dobrym gospodarzem, wyśledził, że tu jest, i przyszedł po niego, nie zmieniając nawet swego przebrania.

— O czym ksiądz mówi?

— O tym człowieku w źle skrojonem ubraniu, którego widział pan biegnącego przez pola. Lepiej byłoby nie chwycać go, lecz śledzić. Jestem pewien, że i on pragnie jak najprędzej powrócić do swego szampana, od którego czmychnął zapewne, zobaczywszy, że czyha nań zbieg z więzienia ze swoją strzelbą.

— Ksiądz na serjo przypuszcza?... — zaczął Usher.

— Widzi pan, panie Usher — mówił spokojnie ksiądz — zapewniał pan, że pański aparat nie może popełnić błędu... A należy przyznać, że do pewnego stopnia nie omylił się. Lecz ów aparat, twórca tamtego, gotów jest zawsze do błędu... Zapewniał pan, że człowiek w łachmanach drgnął, usłyszawszy na-

zwisko lorda Falconroy, gdyż był to właśnie lord Falconroy, podejrzewany przez pana o morderstwo.

— Czemuż mi tego nie powiedział? — spytał zdumiony Usher.

— Był w stanie paniki mało arystokratycznej — więc narazie chciał ukryć swe nazwisko. Miał właśnie zresztą je powiedzieć — tu Ojciec Brown spojrzał na swe buty — gdy ta kobieta znalazła dla niego inne nazwisko.

— Ależ to szaleństwo twierdzić — szepnął pobladły Usher — że lord Falconroy jest Druggerem Davisem!

Ksiądz patrzył nań badawczo, a wyraz twarzy miał wyraźnie zawiedziony.

— Nic podobnego nie powiedziałem, wszelkie domysły pozostawiam panu. Owa gazeta pisała, że jego tytuł niedawno mu został przywrócony, ale nie zawsze można wierzyć gazetom. Pisze również, że zamłodu był w Stanach Zjednoczonych, ale to wszystko wygląda bardzo dziwnie. I Davis, i Falconroy mają jeden rys wspólny: są wybitnymi tchórzami, ale takich ludzi jest wielu, a ja nawet psa nie potępiłbym na zasadzie tej cechy. Myślę jednak przytem — ciągnął dalej powoli z rozwagą — myślę, że wy, Amerykanie, jesteście zbyt skromni, że zbyt idealizujecie angielską arystokrację... nawet, gdy nie jesteście pewni, że to arystokracja. Widzi pan wytwornego gentlemana w wieczorowym stroju i przypuszcza pan, że zasiada on co najmniej w Izbie Lordów, a ród

jego sięga bardzo dawnych czasów. Pan nie uznaje naszego unoszenia się po powierzchni i wypływania nawierzch. Bardzo wielu naszych arystokratów powstało bardzo niedawno, lecz...

— Cciicho! — syknął Usher, wyciągając chudą rękę ku ironicznie uśmiechniętej twarzy Ojca Browna.

— Powstrzymaj tego warjata! — krzyknął Todd brutalnie. — Zaprowadź mię do mego przyjaciela!

* * *

Następnego ranka zjawił się Ojciec Brown u Ushera, niosąc ze sobą gazetę.

— Może pan lekceważy sobie modne gazety, ale znalazłem tu coś ciekawego dla pana.

Usher czytał tytuły: „Zaginiony biesiadnik“. „Wesoły incydent w sąsiedztwie Pilgrim's Pond“. „Zabawny wypadek zdarzył się w garażu Wilkinso-na. Jeden z policjantów, uważając, że spełnia swój obowiązek, zatrzymał mężczyznę w ubraniu więziennem, który z niezwykłym spokojem wstępował na stopień wytwornego Panharda. Towarzyszyła mu dziewczyna, otulona podartym szalem. Na żądanie policji dziewczyna zdjęła szal, i poznano w niej wówczas córkę milionera Todda, która przybyła właśnie z Pilgrim's Pond, gdzie ojciec jej wydał Obiad w Speluncie dla gości, podobnie jak ona przebranych. Ona i jej towarzysz w kostjumach więziennych chcieli użyć zwykłej poobiedniej przejażdżki“.

Pod tą gazetą Usher znalazł drugą, późniejszą, gdzie wyczytał: „Niezwykła ucieczka córki milionera ze zbiegiem z więzienia. Obiad w Spelunce był jej pomysłem. Obecnie bezpieczna w...

Pan Greywood Usher podniósł oczy z nad gazety, lecz Ojciec Brown już poszedł sobie.

PURPUROWA PERUKA.

Pan Edward Nutt, pracowity redaktor „CODZIENNEGO REFORMATORA“, siedział przy swem biurku, otwierał listy i przygotowywał korektę dla młodej, energicznej maszynistki.

Był to krzepki, przystojny mężczyzna, ruchy miał energiczne, w ustach malowała się silna wola, wargi wypowiadały stanowcze słowa, lecz oczy błękitne, otwarte szeroko, prawie dziecięce, miały wyraz lęku i zadawały kłam poprzedniemu wrażeniu. I rzeczywiście wrażenie to było mylne. Można było o nim powiedzieć z całą pewnością, jak i o innych dziennikarzach, że najczęstszem jego uczuciem był ciągły strach. Bał się paszkwili, obawiał się, aby nie stracić ogłoszeń, bał się omyłek drukarskich, bał się rabunku.

Życie jego było nieustannym kompromisem między nim a właścicielem dziennika, sędziwym mydlarzem, który dobrał sobie odpowiedni personel i pu-

ścił gazetę w ruch. Niektórzy z tego personelu byli naprawdę zdolnymi i znanymi już pisarzami, a nawet (co gorsza) szczerymi entuzjastami kierunku politycznego gazety.

Przed tym „energicznym i stanowczym“ redaktorem położono list od jednego z takich współpracowników. Mimo cennych zalet swego charakteru wahał się długo przed otwarciem jego. Zamiast listu wziął do ręki korektę, przebiegł ją błękitnem okiem, a błękitnym ołówkiem zmienił wyraz „wiarołomstwo“ na „niewłaściwość“ i wyraz „Żyd“ na „cudzoziemiec“ i posłał szybko na górę. Wreszcie otworzył list i przebiegł go zatroskanem okiem. Na liście był znaczek pocztowy z Devonshire.

„Szanowny Panie. Ponieważ wiem, że pan, opracowując „Zjawy i Widma“, jednocześnie zbiera materiały do artykułu „O dziwactwach domu Eyres'ów z Exmoor'u, śpieszę donieść, że jestem w możności tego materiału dostarczyć. Głową rodu jest jeden z niewielu nieugiętych arystokratycznych to-rysów, książę Exmoor'u, którego stare kuzoszki nazywają D j a b e l s k i e m U c h e m. Taki stary, zaskorupiały tyran zasługuje na to, aby koło jego osoby zrobić nieco huczku. Właśnie wpadłem na ślad pewnej historii, która nam doskonale do tego posłużyć może.

Oczywiście, nie wierzę w starą legendę o Jakóbie I, a co do pana, wiem, że nie wie-

rzysz w nic, nawet w dziennikarstwo. Przypomnieć jednak należy jedną z najczarniejszych kart historii angielskiej. Jest to otrucie Overbure'go przez czarownicę, Franciszkę Hovard. Utrwaliła się legenda o jakimś tajemniczym terrorze, który zmusił króla do uniewinnienia morderczyni. Przy tej sposobności wspomina o wielu czarach, ale główną treścią legendy jest, że jeden ze służących podsłuchiwał przez dziurkę od klucza, co mówili ze sobą król i Carr, a tak straszną była owa tajemnica, że ucho tego ciekawego dworaka urosło do olbrzymich rozmiarów. Obdarzono go ziemią i pieniędzmi, zrobiono go przodkiem książąt, jednak monstrualne ucho pozostało na wieki w rodzinie. Podanie to niczego nie dowodzi. Jestem nawet pewien, że gdyby się zdarzył jakiś cud w pańskiej redakcji, zbyłby go pan milczeniem, czemu nie dziwiłbym się, bo i biskupi nawet niebardzo obecnie są wierzącymi. Ale tu nie o to chodzi. Chodzi o to, że w rodzinie Exmooreów jest coś dziwnego, coś, co niby wygląda normalnie, a jednak jest anormalne. A i to Ucho gra w tem jakąś rolę, może jest symbolem czegoś, może złudzeniem, a może chorobą dziedziczną. Podanie wspomina również, że po śmierci Jakóba I rycerze zaczęli nosić długie włosy tylko

dlatego, aby pierwszy lord Exmoore'u mógł ukryć swe ucho. Ale to bezwątpienia jest bajką.

Chcę zwrócić pańską uwagę na stale popełniany błąd. Zwykle atakujemy naszą arystokrację za ich pociąg do szampana i brylantów, a tymczasem większość naszego społeczeństwa podziwia tych dygnitarzy za ich umiejętność przyjemnego spędzania czasu i sądzę, że mylimy się bardzo, mówiąc, że posiadanie tytułu arystokratycznego daje już szczęście. Proponuję nawet szereg artykułów w tej kwestji, jak ciężka, prawie nie-ludzka, iście szatańska jest atmosfera tych wytwornych pałaców. Można by dać wiele przykładów, a trudnoby znaleźć lepszy od Ucha Eyresów. Przy końcu tego tygodnia będę mógł dać panu trochę wiarogodnych szczegółów.

Franciszek Finn.

Pan Nutt pomyślał chwilkę, spojrzał na lewy but, wreszcie zawołał silnym, mocnym, ale całkiem bezdusznym głosem:

— Panno Barlow, proszę napisać list do pana Finna.

„Szanowny Panie. Uważam, że to dobra myśl. Proszę przygotować na sobotnią pocztę.

E. Nutt.

Ta wypracowana epistoła była podyktowana jednym tchem i panna Barlow wyklekotała ją też jednym tchem. Wziął potem do ręki nowy arkusik korekty i niebieski ołówek i zmienił wyraz „nadprzyrodzony“ na „zadziwiający“ i „zastrzelić“ na „unicestwić“.

Przy tem miłym, zdrowem zajęciu nadeszła sobota, i pan Nutt siedział znów przy tem samem biurku, dyktując tej samej maszynistce, używając tego samego niebieskiego ołówka przy opracowywaniu rewelacyj pana Finna. Początek zawierał ciężką kolumbrynę ostrych inwektyw przeciw podejrzanym, tajemnym sprawom książąt, co powinno było wywołać oburzenie wyższych sfer towarzyskich. Jakkolwiek pisane było w gwałtownym tonie, jednak doskonałą angielszczyzną, lecz redaktor jak zwykle dokładał starań, aby zbyt aromatyczne wyrażenia w nagłówkach jak: „Żona para i Trucizna“, „Kłopotliwe Ucho“, „Eyres'owie na tokowisku“ (eyrie — tokowisko) wydelikatnić. Potem następowała legenda o tem uchu, obszernej wyluszczonej niż w pierwszym liście Finna, wreszcie streszczenie późniejszych odkryć.

„Wiem, że dziennikarze zaczynają zawsze każdą historję od końca i koniec ten podają jako tytuł. Wiem, że w dziennikach pisze się „Śmierć lorda Jones'a“, a czytelnicy nie słyszeli nigdy, czy lord Jones żył kiedykolwiek. Pański obecny korespondent uważa, że taka metoda, jak wiele innych zwyczajów dziennikarskich, jest złą metodą i że „Codzienny Re-

formator“ powinien służyć lepszym przykładem w tych sprawach. Proponuję więc, aby całą tę historję opowiedzieć od samego początku, jak się rozwinęła, nie zmieniać prawdziwych nazwisk osób występujących, które w wielu wypadkach gotowe są stwierdzić je własnem świadectwem. A co do nagłówków sensacyjnych zapowiedzi — znajdują się na końcu.

Przechodziłem publiczną drogą, która biegła przez jeden z prywatnych sądów devonshirskich i nasuwała myśl o słynnym devonshirskim jabłeczniku i nagle znalazłem się w miejscu, które tę myśl realizowało. Była to niska oberża, składająca się z małego dworku i dwóch stodół, pokrytych słomą, podobnej do siwo-kasztanowatych włosów, rosnących tam od czasów przedhistorycznych. Nad drzwiami gospody wisiał znak, oznajmiający, że gospoda mieści się „Pod błękitnym smokiem“, a pod znakiem stał długi stół, ustawiony jak zwykle w angielskich gospodach przed domem, równie dla abstynentów jak i dla piwoszków. Całą swą szerokością dzielił ich zbyt szczere animozje. Przy stole tym siedziało trzech jegomościów, którzy mogliby z powodzeniem żyć sto lat temu.

Teraz, gdy ich bliżej poznałem, nie trudno mi określić pierwsze wrażenie, lecz narazie spojrzałem na nich niby na jakieś zjawy, dosyć zresztą solidnie wyglądające. Dominującą postacią, dominującą ze względu na to, że był okazalszy we wszystkich swych trzech wymiarach i dlatego, że siedział na

pierwszem miejscu, naprzeciwko mnie, był wysoki, tęgi mężczyzna, ubrany czarno, z czerwoną, prawie apoplektyczną twarzą, łysawy i z nastroszonymi brwiami. Spojrzawszy na niego po raz drugi, nie umiałem jeszcze określić, dlaczego robił na mnie wrażenie jakiejś starożytności, chyba przyczyniał się do tego niemodny biały krawat, jaki noszą duchowni, i silne zmarszczki, dzielące jego brwi.

Jeszcze trudniej mi jest ustalić wrażenie, jakie na mnie zrobił drugi mężczyzna, który coprawda wyglądał całkiem zwyczajnie. Ciemne włosy, nos okrągły, garbaty, ubranie również kapłańskie, czarne. Dopiero, gdy spojrzałem na jego kapelusz o szerokich skrzydłach, zrozumiałem, dlaczego i ten robił jakieś staroświeckie wrażenie. Był to ksiądz katolicki.

Trzeci jegomość, siedzący na drugim końcu stołu, być może najbardziej był napiętnowany minionem stuleciem. Wprawdzie fizyczna jego obecność najmniej zajmowała miejsca i ubranie nie zwracało niczyjej uwagi, ale chude kończyny wciśnięte były w wąskie szare rękawy i nogawki, długa wybladła twarz miała wyraz ponury, może dlatego, że smętne to oblicze uwieszone było w kołnierzyku i owinięte chustką, niby typ ze starego portretu. Włosy, które przy tej twarzy powinny były być bezwarunkowo ciemne, miały zadziwiający rudawy odcień, co w połączeniu z żółtą twarzą wzmacniało ten kolor do barwy purpurowej. Niezwykła barwa włosów rzucała się w oczy również ze względu na nienaturalną obfitość

i skędzierzawienie tego poszycia głowy. Przyjrzałem się dobrze tym panom i, nie mogąc zdać sobie sprawy z pierwszego wrażenia, skłoniłem się do przypuszczenia, że wrażenie staroświecczyny wywołały wysokie o staromodnym fasonie szklanki, które przy paru fajkach, stosownych dla zakrystjan, stały na stole. A może błdził tu jakiś duch minionych stuleci.

Będąc gorliwym reporterem i znajdując się w gospodzie, otwartej dla wszystkich, uważałem, że nie będzie bezczelnością, jeżeli zasiadę również przy tym stole i zażądam cydru. Nawiązawszy rozmowę z sąsiadami, przekonałem się, że gruby jegomość bardzo wiele miał do powiedzenia o miejscowych zabytkach, a mniejszy księżyk, chociaż o wiele mniej mówił, zadziwiał mnie swą wielką kulturą. Stary zaś gentleman w ciasnych spodniach pozostał wyniosły i milczący, dopóki nie napomknąłem o księciu Exmooru i jego przodkach.

Myślałem, że przedmiot ten zakłopotuje moich towarzyszy, gdy tymczasem, niby pod zaklęciem, rozwiązał usta milczącemu jegomościowi. Mówiąc powściągliwie, z akcentem dobrze wychowanego człowieka, puszczając w przerwach kłęby dymu z zakrystjańskiej fajki, opowiedział mi kilka okropnych historii, jakich nigdy w życiu nie słyszałem. Jak jeden z Eyresów przed paru wiekami powiesił własnego ojca, jak drugi własną żonę włóczył końmi przez wio-

skę, jak jeszcze inny podpalił kościół pełen dzieci i tym podobne.

Oczywiście niektóre z tych historyj nie nadają się do druku jak np. podanie o szkarłatnych zakonnicach, wstrętne opowieść o łaciastym psie i o tem, co się miało dziać w kamieniołomach. Cały ten rejestr krwawych okropności wypływał z cienkich, szlachetnie wykrojonych ust z wielką lubością, a opowiadający od czasu do czasu zwilżał je winem z wysokiej, smukłej szklanki.

Widziałem, że gruby jegomość, siedzący naprzeciw mnie, niejednokrotnie miał ochotę powstrzymać go, nie mógł się jednak na to odważyć ze względu widocznie na wielki szacunek, jaki żywił do tego pana. Mały zaś księżulo, jakkolwiek nie znać było na nim zaambarasowania, patrzył uparcie w stół i widać było, że opowiadania te robią mu przykrość.

— Widzę — zwróciłem się do narratora — że nie ma pan wielkiego nabożeństwa do przedstawicieli drzewa genealogicznego Exmoore'ów.

Popatrzył na mnie przez chwilę, usta jego zachowały jeszcze dawny wyraz, lecz zbieleły i zaciśnieły się. Silnym ruchem zrzucił ze stołu szklankę i fajkę i wstał, ukazując postać prawdziwego wielkiego pana o szatańsko płonących oczach.

— Panowie ci — wskazał na swych towarzyszy — powiedzą panu, czy mogę ich poważać. Przekleństwo starego Eyres'a ciąży na całej okolicy i wielu ludzi

cierpiało przez nie... A wszyscy wiedzą, że nikt tak nie cierpiał jak ja!

Rozdeptał szczątki szklanki nogą i odszedł. Zielonkawe cienie zmroku ukryły go za szeleszczącymi gałęziami jabłoni.

— Jakiś dziwny starzec! — odezwałem się. — Czy panowie coś wiedzą, czego on doznał od rodziny Exmoore'ów? Co to za jeden?

Grubas patrzył na mnie z miną poskromionego byka, zdawał się nic nie słyszeć, wreszcie odpowiedział:

— Pan go nie zna?

Przyznałem się do swej ignorancji, i znów zapadła cisza. Po chwili mały ksiądz odezwał się, patrząc ciągle na stół:

— To jest książę Exmooru. — I zanim zdołałem zebrać rozpieszczone zmysły, dodał równie spokojnie, jakgdyby dopełniając towarzyskiego obowiązku wzajemnego przedstawiania: — Towarzysz mój — dr. Mull, bibliotekarz księcia, a ja nazywam się Brown.

— Ależ — bełkotałem — jeżeli to jest książę, czemuż potępia tak swych przodków?

— On jest przekonany — odrzekł ksiądz Brown — że ciąży na nim ich klątwa. — A potem dodał z pewną niechęcią. — Dlatego nawet nosi perukę.

Upłynęło kilka minut, zanim to, co powiedział, utrwaliło się w mym mózgu.

— Nie ma chyba ksiądz na myśli tej bajki o legendarnem uchu? — spytałem. — Słyszałem o tem

naturalnie, lecz z pewnością to zabobonne przedziwo wywodzi się z czegoś o wiele prostszego. W szesnastym wieku miano zwyczaj obcinać uszy zbrodniarzom, może więc jest to jakaś wersja podobnej historii?

— Nie wiem, czy tak było — odrzekł ksiądz zadumany — ale jak wytłumaczyć naukową czy przyrodniczą teorią, że w rodzinie pojawia się stale taka nie-normalność — iż jedno ucho jest większe od drugiego?

Gruby bibliotekarz ukrył głowę w czerwonych rękach jak człowiek, który ma do wykonania trudny obowiązek.

— Nie — szepnął — robisz pan krzywdę temu człowiekowi. Oczywiście, nie mam żadnej racji bronić go, ani też pokładać w nim wiary. Był dla mnie takim samym tyranem, jak dla wielu innych. Jakkolwiek siedział tu razem z nami, niech pan nie sądzi, że nie uważa się za wielkiego pana w najgorszym znaczeniu tego wyrazu. Potrafiłby posłać człowieka o miłę, żeby ten zadzwonił dzwonkiem, który leżał tuż pod ręką księcia poto, aby znów przyszedł drugi człowiek z odległości trzech mil i podał mu zapałki, leżące na drugim stole... Musi mieć jednego lokaja, który nosi za nim laskę, a innego do noszenia lornetki...

— Ale nie ma lokaja, któryby mu czyścił ubranie — przerwał mu ksiądz dziwnie oschłym tonem — i lokaja do otrzepywania peruki.

Biblijotekarz zwrócił się ku niemu i zdawał się zapominać o mojej obecności. Był niezwykle poruszony i, przypuszczam, nieco rozgrzany winem.

— Tak, Ojcie Brown — odezwał się — ma ksiądz rację. Wszystko musi być zrobione dla niego prócz ubierania. Ubiera się w zupełnej samotności. Już niejeden wyleciał za drzwi bezpowrotnie za to tylko, że się znalazł zbyt blisko drzwi jego toaletowego pokoju.

— Miły osobnik — zauważyłem.

— Nie — odpowiedział dr. Mull spokojnie — i właśnie dlatego mówię, że jest pan dla niego niesprawiedliwy. Książę, moi panowie, cierpi istotnie nad tą klątwą, o której mówił przed chwilą. Ukrywa z prawdziwym sromem i zgrozą pod tą czerwoną peruką coś, co w jego mniemaniu mogłoby przerazić synów rodu ludzkiego. Jestem tego pewien, jestem pewien, że nie jest to tylko zwykłe zniekształcenie, jakim podlegali przestępcy, lub odziedziczona dysproporcja, jestem pewien, że to coś gorszego. Opowiadano mi, że był taki, co chciał wykryć tajemnicę, lecz uciekł, przerażony tem, co zobaczył.

Otworzyłem usta, aby coś powiedzieć, ale Mull ciągnął dalej, wypuszczając słowa przez szparę między palcami, zapomniawszy o mnie:

— Nie miałem zamiaru opowiedzieć ci to, Ojcie, ale czuję, że powinienem raczej usprawiedliwić księcia, niż go potępiać. Słyszał ksiądz o tem, jak bliski był ksiązę utraty swych dóbr?

Książd potrząsnął głową, więc bibliotekarz rozpoczął opowiadanie o tem, co słyszał od swego poprzednika na tem samem stanowisku, który był jego nauczycielem, a któremu wierzył bezwzględnie. Poczęści była to zwykła historia o upadku wielkopąńskiej fortuny — opowieść o rodowym doradcy prawnym. Doradca ów był rzetelnym krętaczem. Nie sprzeniewierzył funduszków, lecz mając zupełne zaufanie i korzystając z niewtrącania się księcia w interesy, posiadał zupełną władzę nad jego majątkiem. Doradca ten nazywał się Izaak Green, lecz księżę nazywał go Eljaszem, może dlatego, że był zupełnie łyśy, chociaż nie miał jeszcze trzydziestu lat. Szybko robił karierę, zajmując się niezupełnie czystymi interesami. Zaczął od denuncjatorstwa, potem był lichwiarzem, ale jako doradca prawny Eyres'ów umiał trzymać się układnie, dopóki nie był gotów do ostatniego ciosu. Cios ten wymierzył przy obiedzie. Stary bibliotekarz zapewniał, że nie zapomni nigdy tego widoku, gdy przy stole, zastawionym karafkami, prawnik ze swym niezmiennym uśmiechem na twarzy proponował wielkiemu panu podział majątku między nich dwóch. Skutek tej propozycji był piorunujący. Księżę, nie otworzywszy nawet ust, roztrzaskał karafkę na łysej głowie tak szybko, jak dziś stłukł szklankę w tym sadzie. Pozostawiło to trójkątny ślad na czaszce. Wyraz oczu prawnika się zmienił, uśmiech jednak pozostał ten sam. Powstał, chwiejąc się, i odparował cios na swój sposób. — Bardzo jestem z te-

go zadowolony — odezwał się — bo teraz będę mógł wziąć cały majątek. Prawo mi go przyzna.

Twarz Exmoora spopielała podobno, ale oczy nie straciły blasku. — Prawo ci go przyzna odrzekł — ale nie weźmiesz go... Dlaczego? Gdyż będzie to dla mnie momentem wypełnienia ciężącej na mnie klątwy. Jeżeli огоłocisz mię z majątku, ja огоłocę swą głowę z peruki... Ty, nieopierzony dudku! każdy może oglądać twoją łysą pałę, nikt jednak nie może spojrzeć na moją głowę i... żyć dłużej...

Może pan o tem sądzić, co mu się podoba, ale Mull przysięgał, że jest faktem niezaprzeczonym, iż prawnik, potrząsnawszy zaciśniętymi pięściami w powietrzu, uciekł i nigdy już więcej nie pojawił się w okolicy. Lecz od tego czasu ludność miejscowa bardziej się obawiała Exmoora jako czarownika niż jako pana tych ziem.

Mull opowiadał tę historję z teatralnemi gestami i z wielkiem przejęciem, co wzbudziło we mnie przekonanie, że jest wielkim stronnikiem księcia. Przychodziło mi nawet na myśl, że ten fanfaron i plotkarz wyssał ją sobie z palca, ale zanim uzupełnię swoje odkrycia, zmuszony jestem przyznać dr. Mullowi, że moje późniejsze dociekania potwierdzają jego opowiadanie. Dowiedziałem się od pewnego starego aptekarza w miasteczku, że pewnego wieczoru przyszedł do niego jakiś pan, elegancko ubrany, podając swe nazwisko — Green, aby mu przyłożyć plaster na rozciętą głowę. Dowiedziałem się również ze

starych gazet, że był jakiś proces między księciem a "Greenem".

Redaktor Nutt napisał jakieś nieczytelne słowa na czele rękopisu, postawił jakieś tajemnicze znaki na boku i poprosił swym bezbarwnym głosem pannę Barlow o napisanie listu do pana Finna.

„Szanowny Panie. Rękopis pański pójdzie, ale chciałbym zmienić nieco nagłówek. Poza tem nasi czytelnicy nie zgodzą się na udział w tej sprawie księdza katolickiego. Nazwałem go panem Brown, duchownym.
E. Nutt“.

W parę dni później pracowity i rozważny redaktor siedział nad dalszym ciągiem rewelacyj pana Finna, a niebieskie jego oczy roztwierały się coraz szerzej nad opowieścią o tajemnicach wielkiego świata.

„Zrobiłem zadziwiające odkrycie. Szczerze przyznaję, że spodziewałem się całkiem innego rozwiązania, ale pod względem praktycznym to będzie bardziej emocjonujące dla naszych czytelników. Odważę się powiedzieć, że słowa moje czytane będą w całej Europie, w Ameryce i we wszystkich kolonjach. A stało się to wszystko przy tym samym stole, w tym samym sadzie jabłecznym.

Zawdzięczam wszystko temu maleńkiemu księdzu Brownowi. To niezwykły człowiek!... Gruby bibliotekarz wstał od stołu, może zawstydzony niepowściągliwością swego języka, a może zaniepokojony nagłym zniknięciem tajemniczego chlebowodawcy, i poszedł

zwolna między drzewa, śladami księcia. Ojciec Brown wziął do ręki jedną z cytryn, leżących na stole, i przyglądał się jej z dziwną przyjemnością.

— Jakież miły kolor tej cytryny — odezwał się. — Co mię najbardziej odstręcza od peruki księcia — to właśnie jej kolor.

— Niebardzo rozumiem pana — odpowiedziałem.

— Trzeba przyznać, że ma zupełne prawo ukryć swe uszy niby król Midas — mówił ksiądz z rozbijającą prostotą, która w tych okolicznościach raziła płytkością. — Rozumiem to doskonale, że miłej jest okryć głowę włosami, niż kawałkiem metalu lub skórzaną klapką. Ale jeżeli chciał użyć włosów, czemuż one nie miałyby przypominać prawdziwych włosów? Włosów takiego koloru niema na całym świecie! Przecież to przypomina chmurę, oświetloną zachodzącym słońcem... Czemuż nie ukrywa tej rodowej klątwy lepiej, jeżeli się jej tak wstydzi? A wie pan dlaczego? Bo wcale się jej nie wstydzi... Szczyci się nią!

— Zbyt straszna peruka, aby się nią szczyć — odpowiedziałem — i zbyt straszna historia.

— Uważam, że pan te sprawy zbyt realnie bierze — mówił mi ten interesujący człowiek. — Nie przypuszczam, aby pan był większym snobem i miał bardziej chorobliwe upodobania niż ogół ludzi, ale czy pan nie odczuwa, że taka klątwa w rodzinie jest czemś wyróżniającem? Czy pan nie byłby zawstydzony i dumny, gdyby potomek zgrozą przejmujących

Glamisów nazywał pana swoim przyjacielem, lub gdyby rodzina Byronów powierzała jedynie panu tajemnicę brzydkich przygód swego rodu? Nie trzeba więc być zbyt surowym dla arystokracji, której głosy są równie słabe jak i nasze, a snobizm ich obejmuje i własne troski.

— Ależ to szczerą prawdą! — wykrzyknąłem. — W rodzinie mej matki był jeden banita, a myśl o nim niejednokrotnie uspakaja mię w przykrych chwilach życia...

— Niech pan sobie przypomni — ciągnął dalej książd — ten strumień krwi i trucizn, jaki wytrysnął z jego cienkich ust w chwili, gdy pan wspomniał o jego przodkach. Czyżby każdemu obcemu pokazywał to muzeum potworności, gdyby się niem nie szczylił? Nie ukrywa swej peruki, nie ukrywa krwi, ani klątwy rodzinnej i nie ukrywa zbrodni, popełnionych w rodzinie... ale...

Głos jego tak nagle się zmienił, zacisnął rękę tak mocno, oczy rozszerzyły się nakształt oczu rozbudzonej sowy, że wypowiedziane słowa nabrały silniejszego znaczenia.

— ...ale — kończył — ukrywa on tylko swą czynność ubierania się...

Poczułem dreszcz rozbudzonej wyobraźni, gdy w tej chwili ukazał się znowu książę między szeleszczącymi drzewami. Wyszedł cicho z poza rogu domu w towarzystwie swego bibliotekarza. Zanim się zbliżył do nas, Ojciec Brown zakończył:

— Czemuż ukrywa tajemnicę pod tą czerwoną peruką? Przypuszczam dlatego, że niema w tem nic tajemniczego...

Zbliżył się książę i zajął miejsce przy stole ze zwykłą sobie godnością. Zaambarasowany bibliotekarz nie umiał poradzić sobie z zawadzającymi mu nogami. Obracał się jak olbrzymi niedźwiedź.

Książę z całą powagą zwrócił się do księdza.

— Ojcie Brown, dr. Mull poinformował mię, że ksiądz ma jakąś prośbę do mnie. Już oddawna nie wykonywam praktyk religijnych moich przodków, ale przez pamięć dla nich i, pamiętając o czasach, w których żyli, chcę księdza wysłuchać. A może ksiądz wolałby powiedzieć to na osobności?

Jako gentleman powinienem był oddalić się, ale jako dziennikarz wolałem zostać. Zanim stoczyła się we mnie walka, ksiądz uczynił powstrzymujący gest.

— Gdyby Wasza Łaskawość zgodziła się na moją prośbę i gdybym miał prawo coś Jej radzić, to pragnąłbym, aby jak najwięcej ludzi było przy tem obecnych. Z całej okolicy znalazłbym setki, nie tylko mego wyznania, których wyobraźnia jest zatrutowana urokiem, jaki Wasza Łaskawość mogłaby zdjąć. Chciałbym, aby na ten czyn patrzył cały Devonshire.

— Na mój czyn? Jaki? — spytał książę, marszcząc brwi.

— Aby książę zdjął swoją perukę.

Nie drgnęła nawet twarz księcia, patrzył tylko na proszącego szklanymi oczyma o tak strasznym

wyrazie, jakiego nigdy nie widziałem na żadnej ludzkiej twarzy. Wielkie nogi bibliotekarza zachwiały się jak badyle na kałuży, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w tej ciszy, jaka zaległa, w gniazdach ptasich ulokowały się djabliki.

— Oszczędzam księdza — przemówił wreszcie książę z nadludzką wprost litością — odmawiam. Gdybym tylko jak najogólniej opisał okropność, jaką sam muszę dźwigać, padłbyś mi do nóg, błagając, aby nie dowiedzieć się niczego. Oszczędzę księdzu tej przykrości. Nie można zmienić pierwszych liter, który zostały napisane na ołtarzu Nieznanego Boga.

— Znam Nieznanego Boga — odrzekł ksiądz z nieświadomą wzniosłością tej wiary, która trwa niezachwiana jak granitowa wieża. — Znam jego imię. Jest to Szatan. Prawdziwy Bóg stworzył ciało i przebywa między nami. I powiadam panu, że jeżeli ludzie chcą władać zapomocą tajemnicy, jest to tajemnica niegodziwości. Gdyby szatan szeptał ci, że strach jest na coś spojrzeć — spójrz na to; gdyby ci mówił, że niepodobna tego wysłuchać — wysłuchaj! Jeżeli myślisz, że prawda jest nie do zniesienia — znieś!... Błagam Waszą Łaskawość o zdjęcie tego czaru i to teraz, przy tym stole.

— Gdybym to uczynił — szepnął książę — wszyscy tu obecni, patrzący na to, zginęlibyście marnie. Byłoby to poznanie Nicości jeszcze za życia...

— Krzyż Chrystusowy stanąłby między nami i wsparłby mię. Zdejm perukę!

Przechyliłem się przez stół w niezwykłym podnieceniu. W chwili tego niezwykłego pojedynku przebiegła mi pewna myśl przez głowę.

— Wasza Łaskawość — zawołałem — widzę w tem jakieś oszustwo! Zdjąć perukę, bo ją sam zerwę!

Może wpłynie skarga na mnie za napad, ale jestem bardzo zadowolony z tego, com zrobił. Gdy odpowiedział tym samym kamiennym głosem — Odmawiam — skoczyłem ku niemu. Przez kilka chwil walczył ze mną niezwykle zaciekle, jakby chodziło o życie, lecz przechyliłem mu głowę tak, że peruka spadła na ziemię. Muszę się przyznać, że podczas mówienia się zamknąłem oczy.

Otworzyłem je dopiero na krzyk Mulla, który cały czas stał przy księciu. Teraz przyglądał się jego bezwłosej głowie. Wreszcie krzyknął:

— Co on sobie myśli? Przecież nie miał nic do ukrywania! Uszy ma takie same jak każdy z nas!

— Tak — odezwał się Ojciec Brown — i dlatego je ukrywał. — Podeszedł prosto ku niemu i o dziwo, nie spojrzał nawet wcale na uszy. Z komiczną powagą wpatrzył się w łysą głowę i wskazał palcem na trójkątną bliznę, już wygojoną, lecz jeszcze widoczną. — Więc pan Green, zdaje mi się — przemówił bardzo uprzejmie — mimo wszystko wziął sobie te dobra!...

A teraz niech mi czytelnicy „Codziennego Reformatora“ pozwolą powiedzieć, co myślę o całej tej sprawie. Scena tej przemiany, jakkolwiek wydawać się może niezwykłą i tajemniczą, niczem perskie bajki, nie miała w sobie nic tajemniczego. Człowiek ten nie był wcale w niezgodzie z prawem. Nosząc tę dziwaczną perukę i mając zwykłe uszy, nie był wcale oszustem. Chociaż nosił włosy innego człowieka i pragnął mieć uszy innego człowieka; nie skradł bynajmniej tytułu szlacheckiego. Jest rzeczywiście księciem Exmooru. A to się stało tak: Stary książę miał istotnie zdeformowane uszy, nie jestem pewien, czy je odziedziczył po kimś. W istocie cierpiał nad tem, i bardzo możliwe, że przypomniał sobie o jakiejś kławatwie podczas gwałtownej sceny (co jest stwierdzone, że się odbyła), kiedy rozbił karafkę na głowie Greena. Lecz kłótnia zakończyła się inaczej. Green wniósł oskarżenie, i przyznano mu dobra. Wywłaszczony szlachcic zastrzelił się. Po pewnym czasie uprzejmy rząd angielski wskrzesił wygasłe parostwo i nadał je najbardziej godnej tego osobie, a mianowicie właścicielowi tych dóbr.

Człowiek ten wykorzystał stare feudalne bajdy, których jego dusza snoba zazdrościła. Tysiące biedaków drżało przed głową rodu, obciążoną przekleństwem przeznaczenia i koroną ciemnych gwiazd, nie wiedząc, że drży przed spryciarzem, który był poprzednio lichwiarzem i donosicielem.

Typowa ta sprawa wykazuje, czem jest nasza arystokracja. Długo jeszcze pozostanie takąż samą, dopóki Bóg nie ześle nam dzielniejszych ludzi“.

Pan Nutt rzucił rękopis i niezwykle ostro wezwał pannę Barlow do napisania listu.

„Szanowny Panie. Chybaś pan zwarjował. Nie możemy o tem pisać. Przypuszczam, że będą jakieś klechdy o wampirach i innych zabobonach starej arystokracji. Oni to lubią. A może pan być pewien, że tego Exmoorowie nie przebaczyliby nam nigdy. Chciałbym wiedzieć, co nasi czytelnicy powiedzieliby na to? Przecież Sir Simon jest najlepszym przyjacielem Exmoorów, a przyszłość kuzyna Eyres'ów, który w Bradfordzie jest tak nam wierny, byłaby zupełnie zmarnowana. A zapominasz pan, że nasz stary mydlarz odchorował już zeszłego roku, że go minęło parostwo. Zamordowałby mnie chyba, gdybym w taki warjacki sposób podstawił mu nogę. A co powiedziałyby Duffey? Daje nam właśnie parę ostrych artykułów pod tytułem „Pięta Normanów“. Jakże on może pisać o Normanach, kiedy okazuje się, że są to może jacyś doradcy prawni? Bądź pan rozsądny.

E. Nutt“.

Podczas gdy panna Barlow energicznie klekotała na swej maszynie, pan Nutt zgniótł rękopis i wrzucił do pustego kosza, ale zanim to zrobił, bezwiednie, siłą przyzwyczajenia, wykreślił wyraz „Bóg“, zmieniając go na „zbieg okoliczności“.

W KRAINIE LEGEND.

Ojciec Brown czuł się nieusposobiony do przygód. Zachorował z przepracowania, a gdy zaczął przychodzić do zdrowia, przyjaciel jego Flambeau namówił go, aby rekonwalescencję swą odbył na yachcie sir Cecila Fanshawa, młodego ziemianina z Kornwalji, wielkiego miłośnika pięknych kornwalijskich krajobrazów. Ale ksiądz wcale lepiej się nie czuł na morzu, a chociaż nigdy nie miał usposobienia gderliwego i nie lubił, jak to mówią, szukać dziury w całym, daleko mu jeszcze było do zwykłej jego cierpliwości i uprzejmości. Nic go nie mogło wyrwać z apatji. Patrzył i słuchał, jak obaj jego przyjaciele zachwycali się malowniczym zachodem słońca, przez które przesuwwały się postrzępione fioletowe chmury. Pokazywali mu rozłupane wulkaniczne skały, z których jedna miała kształt smoka. Popatrzył na nią i nic nie odpowiedział. Fanshaw, niezmordowany w swych zachwytach, twierdził z entuzjazmem, że skała stanowczo przypomina Merlina, Ojciec Brown apatycznie zgodził się z tem.

— Czyż ta czeluść w górze nie robi wrażenia, iż jest wrotami do krainy baśni? — pytał oczarowany Flambeau.

— W istocie — odrzekł krótko ksiądz.

Z jednakową apatją wysłuchiwał najbardziej wzruszających historyj, jak i najpospolitszych uwag. Dowiedział się, że okrętowy kot śpi teraz; że wybrzeże to jest zupełnem pustkowiem, gdzie goszczą tylko marynarze; że Flambeau martwi się, nie wiedząc, gdzie się podziała jego papierośnica; słyszał, jak pilot wyrzekł niezwykłą sentencję: „Jeśli patrzy na oba oczy, to wszystko będzie dobrze, a jeżeli jednym okiem mruga, to się tonie“. Bezmyślnie słuchał, jak Flambeau twierdził, iż to zapewne ma znaczyć, że pilot powinien mieć zawsze oba oczy otwarte i stale czuwać, na co mu Fanshaw odpowiedział, że to jest przenośnia: Jeżeli widać dwa światła latarni morskich, jedno bliskie, drugie dalsze, to znaczy, że wpływają do ujścia rzeki, ale jeżeli jedno światło kryje się za drugim, to wjeżdżają na skały. Słyszał, jak Fanshaw dodał, że hrabstwo to pełne jest przepięknych baśni i że właściwie możnaby je nazwać krainą romansów. Można było wyczuć pewne politowanie w głosie, gdy porównywał Kornwalję z Devonshire, które rościło prawo do mistrzostwa sztuki nawigacyjnej w czasach elżbietańskich. Stąd pochodzili najznakomitsi kapitanowie, w porównaniu z którymi taki Drake był zwykłym szczurem lądowym. Flambeau roześmiał się i zapytał, czy awanturnicze ha-

sło: „Ku zachodowi!“ nie oznacza przypadkiem, że wszyscy mieszkańcy Devonshire'u pragną zamieszkać w Kornwalji? Fanshaw odpowiedział, że nie są na tyle głupi, zresztą nie tylko dawni kornwalijscy kapitanowie byli tak bohaterscy, bo i teraz tacy się jeszcze znajdują. Tu, w tych okolicach zna jednego starego admirała, teraz już na emeryturze, który odbywał niezwykle podróże pełne przygód. Kiedyś, jeszcze za swych młodych lat, odkrył ostatnią grupę ośmiu wysp na oceanie Spokojnym. Wyspy te obecnie zdobią mapę świata.

Sir Cecil Fanshaw miał niezwykle entuzjastyczne usposobienie i takie twarde, lecz awanturnicze życie nadzwyczaj go zachwycało. Postać jego była bardzo ujmująca. Był to młody, jasnowłosy, o pięknej cerze i energicznym profilu mężczyzna. Postawa bardzo junacka, lecz cera i delikatne obejście dziewczęce. Ciemnowłosy, o szerokich barach i ruchach muszkietera Flambeau był jego zupełnym kontrastem.

Wszystko to Ojciec Brown widział i słyszał, lecz tak, jak zmęczony człowiek, siedząc w wagonie, słyszy odgłos toczących się kół, lub chory, leżąc nieruchomo w łóżku, przygląda się deseniom tapety. Taki stan wypływał niewątpliwie z rekonwalescencji, ale prawdopodobniejsze było, że ksiądz Brown nie był zżyty z morzem.

Skoro ujście rzeki zwężyło się w kształt szyjki butelki, woda stała się spokojniejsza i bliżej było lądu, ksiądz poczuł się rańniejszy i zaczął się naraz

wszystkiem interesować. Powietrze i woda jaśniały przejrzystością, a każda rzecz na ziemi zdawała się olbrzymieć i czernieć na tem tle przejrzystem. Był to wieczór, jakich wiele, a jednak jakże inny! Jakby kto przesunął zakopcone szkło między naturę i oczy ludzkie. Ciemniejące barwy dnia zdawały się wspanialsze, niż jaskrawe kolory podczas dni pochmurnych. Zdeptana ziemia i torf na grobli straciły swą płowość i jaśniały płomienną umbrą. Ciemny, zamglony granat drzew, poruszany wiatrem z oddali, przybrał żywy odcień fioletowego kwiecia. Na tę czarodziejską czystość i wyrazistość barw zwrócił wreszcie ksiądz Brown uwagę. Dojrzał całą romantyczność i pewną tajemniczość w tym krajobrazie.

Rzeka była jeszcze dostatecznie szeroka i głęboka dla ich niewielkiego stateczku. Płynąc krętym jej nurtem, brzegi zmieniały się i co chwila chowały się jak w dłoni. Drzewa zdawały się wpadać na most. Statek wypływał z romantycznej doliny i wpadał w romantyczniejszy wąwóz z wąwozu wsuwał się w przepiękny tunel. Na nowo rozbudzona fantazja księdza Browna znalazła dla siebie jeszcze więcej strawy na drugim brzegu. Po stromej krawędzi szli cyganie, ciągnąc za sobą chróst i łożynę, a na rzece ujrzał widok zwykły, lecz tutaj niespodziewany. W małej łódce siedziała młoda dziewczyna o ciemnych włosach, nieprzykrytych kapeluszem, i wiosłowała. A jednak wszystkie wrażenia pierzchły odrazu, gdy Ojciec

Brown dojrzał na nowym zakręcie rzeki coś osobliwego.

Wodę w tem miejscu rozłupywał klin ciemny wysepki o kształcie ryby. Przy zbliżaniu zdawało się, że to wysepka płynie ku nim jak okręt o bardzo wysokim przodzie, a raczej o niezwykle wysokim kominie. Na krańcu tego ostrowu wznosił się budynek dziwnego kształtu, niepodobny do żadnego widzianego dotychczas na szerokim świecie, który do niczego nie można było porównać. Nie był może tak bardzo wysoki, a jednak ze względu na swą szerokość na tyle wysoki, że należało to nazwać wieżą. Zdaje się, że cała była zbudowana z drzewa, ale w dziwny jakiś, ekscentryczny sposób. Niektóre tarcice i belki były z dobrego dębu, niektóre części z surowego, świeżego drzewa, niektóre znów z białej sosny, pociągniętej smołą. Czarne te belki widniały na skrzyżowaniach węglów. Robiło to wszystko wrażenie jakiejś łataniny i było naprawdę osobliwe. W wieży tej widać było parę okien oprawionych w starodawny sposób w ołów. Podróżni nasi patrzyli na to ze zdumieniem, jak się patrzy na rzecz, która niby podobna jest do rzeczy znanej, a jednak jest zupełnie inna.

Ile razy Ojciec Brown dał się unieść jakiemuś złudzeniu, miał zwyczaj czem prędzej zanalizować tę złudę. Więc i teraz doszedł do przekonania, że cała dziwaczność wypływała z osobliwego kształtu i z użycia nieodpowiednich materiałów do budowy, jakby ktoś zobaczył cylinder na głowie mężczyzny, zrobiony

z blachy, albo frak, uszyty z muślinu. Niewątpliwie widywał nieraz taki budulec, w takich samych kolorach, ale nie przy podobnej architekturze. Następny rzut oka między ciemne drzewa wyjaśnił mu wszystko, więc roześmiał się. Drzewa w tem miejscu tworzyły lukę i można było dojrzeć jeden z tych starych, drewnianych, zbudowanych z czarnych belek domów, jakie jeszcze w niektórych miejscowościach Anglii można spotkać, a które jednak niezawsze szczęśliwie imitują „Stary Londyn“ lub „Szekspirowską Anglję“.

Oczy księdza, penetrując między drzewami, ujrzały długi, staromodny, ale wygodny wiejski dwór z klombami kwiatów przed wejściem. Wyglądał przyzwoicie, a w każdym razie nie miał tak pstrokatego i nietrwałego wyglądu jak owa wieża.

— Cóż to jest u licha! — zawołał Flambeau, patrząc zdumiony na wieżę.

Oczy Fanshawa zabłysły zadowoleniem.

— A! wyobrażam sobie, że dotąd nigdy nie widzieliście czegoś podobnego! dlatego też przywiozłem was tutaj, moi przyjaciele. Teraz przekonacie się, czy przesadzałem, mówiąc o kornwalijskich marynarzach. Posiadłość ta należy do starego Pendragona, którego nazywają admirałem, chociaż wycofał się ze służby, zanim otrzymał stopień. Duchy Raleigh'a i Hawkins'a żyją w pamięci devonshirskiego ludu, Pendragonowie będą ich spadkobiercami. Gdyby królowa powstała z grobu i przypłynęła tutaj złoconą barką, przyjąłby ją admirał w domu zupełnie takim

samym, do jakiego była przyzwyczajona w swej epoce. Każde okno, każda tafla ściany, każdy blat stołu jest ściśle z tej epoki. I znalazłaby w nim angielskiego kapitana, opowiadającego z dumą, niby dawny słynny Drake, o odkryciu przez siebie nowych lądów.

— Zobaczyłaby też i to dziwadło w ogrodzie — wtrącił Ojciec Brown — i chyba nie zachwyciłyby się tem jej oczy, przyzwyczajone do renesansowych widoków. Architektura z czasów Elżbiety była pełna uroku, a to przeczy wszelkim prawidłom budowlanym.

— A jednak — odrzekł Fanshaw — jest to najbardziej romantyczna i najbardziej zbliżona do tej epoki część budynku. Wieża ta została zbudowana przez Pendragonów w czasie wojen hiszpańskich. Była niejednokrotnie naprawiana, a nawet przebudowywana, i starano się wszelkie poprawki utrzymać w dawnym stylu. Opowiadają, że to żona sir Piotra Pendragona kazała ją zbudować na tym pagórku, bo ze szczytu, który panowie możecie stąd zobaczyć, chciała widzieć okręty, wpływające do ujścia rzeki. Pragnęła pierwsza ujrzeć męża, powracającego z hiszpańskich lądów.

— A dlaczego była przebudowywana? — zapytał Ojciec Brown.

— Dziwna to jest historia — z zadowoleniem odpowiedział młody ziemianin. — Znajduje się ksiądz w prawdziwej krainie dziwnych opowieści. Tu zrodziły się podania o królu Arturze i o Merlinie i tu po-

wstały różnorodne klechdy. Z jednej z nich dowiadujemy się, że sir Piotr Pendragon, który, niestety, posiadał niektóre wady piratów, jak i cnoty dzielnych żeglarzy, wioził pewnego razu trzech hiszpańskich rycerzy jako zakładników, mając zamiar odwieźć ich na dwór królowej Elżbiety. Miał jednak zapalny i prawie tygrysi temperament, pokłócił się z jednym z nich, chwycił go za gardło i wrzucił przypadkiem, czy też umyślnie do morza. Drugi Hiszpan, brat tamtego, wyciągnął miecz i uderzył na Pendragona. Po krótkiej lecz zacieklej walce, w której obaj otrzymali po parę ran, Pendragon przeszył mieczem drugiego Hiszpana. Cios był śmiertelny. W tej chwili okręt wpływał już do ujścia rzeki i zatrzymał się na płytkiej wodzie. Trzeci Hiszpan wyskoczył przez burtę i zaczął płynąć ku wybrzeżu. Miał już wody po pas, więc stanął, zwrócił się ku okrętowi, podniósł ręce ku niebiosom i jak prorok, wyklinający grzeszne miasto, wołał do Pendragona, strasznym, przejmującym głosem, że żyje, że będzie żył, że będzie żył wiecznie, że żadne z pokoleń Pendragonów nigdy go nie ujrzy, lecz doświadczy różnych znaków, iż on i zemsta jego żyją. Zanurzył się, płynął długo, znikł z oczu i być może utonął.

— Znów ta panna w łódce — zawołał Flambeau, nie zważając na opowiadanie. — Zdaje mi się, że i ją zaciekawia ta wieża, jak i nas.

Istotnie ciemnowłosa dziewczyna przepływała cicho koło wieży i wpatrywała się w nią baczenie, a

na owalnej, oliwkowej twarzy wyraźnie malowało się zaciekawienie.

— Mniejsza o nią! — zawołał niecierpliwie Fanshaw. — Takich dziewcząt jest pełno na świecie, a takich wież niewiele! Możecie sobie panowie wyobrazić, ile przerażenia i zabobonnego lęku zrodziła ta klątwa Hiszpana i, oczywiście, ile razy jaki wypadek zdarzył się w tej rodzinie, przypisywano to z głęboką, wiejską wiarą tej klątwie. Prawdą jednak jest, że wieża ta paliła się kilka razy, a i w rodzinie zdarzały się nieszczęścia częściej niż parę razy. Zdaje się, że nawet bliski krewny admirała zginął na rozbitym okręcie i o ile wiem, na tem samem miejscu, gdzie sir Piotr wyrzucił Hiszpana w morze.

— Jaka szkoda! — przerwał Flambeau. — Odplynęła!

— Kiedy tę historję opowiadał panu admirał? — spytał Ojciec Brown, podczas gdy dziewczyna odpłynęła w swej łódce, bez przerwy przyglądając się wieży, a nie zwracając najmniejszej uwagi na yacht, który Fanshaw skierował ku brzegom wysepki.

— Parę lat temu — odrzekł Fanshaw. — Już od pewnego czasu nie wypływa na morze, chociaż nie stracił wcale zwykłej energji. Przypuszczam, że zrobił to za namową rodziny. Ale właśnie wpływamy do przystani, wylądujemy więc i odwiedzmy tego zucha.

Poszli za nim w głąb wysepki, pod samą prawie wieżę, a Ojciec Brown, poczuwszy stały ląd pod no-

gami, czy też może zainteresowany czemś osobliwem na przeciwległym brzegu, na który patrzył bacznie od pewnego czasu, odzyskał całą swą żywość. Weszli w ocienioną aleję, oddzieloną z dwóch stron żywopłotem z małych drzewek, jakimi zwykle ogradza się parki i ogrody. Na drodze i krzewach leżały postrzępione cienie i ostatnie krwawe błyski zachodzącego słońca jak pióropusze na marach olbrzyma.

Wieża z tej strony wyglądała wcale ładnie i oryginalnie, gdyż zwykle wejścia do takiego dworu strzegą dwie wieże, tutaj zaś była ona samotna. Gdy znaleźli się na zakręcie i dom na chwilę zniknął im z oczu, rozejrzeli się po parku z podziwem, gdyż był o wiele większy, niż można było przypuszczać, sądząc po rozmiarach wysepki. Ojciec Brown podlegał zapewne złudzeniu, gdyż uroił sobie, że całe to miejsce musi być o wiele większe, jak się to nieraz we śnie zdarza.

Szli w milczeniu i zaczęli odczuwać jakiś nastrój mistyczny, gdy naraz Fanshaw przystanął i wskazał na coś, co sterczało z za żywopłotu. To coś wyglądało, jak uwięzły róg jakiegoś zwierzęcia. Bliższa obserwacja ustaliła, że była to klinga metalowa, błyszcząca lekko w topniejącem świetle.

Flambeau, jako były żołnierz, jak wszyscy Francuzi, pochyliwszy się nad tem, domyślił się odrazu i zawołał zdziwionym głosem:

— Ależ to szabla! Wiem nawet jaka... Ciężka,

zakrzywiona, ale krótsza niż ta, jakiej używają w kawalerji... taką mają artylerzyści i...

Szabla tymczasem wsunęła się z powrotem z shelestem, potem znów wysunęła się i z wielkim chrzęstem zaczęła przyginać krzaki ku ziemi. Schowała się znowu, zabłysła w krzakach o parę kroków dalej i rozpoczęła na nowo dzieło zniszczenia. Uwikłała się w krzakach i przy akompaniamencie przekleństw utkwiała w ziemi na chwilę. Wreszcie upadły cienkie drzewa na ścieżkę, obalone z niezwykłą energją, i przed oczyma otworzył się wielki wyłom.

Fanshaw zajrzał tam i wydał okrzyk zdziwienia:

— Ależ kochany admirale, widocznie chcesz ułatwić sobie spacer...

W ciemnościach padło znów przekleństwo, zakończone szczerym śmiechem.

— Nie! musiałem przeciąć trochę te zarośla, gdyż zagłuszają mi wszystkie rośliny. Muszę zrobić jeszcze jeden taki wyłom, a potem pójdziemy do domu.

Podniósł ciężki swój miecz i, parę razy naciąwszy krzaki, zrobił jeszcze szerszy wyrąb. Przez tę świeżo wykończoną bramę wyszedł, ukazując się w świetle wieczoru, z wiórami na klindze szabli.

Stanowił doskonałą ilustrację do klechdy o starym piracie. Być może w szczegółach różnił się nieco, ale pierwsze wrażenie pozostało. Na głowie miał zwykły kapelusz z bardzo szerokiem rondem, lecz rondo było zupełnie z czoła odwinięte ku gó-

rze, boczne zaś strony opadały niżej uszu. Tworzyło to półksiężyc i przypominało trójgraniasty kapelusz Nelsona. Na sobie miał zwyczajną kurtkę, w której nic nie było szczególnego, ale która, skombinowana z białymi płóciennymi spodniami, przypominała ubranie marynarskie. Był wysoki i barczysty, chód miał energiczny, nie był już marynarzem, ale patrząc na niego, miało się ciągle w pamięci podróże morskie. W rękę trzymał szablę o kształcie okrętowej szpady, tylko prawie dwa razy szerszą. Twarz energiczna, gładko wygolona, pozbawiona nawet brwi. Wszelkie uwłosienie na twarzy widocznie było z wielką energją wytepione. Oczy wyraziste i przenikliwe, cera niezwykła, południowa, przypominała kolorem sok pomarańczowy, przytem czerstwa i rumiana, tak, że żółtość jej nie była chorobliwa, lecz przypominała złociste jabłka ogrodu Hesperyd. Ojciec Brown pomyślał, patrząc na tę twarz, że nikt lepiej nie mógłby uzmysłwić bohatera romantycznych opowieści z krain południowych.

Po przedstawieniu admirałowi swych towarzyszy, Fanshaw zaczął znów sobie żartować ze znęcania się gospodarza nad żywopłotem. Admirał z początku odpowiadał żartem na żart, tłumaczył się potrzebą wycięcia zbędnych krzaków, wreszcie w śmiechu zadrgało utajone zniecierpliwienie i zawołał niby żartobliwie:

— Przyznaję, że robiłem to dosyć zaciekle i czułem pewne zadowolenie w niszczeniu. Nie dziwcie

się temu, moi panowie. Od iluż to już lat siedzę na tej obłożonej skale, żyjąc tylko wspomnieniami cudownych podróży, gdy się odkrywało nowe lądy, nieznane wyspy ludożerców... Kiedyś wyciąłem z półtorej mili zielonej dżungli starą szablą, która nawet nie była tak ostra, jak ta, a teraz muszę tu siedzieć i wycinać te drzewa, cienkie jak zapalki, dlatego, że jakiemuś idjocie przywidziało się zapisać w starej rodzinnej Biblii...

Podniósł znowu ciężką stal i jednym cięciem rozpruł zieloną ścianę drzew od góry do samego dołu.

— Tak! takie były moje uczucia!... — kończył, śmiejąc się, ale zarazem z gniewem odrzucając szablę daleko od siebie. — A teraz chodźmy do domu. Proszę panów na obiad.

Półkole trawnika przed domem ozdobione było trzema klombami. Na jednym rosły czerwone, na drugim żółte tulipany, a na trzecim jakieś białe jak woskowe kwiaty, których goście nie znali wcale. Musiały być egzotyczne. Ocieężały, obrośnięty, ponuro patrzący ogrodnik zawieszał wysoko węży gumowego do polewania. Promienie zachodzącego słońca, wynurzając się jeszcze z za węgła domu, padały na nieznane kwiaty. Od strony morza, na огоłowanej z drzew przestrzeni stał wysoki mosiężny trójnóg, na którym opierała się wielka luneta. Przed samem wejściem do domu stał mały, pomalowany na zielono stolik ogrodowy. Widocznie ktoś tam

przed chwilą pił herbatę. Z obu stron wejścia umieszczono dwie postaci kamienne z dziurami zamiast oczu. Były to zapewne jakieś bóstwa z lądów południowych. Nad wejściem na belce dębowej były jakieś rzeźby, wyglądające całkiem barbarzyńsko.

Gdy mijali drzwi, mały księżulek wskoczył zwa-
wo na stół i przez okulary zaczął się przyglądać
rzeźbom, nie zwracając na nikogo uwagi. Admirał
Pendragon spojrział nań ze zdziwieniem, lecz nie
okazał niezadowolenia. Fanshaw był tak ubawiony
widokiem gнома, dającego przedstawienie na ma-
leńkiej scenie, że z trudnością powstrzymywał się
od śmiechu. Ale Ojciec Brown nie zwracał uwagi
ani na zdziwienie, ani na śmiech.

Wpatrywał się w trzy wyrzeźbione symbole, które,
jakkolwiek zniszczone i szerniałe, coś prawdo-
podobnie przedstawiały. Na pierwszej rzeźbie od-
znaczała się sylwetka jakiejś wieży, czy też jakiegoś
innego budynku, otoczona niby poskręcanymi wstąż-
kami. Druga była wyraźniejsza. Stara elżbietańska
galera, a pod nią wielce misterne fale, na których
sterczała w jednym miejscu jakaś poszarpana skała.
Może to była jakaś wada w drzewie albo tak nie-
udolnie przedstawiona fala, zalewająca okręt. Trze-
cia przedstawiała górną połowę ludzkiej postaci,
stojącej w ślimakowato skróconej fali. Twarz była
zatarta i niewyraźna, obie ręce sterczały wyciągnię-
te sztywno w górę.

— Tak — mruknął ksiądz, przymrużając oczy—

tu jest cała opowieść o tym Hiszpanie. Tu właśnie stoi, podnosi ramiona i przeklina, a tam są dwa spełnione przekleństwa: rozbicie okrętu i pożar wieży.

Rozbawiony Pendragon pochylił głowę z szacunkiem.

— A może to zupełnie co innego przedstawia? — powiedział. — Czyż nieznane są herby, przedstawiające pół człowieka, jak bywają wizerunki pół lwa albo pół jelenia? Na drugiej rzeźbie ta linja, przesuwająca się przez okręt, może to ma być jedna z tych parti-per-pale? Zdaje się, że to tak nazywano? Jeżeli trzecia niepodobna jest do herbu, może jednak być herbem, jeżeli wieżę otoczymy wawrzynem, nie zaś płomieniami, a to właśnie na to wygląda.

— Dziwny to byłby zbieg okoliczności — odezwał się Flambeau — gdyż ściśle ilustruje podanie.

— Ach — przerwał sceptycznie usposobiony gospodarz — pan nawet nie wie, ile się tworzy podań na tle starych wizerunków. I to podanie nie jest jedyne. Fanshaw, który przepada za takimi bajkami, mógłby panom opowiedzieć inne wersje, jeszcze bardziej wstrząsające. Według jednej przodek mój przeciął Hiszpana na pół i to doskonale pasowałoby do tej rzeźby. W innej mówi się, że w posiadaniu naszej rodziny znajdowała się wieża pełna węży i tem możnaby również tłumaczyć te wijące się smugi na rzeźbie. Tę linję na okręcie tłumaczą

również jako piorun, uderzający w statek, ale wistocie należy przyznać, że nie jest to prawdopodobne.

— Dlaczego? — spytał Fanshaw.

— Dlatego, że nigdy nie zdarzył się pożar ani piorun na naszych okrętach.

— Ach tak! — zawołał ksiądz i zeskoczył ze stołu.

Zamilkli, i słychać było tylko szmer bieżącej rzeki, wreszcie Fanshaw odezwał się z powątpiewaniem, a może i rozczarowaniem:

— Więc pan mówi, że niema prawdy w tych opowiadaniach o pożarze wieży?

— Opowiadać mogą ludzie wiele, oczywiście — odrzekł admirał, wzruszając ramionami — i nie mogę zaprzeczyć, że mogą mieć nawet pewne powody. Ktoś, przechodząc naprzykład lasem, mógł dojrzeć jakiś blask, ktoś, pasący owce na pastwisku, myślał, że to płomień, wznoszący się z naszej wieży... Ale zdaje się, że na tej przeklętej wyspie znajdzie się dosyć wody, zabezpieczającej od pożaru.

— A tam, co to za ogień? — spytał Ojciec Brown, wskazując nagle na drzewa, rosnące na lewym brzegu. Zaniepokoiłi się wszyscy, a obdarzony bujną wyobraźnią Fanshaw wyobrażał sobie, Bóg wie co, widząc cienką smugę dymu, unoszącą się spokojnie ku szarzejącym już niebiosom.

Pendragon wybuchnął wzgardliwym śmiechem.

— Cyganie! — zawołał — już od tygodnia tu

obożują. Chodźmy panowie na obiad — i zwrócił się ku domowi.

Lecz podejrzenia Ojca Browna nie tak łatwo było uśmierzyć.

— Ależ admirale, co to za szmer słychać tak blisko wyspy?

— Równie ważny, jak i tamten. Zapewne jakaś łódka przepływa tędy — odpowiedział admirał, śmiejąc się ciągle.

W tej chwili na progu domu ukazał się kamerdyner wielce wychudły o czarnych włosach i żółtej, długiej twarzy i oznajmił, że obiad podany.

Jadalnia była urządzona nakształt kabiny okrętowej, w każdym jednak razie bardziej była nowoczesna, niż ten kapitan z epoki elżbietańskiej. Nad kominkiem wisiały różne noże i sztylety jako trofea i stara, szerniała mapa z szesnastego wieku z trytonami i maleńkimi okręcikami, które pstrzyły morza. Lecz to wszystko nikło na białej ścianie przy różnobarwnych ptakach z Południowej Ameryki, bardzo umiejętnie wypchanych, niezwykle fantastycznych muszlach z Pacyfiku i kilku narzędziach o tak dziwacznych kształtach i tak prymitywnych, że prawdopodobnie mogły służyć tylko dzikim plemionom do zabijania i pieczenia swych nieprzyjaciół. Różnorodność niepodzielnie panowała w tym pokoju, gdyż oprócz kamerdynera usługiwali dwaj murzyni, bardzo wykwintnie ubrani w obcisłą, żółtą liberję.

Analityczny zmysł księdza Browna podsunął mu myśl, że barwa i krój stroju tych dwunogów przypominała kanarki, co oczywiście wpływało ze świadomości, iż gospodarz podróżował i po wyspach Kanaryjskich.

Po skończonym obiedzie żółte ubrania i czarne twarze znikły z pokoju, pozostał tylko kamerdyner o żółtej twarzy.

— Nieprzyjemnie mi jest, że pan to tak lekko traktuje — zwrócił się Fanshaw do gospodarza — bo prawdę mówiąc, przywiozłem tutaj panów z myślą, że może się panu przydadzą, bo doskonale znają się na podobnych sprawach. Więc pan zupełnie nie wierzy w to rodzinne podanie?

— Nie mogę wierzyć — odrzekł admirał z ożywieniem, i oczy mu zabłysły jak u podzwrotnikowego ptaka. — Wierzę tylko w naukę.

Ku wielkiemu zdumieniu Flambeau przyjaciel jego ksiądz Brown, który zdawało się, że zainteresował się bardzo tym domem, zaczął z wielkiem ożywieniem rozmawiać z gospodarzem o przyrodzie, używając na to wiele słów i zupełnie nieoczekiwanych objaśnień, dopóki nie skończono deseru i nie sprzątnięto ze stołu i ostatni służący nie wyszedł z pokoju nareszcie. Wówczas, nie zmieniając tonu, odezwał się:

— Proszę mi wybaczyć moje natręctwo, lecz nie pytam dla zaspokojenia własnej ciekawości. Chodzi mi i o ustalenie mych domysłów, i o własny pań-

zakończą się wreszcie te bajdy, jak my obecnie kończymy tę butelkę wina.

— Doskonałe wino — odezwał się ksiądz, z powagą podnosząc kieliszek — ale jak pan widzi, jestem nieszczególnym pijakiem. Och! przepraszam najmocniej... — wskazał na kroplę wina rozlaną na obrusie. Pijąc wino, stawiał kieliszek spokojnie na stole, lecz ręka jego drgnęła, gdy spostrzegł, że przez jedno z okien, do którego admirał siedział zwrócony plecami, wpatrywała się w nich jakaś twarz — kobieca twarz, smagła, o czarnych oczach i włosach, młoda, lecz jakże tragiczna!

Po chwili ksiądz odezwał się znowu ze zwykłą łagodnością:

— Panie admirale, bardzo byłbym mu wdzięczny, gdyby pan mnie i moim towarzyszom, o ile zgodzą się na to, pozwolił dziś przenocować w wieży. Musi pan przede wszystkim wiedzieć, że gości pan u siebie egzorcystę.

Pendragon skoczył na równe nogi i zaczął przechadzać się po pokoju koło okna, z którego zniknęła tajemnicza twarz.

— Mówię księdzu, że to bajki! — krzyknął ze złością. — W nic podobnego nie wierzę! Może ksiądz nazwać mnie ateistą, niech tak będzie... jestem ateistą! — okrążył pokój i ze straszliwym skupieniem wpatrywał się w twarz Ojca Browna. — Nie ma w tem nic nadnaturalnego! Niema żadnego przekleństwa!

Ojciec Brown uśmiechnął się.

— Więc tem bardziej niema przeszkody, żebyśmy mogli się przespać w tej prześlicznej letniej willi.

— Rzeczywiście śmieszne życzenie — mruknął admirał, waląc pięścią w kant krzesła.

— Proszę mi wszystko wybaczyć — mówił Ojciec Brown, jak najbardziej ujmującym tonem — nawet to rozlane wino... ale nie zdaje mi się, aby pan tak był pewien całości swej wieży, jak pan stara się nas przekonać.

Admirał usiadł równie nagle, jak przed chwilą powstał ze swego miejsca, lecz był już spokojniejszy i odpowiedział zniżonym tonem:

— Chce ksiądz widocznie własnej zguby... Czy nie wolałby ksiądz zostać ateistą, aby wyjść cało z tej djabelskiej sprawy?

* * *

W trzy godziny później Fanshaw, Flambeau i ksiądz wałęsali się jeszcze po ciemnym ogrodzie. Zaczynało już świtać, a Ojciec Brown nie miał ochoty iść spać ani do wieży, ani do domu.

— Widzę, że trawniki wymagają pielienia — mówił sennym głosem — gdybym miał jaki kozik albo coś podobnego, zrobiłbym to sam.

Towarzysze jego wyśmiali ten projekt, lecz on z wielką powagą tłumaczył im, niby na kazalnicy,

że każdy może znaleźć sobie jakieś zajęcie, pożyteczne bliźnim.

Kozika nie znalazł, ale podniósł gałązkę janowca i niezwykle energicznie zaczął zamiatać z trawnika opadłe liście.

— Zawsze się cośniewcoś zrobiło — mówił z bezmyślną wesołością. — George Herbert powiada, że żadna praca nie hańbi, jeżeli się ją wykonywa według praw boskich. A teraz — dodał, odrzucając gałązkę — polejmy trochę kwiaty.

Przyjaciele jego, uśmiechając się niepewnie, przyglądali się, jak odwiązywał węza gumowego i rozdzielał sobie pracę:

— Czerwone tulipany naprzód, potem chyba żółte. Sucho mają, prawda?

Odszpuntował węza i woda wytrysła silnym strumieniem niby pręt stalowy.

— Uważaj, Samsonie! — krzyknął Flambeau. — Urwałeś głowy wszystkim tulipanom!

Ojciec Brown opuścił ręce, patrząc żałościwie na zniszczone roślinki.

— Tak, takie polewanie bardziej zabija niż leczy... — przyznał, drapiąc się w głowę. — Jaka szkoda, że nie miałem kozika. Zobaczylibyście, ile bym pracy wykonał. Ale ty, Flambeau, masz własce nóż, nigdy się z nim nie rozstajesz... to doskonałe! A sir Cecil znajdzie tę szablę, którą admirał rzucił koło płotu. Jakże wszystko teraz wygląda szaro!...

— Mgła podnosi się z nad rzeki — tłumaczył Flambeau, oglądając się dokoła.

Naraz ze szpaleru wynurzyła się olbrzymia postać brodatego ogrodnika, wywijając ku nim grabiami i rycząc strasznym głosem:

— Połóż tego węża! połóż w tej chwili i ruszaj do...

— Rzeczywiście muszę przyznać, że jestem niezdarly — odezwał się ksiądz słabym głosem. — Podczas obiadu rozlałem wino... — Uczynił jakiś nieokreślony, niby przepraszający gest w stronę ogrodnika, ręką, w której trzymał jeszcze węża tryskającego wodą. Silny strumień wody padł z trzaskiem na twarz olbrzyma, niczem kula armatnia. Ogródnik zachwiał się, pośliznął i wywrócił koziółka.

— Boże! cóż ja uczyniłem! — szepnął Ojciec Brown, rozglądając się dokoła ze zdumieniem. — Uderzyłem tego człowieka!

Stał przez chwilę, wyciągnąwszy szyję, jakby nasłuchując czy też przypatrując się i naraz truchcikiem pobiegł do wieży, ciągnąc za sobą gumowego węża. Wieża stała spokojnie, tylko jej sylwetka była jakaś zamglona.

— Tę twoją nadrzeczną mgłę — odezwał się — czuć jakoś dymem...

— Olaboga! prawda! — krzyknął Flambeau. — Nie sądzisz chyba...

— Owszem sędzę, że jedna z przepowiedni admirała sprawdza się właśnie w tej chwili.

W tej chwili w sam środek kwiatów padła wspaniała czerwień jak olbrzymia róża, lecz przy akompanjamencie trzasku i jakiegoś hałasu, brzmiałego jak chichot djabelski.

— Wielki Boże! — zawołał sir Cecil. — Co to takiego?

— Poselstwo z pałacej się wieży — odrzekł Ojciec Brown i puścił strumień wody w sam środek krwawej plamy.

— Co za szczęście, że nie poszliśmy spać! — jęczał Flambeau. — Pożar chyba nie rozszerzy się na dom?

— Przypomnijże sobie, że żywopłot, który mógłby go od ognia zasłonić, został wczoraj wycięty — odpowiedział spokojnie ksiądz.

Flambeau spojrzał rozszerzonymi oczyma na przyjaciela, a Fanshaw, myśląc o czem innem, zauważył:

— W każdym razie nikt nie powinien zginąć w tym pożarze.

— Wieża ta ma dziwną właściwość — wyjaśniał ksiądz — że jeżeli ma zamiar kogoś zabić, to zabija zawsze, choćby ten ktoś znajdował się zupełnie gdzie indziej.

W zielonym szpalerze ukazała się znów brodata postać ogrodnika, wzywająca gestami ludzi, lecz teraz nie trzymała w ręku grabi, lecz nóż.

Za nim ukazali się dwaj murzyni, również z zakrwawionemi nożami, wziętemi z trofeów admirałskich. W tem krwawem świetle ich czarne twarze i żółte postaci wyglądały jak szatany, dzierżące w szponach narzędzia tortur. Z oddali z ogrodu dochodził głos, wydający krótkie rozkazy. Usłyszawszy ten głos, ksiądz strasznie zmienił się na twarzy, lecz pozostał spokojny, nie spuszczać oczu z płomiennego piętna na ścieżce. Przytrzymał palcem otwór węża, by nie omijać celu, i nie zajmował się niczem więcej, spoglądając tylko czasami z pod oka i nasłuchując hałasów, i w ten sposób zdawał sobie sprawę z przerażających wypadków, jakich terenem stał się ten piękny ogród. Wydał dwa krótkie rozkazy swym towarzyszom:

— Zabierz się do tych drabów i zwiąż ich! Sznur jest tutaj, przy tych snopkach. Chcą mi odebrać ślicznego węża!... — To było dla Flambeau.

— Jak najprędzej wezwij pan tutaj tę wiosłującą pannę. Jest ona po tamtej stronie, przy cyganach! Poproś jej, aby kazała cyganom dostarczyć nam kubłów — wydał polecenie Fanshaw'owi. Potem umilkł i zlewał bezlitośnie ogień. Nie odwrócił nawet głowy, gdy rozpoczęła się walka między Flambeau a zwolennikami tajemniczego pożaru. Poczuli, jak ziemia zadrżała, gdy Flambeau zderzył się z ogrodnikiem. Zaczął sobie wyobrażać, jaki tam wytworzył się tuman, gdy tak mocowali się ze sobą. Słyszał ciężki upadek i triumfalny okrzyk przyja-

ciela, krzyki murzynów, gdy obaj towarzysze księdza wiązali ich. Niesłychana siła Flambeau zwyciężyła w tej walce. Wiedział, że czwarty mężczyzna kręcił się koło domu, mógłby dojrzeć tylko jego cień, słyszał tylko głos. Słyszał również pluskanie wiosel, głos dziewczyny, wydającej rozkazy, głosy cyganów i zbliżający się brzęk pustych kubłów, zanurzanych w strumieniu, wreszcie stąpania wielu nóg koło pożaru. Mniej się tem jednak przejmował, gdyż głównie uwagę jego pochłaniała czerwona ryś na wieży, obecnie już zmniejszająca się.

Musiał jednak odwrócić głowę, usłyszawszy krzyk blisko siebie. Flambeau i Fanshaw, otrzymawszy posiłki ze strony cyganów, podążyli za tajemniczym człowiekiem, kryjącym się koło domu. Usłyszał, jak z drugiego końca ogrodu Flambeau wydał okrzyk zgrozy i zdumienia. Towarzyszył mu prawie ryk, gdyż człowiek ten, wyrwawszy się im, pobiegł dalej w ogród. Trzykrotnie tak obiegli dokoła wyspę, niby w pogoni za warjatem. Cała trójca krzyczała, goniący wlekli za sobą sznury. Było to straszne, jakkolwiek przypominało gonitwę dziatwy, urządzającej wyścigi po ogrodzie. Widząc, że nie ujdzie pogoni, człowiek ten, stanąwszy na stromym brzegu rzeki, zniknął nagle z niego. Rozległ się plusk ciemnej, bystrej rzeki.

— Nic już mu pomóc nie możemy — odezwał się ksiądz z przykrością w głosie. — Roztrzaskał się

o te same skały, na które tylu ludzi wysłał. Umiał wykorzystać rodzinne podanie.

— Poco to ksiądz mówi w przenośniach — zawołał Flambeau ze zniecierpliwieniem. — Nie można tego powiedzieć po ludzku?

— Dobrze — odrzekł ksiądz, wpatrując się w swego węża. — „Jeśli patrzy na oba oczy, to wszystko będzie dobrze, a jeżeli jednym okiem mru-ga, to się tonie“.

Ogień syczał coraz bardziej jak duszona gadzina i stawał się coraz węższy pod strumieniami wody z węża i kubłów, ale ksiądz Brown nie spuszczał z niego oczu.

— Miałem zamiar — mówił — zaproponować tej młodej pannie, aby spojrzała przez lunetę na ujście rzeki. Mogłaby tam zobaczyć coś dla siebie ciekawego — zbliżający się okręt, a na nim swego Waltera. Może ujrzałaby tam również i pół-człowieka. Nic już temu młodemu człowiekowi nie grozi, wyłgał się od rozbicia okrętu, a nie uniknąłby go, gdyby ta panna nie powzięła jakiegoś podejrzenia po otrzymaniu telegramu admirała i nie przybyła tu, aby go mieć na oku. A zresztą dość o tym admirale. Nie mówmy już o niczem. Należy tylko dodać, że wieża ta, ukryta między drzewami, w czasie pożaru wygląda istotnie jak sygnał z latarni morskiej.

— I w ten sposób zginęli ojciec i brat — odezwał się Flambeau. — A majątek przeszedłby w ręce nikczemnika.

Ojciec Brown nic nie odpowiedział. Nic też nie mówił, gdy się zebrali w kabinie yachtu przy pudełku z cygarami. Bezużyteczny pożar wygasł, nie chciało mu się już o tem rozwódzić, chociaż słyszał entuzjastyczne okrzyki tłumu, witające młodego Pendragona. Gdyby chciał, dostałyby mu się podziękowania od młodego marynarza i pięknej wiosłarki. Poczuł znów zmęczenie. Ocknął się tylko na uwagę Flambeau, że mu popiół z cygara upadł na spodnie.

— Popiół ten nie jest z cygara — odrzekł słabym głosem. — To z pożaru, ale nie pomyśleliście o tem, bo wszyscy palicie cygara. W ten sam sposób powziąłem podejrzenie co do mapy.

— Ma ksiądz na myśli mapę wysp oceanu Spokojnego w domu admirała? — spytał Fanshaw.

— I pan myśli, że to była mapa wysp oceanu Spokojnego? Weź pan piórko, wsadź w jaki minerał albo koral, a każdy będzie myślał, że to jakiś egzotyczny okaz, Bóg wie czego. Włóż to samo piórko we wstążki i sztuczne kwiaty, a będzie się zdawało, że to damski kapelusz. Włóż pan to samo piórko w kałamarz, w książkę, w plikę papierów, a wielu ludzi przysięgać będzie, że to obsadka. Więc jak pan zobaczył mapę między podzwrotnikowemi pta-

kami i muszlami, myślał pan, że to są wyspy oceanu Spokojnego. To była mapa tej rzeki.

— Ale skąd pan wiedział o tem? — spytał Fanshaw.

— Dojrzałem tam skałę, którą panowie przyrównywaliście do smoka, do Merlina i...

— Widzę, że pan na wszystko zwracał uwagę — zawołał Fanshaw. — A miał pan minę tak roztagonioną...

— To ta choroba morska... Rzeczywiście czułem się okropnie. Ale można czuć się okropnie, a widzieć wszystko. — I zamknął oczy.

— Czy ksiądz sądzi, że tak każdy potrafi? — spytał Flambeau.

Nie otrzymał odpowiedzi. Ojciec Brown usnął.

BÓSTWO GONGA.

Działo się to pewnego mroźnego popołudnia, gdy światło dzienne traci jasność złota, staje się bardziej srebrzyste, a nawet zasępia się szarością cyny. W biurach i tak zazwyczaj ponurych i w opustoszałych salonach wytwarza się posępny nastrój, a o ileż jest smętniej na rozległych płaskich wybrzeżach Essexu. Monotonja tam panuje prawie zaświatowa. Gdzie niegdzie mruga latarnia, tu i tam wyrasta samotne drzewo, potęgując jeszcze bardziej upiorne wrażenie.

Długimi smugami pada światło na śnieg o barwie ołowianej, na którym mróz położył już swoją pieczęć. Nie napadało świeżego śniegu, dawniejszy zaś leży wąskim pasmem na krawędzi morza i wygląda jak zastygnięta piana, a dalej jak żyła na zmarzniętej ręce wysnuwa się linja morza fiołkowo-niebieska.

Dokoła na przestrzeni kilku mil nie było żywej duszy prócz pary piechurów, dzielnie maszerujących

żwawym krokiem, chociaż jeden miał o wiele dłuższe nogi niż drugi.

Nieszczerólnie wybrane zostało miejsce i czas na krótki wypoczynek, ale Ojciec Brown nieczęsto wypoczywał, więc korzystał z czasu, kiedy mógł na to sobie pozwolić, a zawsze korzystał z przyjemności z towarzystwa starego przyjaciela Flambeau, byłego kryminalisty i dawnego detektywa. W obecnej chwili zamarzyło się księdzu odwiedzić dawną parafję w Cobhole i dlatego skierował swe kroki na północo-wschód wzdłuż wybrzeża.

Szli tak już parę mil, gdy nagle spostrzegli, że wybrzeże jest zagrodzone czemś w rodzaju estrady. Latarni w tem miejscu było trochę więcej i trochę ozdobniejszych, mimo to miejsce to nie straciło upiornego wyglądu. Nieco dalej natknęli się na rodzaj ogrodu, wypełnionego pustemi doniczkami od kwiatów i niskimi roślinami, co razem wszystko bardziej przypominało szachownicę bruku niż ogród. Na ścieżkach stały krzesła o wygiętych poręczach. Dawała się tu już wyczuwać atmosfera bliższego miasta, ale ksiądz nie zainteresował się tem wcale. Popatrzył na estradę, rozejrzał się po okolicy, wreszcie dojrzał w szarzejącej odległości wznoszące się zdala zabudowania kąpielowe, które wyglądały jak olbrzymi o sześciu nogach grzyb.

— Widzę — odezwał się Ojciec Brown — że przyszliśmy na miejsce jakichś rozrywek.

— Obawiam się — odrzekł Flambeau — że to miejsce rozrywek niewiele ma teraz amatorów. Właściciele próbowali i w zimie ożywić tę miejscowość, ale się to im nie udało. Zimą czynne są tylko dawne zakłady np. Brighton. Zdaje mi się, że jest to Seawood, własność lorda Pooleys'a. Podczas Bożego Narodzenia sprowadził sycylijskich śpiewaków, a teraz mówią o przybyciu jednego ze sławnych bokserów. Ale chyba powinni tę całą estradę wrzucić do morza, wygląda zupełnie jak zepsuty wagon.

Podeszli do zabudowań i ksiądz, przekrzywiając jak ptak głowę nabok, zaczął przyglądać się im z wielkiem zainteresowaniem. Były podobne do wielu innych, może tylko bardziej pretensjonalne. Jakaś spłaszczona kopuła czy też daszek ze złoceniami, umieszczona na sześciu wysmukłych słupkach z malowanego drzewa, wznosiła się na jakieś pięć stóp nad okrągłą jak bęben estradą. Widok był istotnie oryginalny. Te złocenia w połączeniu ze śniegiem, ta sztuczność na tle surowej przyrody wydały się obu podróżnym czemś niby artystycznym a zarazem obcem.

— Już wiem — odezwał się Flambeau — to w stylu japońskim. Tak samo wyglądają fantastyczne malowidła japońskie, gdzie śnieg na szczytach gór wygląda jak cukier, a złocenia na pagodach jak złoto na pierniku. A to przypomina zupełnie pogańską świątynię.

— Może być — odrzekł Ojciec Brown. — Przyj-

rzyjmy się więc bóstwu. — I z zadziwiającą zręcznością wskoczył na dość wysoką estradę.

— Ho! ho! — roześmiał się Flambeau, a po chwili i jego wysoka postać sterczała na estradzie.

Z tej wysokości objęli oczyma szeroką płaszczynę ziemi i morza. Wiednące ogródy kryły się w poszarzałych zaroślach, a poza niem stały jakieś długie, niskie stodoły i samotny dworek. Dalej już nic nie było, prócz wielkich, płaskich angielskich pól. Od strony morza żadnego znaku życia, tylko przelatywało kilka mew, wyglądających na płatki śniegu, zapadające w morze.

Zapatrzoney Flambeau odwrócił się szybko, usłyszawszy za sobą okrzyk, wydobywający się jakby zdołu i skierowany raczej ku jego piętom, niż ku uszom. Instynktownie wyciągnął rękę, lecz z trudnością powstrzymał się od śmiechu, spojrzawszy na to, co się stało. Z niewiadomej przyczyny pod księdzem załamały się deski i biedaczysko wpadł przez dziurę pod estradę. Czy był na tyle wysoki, czy też na tyle niski, dość, że z dziury wystawała głowa, niby w karykaturze głowa Ś-go Jana Chrzciciela. Twarz miała dziwny wyraz, jaki może miał również i ten święty.

Narazie zaczął się śmiać.

— Deski te muszą być widocznie spróchniałe — odezwał się Flambeau. — Ja jakoś stoję, a ksiądz trafił pewnie na jakieś słabe miejsce. Pomogę wejść.

Ale ksiądz oglądał ciekawie zrąb deski, która

jakoby miała być spróchniała, i pewne zdumienie odbiło się na twarzy.

— No! jazda! — zawołał Flambeau z niecierpliwością, wyciągnawszy swe brunatne ręce. — Nie chce ksiądz stamtąd wyleźć?

Ojciec Brown trzymał w ręku drzazgę i, przyglądając się jej, nie odpowiedział odrazu.

— Wyleźć? — Dlaczego nie? — odpowiedział wreszcie. — Narazie wolę pójść dalej.

I zanurzył się w ciemnościach piwnicznych pod estradą tak szybko, że zawadził o podłogę kapeluszem, który samotnie na niej pozostał.

Flambeau rozejrzał się raz jeszcze po lądzie i morzu, ale nic więcej nie zobaczył prócz morza tak lodowatego jak śnieg i śniegu, leżącego tak płasko jak morze.

Usłyszał szmer pod sobą. To ksiądz wdrapywał się na pomost, o wiele szybciej jeszcze, niż wpadł. Na twarzy nie znać już było zdziwienia, mallowało się na niej jakieś postanowienie i była bledsza niż zwykle. Może to był refleks od śniegu.

— Cóż, znalazł ksiądz bóstwo świątyni? — spytał go przyjaciel.

— Nie — odrzekł Ojciec Brown. — Znalazłem coś poważniejszego... Ofiarę.

— Cóż to ma być, u diabła! — krzyknął Flambeau przerażony.

Ojciec Brown nie odpowiedział. Przysłonił ręką

oczy od światła i rozejrzał się po okolicy. Nagle wskazał:

— Co to za dom? — spytał.

Patrząc w kierunku palca, Flambeau ujrzał po raz pierwszy róg budynku, stojącego przy dworku. Nie zobaczyli go narazie, gdyż ukryty był między drzewami. Był niewielki i stał tyłem zwrócony do wybrzeża, ale pewne ozdobne wykończenie wskazywało, że należał do budynków kąpielowych. Był w tym samym stylu, co i owa estrada. Przy nim ogródek z żelaznymi krzesłami o zaokrąglonych poręczach.

Zeskoczyli z estrady i powędrowali ku tym drzewom. Ukazał się ich oczom mały hotelik, przeznaczony dla wycieczek, podobniejszy bardziej do szyneczku niż do hotelu. Prawie cała fasada miała złożone sztukaterje i ozdobne szyby, a cała ta pretensjonalność na tle morskiego krajobrazu miała coś upiornego w swej melancholji. Zdawało się, że jeśli by podano coś do zjedzenia w tej restauracyjce, szynka mogłaby być z tektury, a puhar pusty byłby jak w pantominie.

A jednak nie było tam zupełnie pusto. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli bufet, obecnie, zdaje się, nieczynny, i jedną z tych samych żelaznych ławek, jakie stały w ogrodzie, lecz dłuższą, podpierającą prawie cały front domu. Stała tam zapewne poto, aby letnicy, siedząc, mogli patrzeć na morze, lecz w tej porze trudnoby na to znaleźć amatora.

A jednak przy samym końcu tej ławki stał obok maleńki stoliczek, a na nim butelka Chablis i talerzyk z migdałami i rodzynkami. Przy stole na krześle siedział jakiś czarnowłosy mężczyzna bez kapelusza i patrzył na morze z zadziwiającą nieruchomością.

Gdy się jednak zbliżyli, osoba owa, nieruchomością swą przypominająca figurę woskową, zerwała się z miejsca i spytała z uniżonością, lecz nie bez pewnej godności:

— Czy panowie chcą wejść? Nie mam obecnie personelu, ale czemś niezbyt skomplikowanem mogę panom służyć.

— Bardzo dziękujemy — odrzekł ksiądz. — Czy pan jest właścicielem?

— Tak — odrzekł, skłaniając się zlekka. — Kelnerzy moi wszyscy są Włochami i pragnęli dziś zobaczyć, jak ich rodak bije murzyna, o ile oni potrafią naprawdę go pobić. Wie pan zapewne, że dziś odbędzie się wielki mecz między Malvolim a murzynem Nedom...

— Nie chcielibyśmy nadużywać pańskiej gościnności — odezwał się ksiądz — ale mój przyjaciel radby wypić kieliszek sherry i dla rozgrzewki, i za pomyślność europejskiego championa.

Flambeau nie wiedział o tem, że ma pić sherry, ale nie zaoponował.

— O, dziękuję bardzo! — szepnął zadowolony.

— Sherry... owszem, dobrze... — odpowiedział

gospodarz, zwracając się ku hotelowi. — Przepraszam bardzo, ale muszą panowie chwilkę zaczekać. Jak panom mówiłem, nie mam personelu... — I podszedł do okien zamkniętej i nieoświetlonej gospody.

— Ależ to niekoniecznie... — zaczął Flambeau, ale gospodarz obejrzał się i uspokoił go.

— Mam klucze, a trafię nawet pociemku.

— Nie myślałem... — zaczął Ojciec Brown. — Nie skończył, gdyż z wnętrza niezamieszkałego hotelu wydobył się straszny ludzki głos, wywołujący jakieś nieznane, cudzoziemskie imię, głośno, lecz niewyraźnie. Gospodarz podążył tam o wiele szybciej, niż po sherry dla Flambeau. Jak się okazało później, właściciel mówił prawdę, lecz nigdy, nawet w awanturniczych przygodach, żaden głos nie ściał im tak krwi, jak ten, wychodzący z pustego cichego domu.

— Kucharz! — zawołał z przerażeniem gospodarz. — Zapomniałem o kucharzu! Musi zaraz wyjść!... A więc sherry, panowie?...

We drzwiach stała jakaś olbrzymia postać w białej mycce na głowie i białym fartuchu, jak przystało kucharzowi, lecz z dziwnie beczelną czarną twarzą.

Flambeau słyszał nieraz, że murzyni są dobrymi kucharzami, ale osłupiał ze zdumienia, widząc, jak szybko podbiegł chlebowdawca na wezwanie swego pracownika, jak sam osobiście przyniósł owe sherry, nie chcąc fatygować służącego

— To dziwne — odezwał się Ojciec Brown — ma się dziś odbyć ten wielki mecz, a tak mało widzi się osób na wybrzeżu. Myśmy widzieli tylko jednego człowieka.

Właściciel wzruszył ramionami.

— Idą tam ze stacji, z drugiej strony miasta, o trzy mile stąd. Interesujący się tym sportem zatrzymują się tylko na jedną noc w hotelu, a pogoda niezbyt piękna, aby wygrzewać się na wybrzeżu.

— Albo na krzesle — dodał Flambeau, wskazując na mały stolik.

— To ja sobie siedziałem — odrzekł gospodarz. Był zupełnie przystojny, może trochę za blady. Czarne ubranie niczem nie raziło, prócz chustki na szyi, którą zawiązał nakształt krawatu i przepiął złotą szpilką z jakąś dziwną głową. W twarzy też nie było nic szczególnego, jedynie jakiś grymas nerwowy otwierał mu jedno oko szerzej niż drugie. Robiło to wrażenie, jakby miał jedno oko większe albo sztuczne.

Milczenie przerwał gospodarz, pytając:

— Gdzież to panowie spotkali tę osobę?

— W dosyć osobliwym miejscu — odpowiedział ksiądz — przy samej estradzie.

Flambeau, który siedział spokojnie i kończył swój kieliszek sherry, postawił go nagle i zerwał się z miejsca, patrząc ze zdumieniem na przyjaciela. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć — i zamknął je.

— To ciekawe — zauważył gospodarz, zamyślając się. — Jak on wyglądał?

— Było tam dosyć ciemno — zaczął ksiądz — ale widziałem...

Jak się okazało, gospodarz mówił prawdę, powiedziawszy, że kucharz musi wyjść, gdyż w drzwiach ukazał się właśnie murzyn, naciągając rękawiczki na czarne ręce.

Wyglądał teraz zupełnie inaczej. Na głowie miał cylinder, świecący jak lustro. A sam był też podobny do swego kapelusza. Wysoki i czarny, a połyskująca skóra świeciła również jak lustro. Oczywiście na nogach miał białe getry i lśniący biały gors koszuli wychylał się z pod kamizelki. Czerwony kwiatek wysuwał się zawadjacko z butonierki, jakgdyby tam świeżo rozkwitnął. W jednej ręce trzymał laskę, a w drugiej cygaro. Poza to uderzała każdego, w kim tkwią pewne rasowe przesady. Była niby zwykła, a zarazem bezczelna — typ murzyna w c a k e w a l k ' u.

— Czasem nie dziwi mnie wcale — odezwał się Flambeau, patrząc na niego — że takich linczują.

— Ja nigdy się nie dziwię wszelkim pracom diabelskim — odrzekł Ojciec Brown.

Murzyn tymczasem, ostentacyjnie zapiąwszy rękawiczki, skierował się ku zabudowaniom kąpielowym, wyglądając na tle zmarzłego krajobrazu niby jakaś groteskowa figura z music-hall'u.

— A więc — ciągnął dalej Ojciec Brown — jak mówiłem, trudno mi opisać tego człowieka bardzo dokładnie, wiem tylko, że miał staromodne bokobrody i bujne wąsy, ciemne, a może farbowane jak na portretach starych finansistów. Szyja była owinięta czerwoną chustką, która niewątpliwie rozwiewała się podczas chodu, a spięta była w sposób, w jaki niańki ją dzieciom spinają agrafką, tylko... — dodał ksiądz, patrząc spokojnie na morze — tylko to nie była agrafka...

Gospodarz, usiadłszy na żelaznem krześle, patrzył również spokojnie na morze. Teraz, gdy go Flambeau miał tak blisko siebie, przekonał się, iż rzeczywiście jedno oko było większe od drugiego. Oba miał szeroko otwarte, w tej chwili jednak lewe rozszerzało się coraz bardziej.

— Była to bardzo długa szpilka z wyrzeźbioną głową małpy czy czemś podobnem — kończył ksiądz — i była osobliwie wpięta... Na nosie miał binokle i szeroki czarny....

Gospodarz siedział bez ruchu, a każde jego oko zdawało się należeć do innego człowieka. Naraz zerwał się z oszałamiającą szybkością.

Ojciec Brown stał tyłem do niego zwrócony i byłby upadł na twarz pod śmiertelnym ciosem. Flambeau nie miał broni, ale potężne swe ręce trzymał na oparciu żelaznej długiej ławce. W okamgnieniu ramiona jego wzniosły się w górę, podnosząc ławkę, jak kat topór, która przybrała kierunek piono-

wy, niczem drabina, jakgdyby Flambeau zapraszał swego przeciwnika na wycieczkę na gwiazdy. Na cień w świetle wieczornem odmalował się obraz olbrzyma, wywijającego wieżę Eiffel. Tak straszny był ten cień, że nim nastąpiło uderzenie, przeciwnik zatoczył się i wleciał jak z procy do swej gospody, opuszczając plac bitwy, a za sobą pozostawiając na ziemi błyszczący sztylet.

— Uciekajmy czem prędzej! — krzyknął Flambeau, rzucając ławkę na ziemię. Schwycił księdza za łokieć i biegł z nim przez szerniały ogród do furtki. Nachylił się nad nią i szepnął zwolna po chwili:

— Zamknięta...

W tej chwili spadł wierzchołek sosny, zawadziwszy o brzeg kapelusza. Bardziej to nim wstrząsnęło, niż słaby i odległy odgłos wystrzału, jaki usłyszeli jednocześnie. Nastąpił drugi wystrzał, i furtka, którą próbowali wyłamać, zadrżała od kuli. Nabrzmiały od wysiłku ramiona Flambeau. Zawiasy i zamek pękły. Wybiegli na pustą drogę, zamykając za sobą bramę starannie. Gdy ją mijali, trzecia kula utkwiała w kupie śniegu, obsypując im pięty białym pyłem. Nie namyślając się długo, Flambeau złapał księdza na ręce, posadził na swych ramionach i biegł szybko do miasteczka, sadząc olbrzymiemi krokami. Przebiegłszy ze dwie mile, zsadził swego małego towarzysza z ramion. Należy przyznać, że nie była to wzniosła ucieczka, mimo iż wzorowana na klasycz-

nym Anchizesie i Eneaszu, ale Ojciec Brown nic sobie z tego nie robił, szeroko się uśmiechając.

— Nie rozumiem wcale — odezwał się Flambeau po dłuższem milczeniu, gdy statecznym już krokiem szli przez ulice miasteczka — nie rozumiem, co to wszystko znaczy, jestem tylko pewien tego, co moje oczy widziały. Wiem, żeśmy żadnego człowieka nie spotkali na wybrzeżu, a tem bardziej takiego, jak go ksiądz opisał.

— Ja go jednak widziałem — odrzekł Ojciec Brown, gryząc nerwowo palec. — Naprawdę widziałem. Było tam zbyt ciemno, żebym mógł go obejrzeć dokładnie, bo to było pod tą estradą. A i tak nie opisałem go zanadto dokładnie, gdyż binokle stłuczone leżały przy nim, a długa, złota szpilka nie spinała chustki, lecz wbita była w serce.

— Chyba ten bałwan o szklanem oku ma to na sumieniu — szepnął Flambeau.

— A mnie się zdaje, że on niewiele — odrzekł ksiądz zmienionym nieco głosem. — Może jednak źle zrobiłem, ale działałem pod pierwszym impulsem. Przypuszczam jednak, że to nie taka prosta sprawa i korzenie jej są głęboko rozgałęzione.

Szli ulicami w zupełnem milczeniu. Żółte światło lamp kłóciło się z niebieskawym zmierzchem. Zbliżali się do centrum miasta. Jaskrawe plakaty, rozlepione na murach, obwieszczały walkę między murzynem Nedem a Włochem Malvolim.

— Nigdy w życiu nie zamordowałem nikogo. — odezwał się znów Flambeau. — Nawet wtedy, gdy byłem niejednokrotnie z prawem w niezgodzie, mimo to mógłbym, zdaje się, rozgrzeszyć takiego, który na podobnem miejscu popełnił zbrodnię. Ze wszystkich miejsc, zapomnianych przez Boga, a upośledzonych przez naturę, najbardziej przygnębiające wrażenie robią podobne do tego, które opuściliśmy. Jest niby przeznaczone na rozrywki, a tak bez nadziejnie straszne. i taką tchnie ironją życia, że nic dziwnego, że nachodzą na człowieka nienormalne myśli i korzysta z samotności, by zabić niewygodną dla siebie osobę. Pamiętam, jak kiedyś, wążsając się po wzgórzach w hrabstwie Surrey, nie widząc nic prócz janowca i skowronków, przybyłem na szeroką polanę i ujrzałem tam wielką budowlę, zapełnioną amfiteatralnie siedzeniami jak w rzymskich teatrach i pustą jak nowa kaszta zerska. Jeden tylko ptak krążył ponad tem. Było to wielkie pole wyścigowe w Epsom. Miałem uczucie, że nikt tu nie może być szczęśliwym.

— To szczególne, żeś wspomniał Epsom — odezwał się ksiądz. — Przypominasz sobie Tajemnicę Suttonu? Ci dwaj podejrzani ludzie mieszkali, zdaje się, w Sutton. Zostali prawdopodobnie uniewinnieni. Znalezione wtedy w wydmy piaszczystej uduszonego człowieka, a znaleziono tylko dlatego, że jakieś małe drzwiczki były uchylone. Wiem o tem od pew-

nego irlandzkiego policjanta, dobrego mego znajomego. Było to w pobliżu pola wyścigowego w Epsom.

— Tak, była to tajemnicza sprawa, ale nie przeczy mojej teorji o podobnych miejscach rozrywek, które po sezonie wyludniają się, i niejedna zbrodnia może być tam spełniona...

— Nie jestem tak bardzo pewien, czy... — zaczął Brown i zamilkł.

— Nie jest tak bardzo ksiądz pewien, czy został zamordowany?

— Nie jestem pewien, czy został zamordowany po sezonie — odrzekł ksiądz z prostotą. — Czy nie uważasz, że taka pustka bywa podstępna? Czy nie zauważyłeś, że zbrodniarz niezawsze szuka odosobnienia? Niezmiernie rzadko zdarza się, że człowiek jest zupełnie samotny... W najbardziej samotnem miejscu może być jeszcze widziany. Tak, ja coś innego przypuszczam. Ale jesteśmy już przed tym Pawilonem czy Pałacem, czy jak go tam zwać.

Stanęli na małym skwerku, wspaniale oświetlonym, przy którym główny budynek oblepiony był jaskrawymi plakatami i fotografjami Malvolego i murzyna Neda.

— Jakto? — zawołał wielce zdumiony Flambeau, widząc, że jego przyjaciel wstępuje odrazu na schody — nie wiedziałem, że walki bokserskie tak bardzo księdza zajmują!

— Walka pewno nie odbędzie się — odrzekł ksiądz.

Przeszli szybko przedsionek i sale wewnętrzne, przeszli przez widownię ze wzniesieniem, otoczonym sznurami. Dokoła były umieszczone krzesła i łoże, ale ksiądz nie przyglądał się niczemu i zatrzymał się dopiero przed biurkiem jakiegoś urzędnika obok drzwi, nad którymi był napis: Komitet. Spytał o lorda Pooley'a.

Urzędnik odpowiedział, że lord nie może teraz nikogo przyjąć, bo jest bardzo zajęty, gdyż niedługo rozpocznie się przedstawienie, ale Ojciec Brown powtarzał swoje z uporem, na jaki tamten nie był przygotowany zupełnie.

W chwilę później znaleźli się ze śmiejącym się ironicznie Flambeau w obecności gentlemiana, który kończył wydawać polecenia jakiemuś mężczyźnie, wychodzącemu z pokoju.

— Uważajcie na sznury, po czwartem... Pano-
wie co sobie życzą?

Lord Pooley był wielkim panem jak wielu ze starej arystokracji, potrzebującym pieniędzy. Lnia-
ne włosy przyprószone były nieco siwizną, oczy
miał błyszczące gorączkowo i zgarbiony zsiniały
nos.

— Ja tylko słóweczko—zaczął Ojciec Brown. —
Chciałem tylko nie dopuścić do zbrodni...

Lord Pooley podskoczył na krześle, jakgdyby
pod nim wytrysło gorące źródło.

— Do wszystkich djabłów! już nie wytrzymam
dłużej! — wrzasnął. — Mam już dosyć tych wa-

szych komitetów, proboszczy, petycyj!... Czemuż to księży nie troszczyli się dawniej, gdy walczano bez rękawiczek? Teraz walkę prowadzi się według regulaminu, w rękawiczkach i niema cienia prawdopodobieństwa, aby który z bokserów został zabity!...

— Nie miałem na myśli żadnego z bokserów — odrzekł ksiądz.

— Tak, tak! naturalnie... — przerwał mu lord z drwiącym uśmiechem. — A kogoż to zabiją? Może sędziego?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Ojciec Brown z namysłem. — Nie miałem zamiaru panu zepsuć przyjemności. Chciałem tylko, aby pan uniknął nieprzyjemności. Nigdy nie uważałem, aby walki bokserские były czemś złem. Ale dziś proszę pana o zawiadomienie publiczności, że dzisiejsza walka nie dojdzie do skutku.

— I nic więcej? — drwił sobie lord. — A co pan powiesz dwóm tysiącom ludzi, którzy na to przyszli?

— Powiem im, że pozostanie ich tylko tysiąc dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu, jeżeli na walkę patrzeć będą.

Lord Pooley spojrzał na Flambeau.

— Czy to warjat?

— Nic podobnego.

— Ależ niech pan sam osądzi — tłumaczył bezradnie Pooley — to jest niepodobieństwem. Cała masa Włochów, silnych, energicznych chłopów, trzy-

ma za Malvolim. A pan wie, jacy to są ludzie. Jeżeli choć słówko powiem o odwołaniu przedstawienia, Malvoli na czele swej korsykańskiej bandy rozniesie mi całą budę.

— Ależ panie, tu chodzi o życie ludzkie. Niech pan zadzwoni i wyda rozkaz i niech pan uważa, który z bokserów będzie najbardziej z tego niezadowolony. Z pewnością nie Malvoli.

Lord Pooley przyglądał się księdzu z wzrastającą ciekawością, wreszcie zadzwonił. Wszedł urzędnik.

— Proszę powiedzieć obu championom, że walka nie odbędzie się. I należy zawiadomić o tem publiczność.

Urzędnik patrzył na niego przez chwilę z przeżeniem, lecz wyszedł.

— Dlaczego pan to robi? — spytał Pooley porywczo. — Skąd pan powziął to przekonanie?

— Z... z pod estrady... — odpowiedział Ojciec Brown, drapiąc się w głowę. — Ach, nie, przepraszam... z tej książki także... Właśnie przed wyjazdem kupiłem ją w Londynie... bardzo tanio... naprawdę.

Wyjął z kieszeni mały tomik, oprawny w mocną skórę, i Flambeau, zaglądając mu przez ramię, zobaczył, że był to opis jakichś dawnych podróży i że jedna stronica była założona.

— „Jedyną organizacją Voodoo“... — zaczął czytać głośno Ojciec Brown.

— Organizacją... czego? — zdziwił się lord.

— „Jedyną organizacją Voodoo“ — powtórzył ksiądz prawie z przyjemnością — jest szeroko rozgałęziona poza Jamajką sekta czcicieli Małpy albo inaczej Bóstwa Gongu. Władza ich jest bardzo silna; przeważnie na członków wybiera metysów, którzy uchodzą często za zwykłych białych, i rozprzestrzenia się coraz szerzej na obu kontynentach Ameryki. Różni się tem od innych czcicieli djabła, wymagających ludzkich ofiar, że krew nie może być wylana na ołtarzu, lecz koniecznie w tłumie. Zaczynają z ogłuszającym hałasem bić w gongi, dopóki drzwi przy ołtarzu nie otworzą się i nie ukaże się bóstwo-małpa. Wówczas całe zgromadzenie wlepią weń ekstatyczny wzrok, a potem...

Drzwi pokoju otworzyły się nagle i stanął w nich elegancki murzyn w kapeluszu na głowie, tocząc oczyma ze złością.

— Huh! — krzyknął, pokazując swe małpie zęby. — Co znaczyć? Huh! Huh! Dać czarna gentleman'ska nagroda... Nagroda moja!... Myśleć, że to włoskie gałgaństwo...

— Odłożymy tylko — tłumaczył spokojnie lord. — Zaraz to panu...

— Kto pozwalać na to! — irytował się negr.

— Jestem lord Pooley — przerwał mu chłodno lord. — Do mnie należy całe przedsiębiorstwo. A teraz radzę panu opuścić pokój.

— Co to za facet? — murzyn wskazał na księdza pogardliwym gestem.

— Jestem ksiądz Brown — brzmiała odpowiedź. — A ja panu radzę opuścić ten kraj.

Bokser patrzył na nich przez chwilę w milczeniu, poczem ku zdumieniu wszystkich wyszedł, trzaskając drzwiami.

— Tak! — odezwał się Ojciec Brown, targając swe zakurzone włosy. — Co pan sądzi o Leonardo da Vincim? Prześliczny włoski typ!

— Panie! Wziąłem na siebie wielką odpowiedzialność, polegając tylko na pańskich słowach... Sądzę, że wytłumaczy mi pan to obszerniej.

— Ma pan rację. Ale to nie będzie trwało długo. — Włożył małą książeczkę do kieszeni palta. — Już chyba z niej dowiedzieliśmy się wszystkiego. A teraz pan chce wiedzieć, czy miałem słusność. Murzyn ten, który przed chwilą wyszedł stąd z taką godnością, jest niesłychanie niebezpiecznym człowiekiem. Umysł jego jest już europejski, lecz instynkty pozostały kanibalskie. Ze zwykłego krwiożerczego zwierzęcia, jakiemi są jego barbarzyńscy ziomkowie, stał się członkiem związku morderców. Nie przypuszcza, że ja wiem o tem i że mogę mu to udowodnić.

Milczał przez chwilę, wreszcie kończył:

— Czy gdybym chciał kogoś zamordować, to koniecznie musiałbym zostać z nim sam na sam?

Spojrzenie lorda Pooley'a ochłodziło znowu.

— Jeżeli pan chce kogoś zamordować, to proszę...

Ojciec Brown potrząsnął głową jak doświadczony zbrodniarz.

— I Flambeau zawsze tak mówi — odpowiedział z westchnieniem. — Niech pan tylko pomyśli nad tem. Człowiek, przechadzający się na pustkowiu, nigdy nie może być pewien, że go nikt nie widzi. Odcina się zbyt wyraźnie na wielkiej pustej przestrzeni. Będąc w dolinie, dostrzegamy rolnika, orzącego pole na wzgórzu; stojąc na górze, widzimy pastucha, pasącego owce na stokach tejże góry, a schodząc po diunach, możemy zobaczyć dokładnie, co się dzieje na wybrzeżu. Łatwo więc znaleźć świadka swych czynów. Nie! nie! inteligentny morderca jak pan albo ja nie uważa, że najbezpieczniej jest wtedy, gdy zdaje mu się, że nikt nań nie patrzy!

— A jakże można urządzić się inaczej?

— Tylko wtedy, gdy się jest pewnym, że wszyscy patrzą gdzie indziej. Jakiś człowiek został zaduszony tuż przy wielkiem polu wyścigowym w Epsom. Każdy włóczęga, leżący w zaroślach, cyklista, pędzący po drodze, jednym słowem, byle kto mógłby zauważyć zbrodnię, gdyby pole było puste. Nikt jednak na pewno nie spostrzegł, gdy tłum był zwarty, wrzeszczący, wywołujący faworyta, który nadszedł pierwszy albo nie przyszedł. Ściśnięcie chustką gardła, wypchnięcie ciała za furtkę było dziełem jednej chwili. Tak samo stało się z tym biedakiem z pod estrady — dodał ksiądz, zwracając się do Flam-

beau. — Wpadł w dziurę, która wcale nie była przypadkową, właśnie w chwili, gdy gra jakiegoś skrzypka, lub śpiew sławnego śpiewaka wywoływały największy entuzjazm. To nie był jedyny wypadek. Sposób ten uprawia murzyn Ned, należąc do czcicieli starego Bóstwa Gongu.

— A cóż Malvoli? — spytał Pooley.

— Malvoli wcale nie jest w to zamieszany. Kręci się koło niego kilku Włochów, ale niestety nie są oni na pewno Włochami. Są to zapewne metysi półkrwi afrykańskiej, różnych odcieni, a nasi Anglicy nie umieją rozróżniać cudzoziemców, o ile są brudni i opaleni. I obawiam się, że nie są skłonni uznać, iż istnieje jakaś różnica między moralnym charakterem mojej religji a tym, jaki rozwija się u Voodoo.

* * *

Ciepłe wiosenne słońce ogrzewało Seawood, gdzie na plaży wygrzewały się całe rodziny, kręcili się wędrowni kaznodzieje, murzyńscy minstrele, a dużo już czasu upłynęło, zanim nasi dwaj przyjaciele odwiedzili znów tę miejscowość i zanim oburzenie przeciw tajemniczej sekcji Małpy wygasło.

Nie natrafiono jednak na żaden ślad tego stowarzyszenia. Właściciela nadmorskiego hoteliku zna-

lezione martwego w morzu. Prawe jego oko było zamknięte spokojnie, lewe pozostało szeroko otwarte i błyszczało jak szkło. Murzyna Neda schwytano o parę mil stąd, lecz ściśniętą pięścią zamordował trzech policjantów. Oficer był tem tak zaskoczony, że Ned skorzystał z tego i uciekł. Wypadek ten jednak poruszył wszystkie gazety. Władze usiłowały zapobiec, by zbrodniarz nie uciekł przez angielskie porty. Osoby, które miały dalekie nawet podobieństwo do Neda, były poddawane surowemu badaniu. Szorowali im twarze przed wejściem na pokład, uważając, że twarz może być sztucznie pobielona. Każdy murzyn podlegał osobnemu prawu i musiał legitymować się co pewien czas. Okręty, wypływające z Anglii, nie chciały przyjmować murzynów na pokład, traktując ich jak trędowatych. Środki te pozostały bezskuteczne, i wówczas zrozumiano, jak straszną i utajoną była siła tej sekty.

— Musi być chyba jeszcze w Anglii — zauważył Flambeau, leżąc obok Ojca Browna na wybrzeżu. — Ukrył się tylko doskonale. Na pewno złapanoby go w którym z portów, gdyby pobielił sobie twarz.

— Hm! to wielki spryciarz — wyraził się z pewnem uznaniem ksiądz. — Jestem pewien, że nie umalowałby się na białło.

— A cóżby zrobił?

— Przypuszczam, że wolałby się uczernić.

Flambeau, przeciągając się leniwie, zawołał:

— Stary kawalarz z księdza!

Ojciec Brown, uśmiechając się, wyciągnął palec w kierunku uczernionych sadzami śpiewaków, którzy swemi arjami zabawiali towarzystwo, zebra-
ne na wybrzeżu.

SALATA U PUŁKOWNIKA

Uroczy to był poranek, kiedy Ojciec Brown z Mass wędrował do domu. Rozwiewne iluzje mgły unosiły się zwolna w górę i misterjum światła objawiało się tajemną, nieznaną sztuką. Sylwetki rozproszonych drzew zlekka zarysowały się, niby szkicowane szarą kredą, potem tajemnicza dłoń pociągała je czarnym węglem, nadając bardziej wypukłe kształty. Zdala wyłaniały się już postrzępione fragmenty przedmieścia, i Ojciec Brown rozróżniał znane sobie domy i wille swych znajomych. Lecz wszystkie drzwi i okna szczelnie były zamknięte. Ludzie, tam mieszkający, nie wstawali tak wcześnie, a tem bardziej nie chodzili o tej porze na spacer.

Lecz Ojciec Brown, mijając jedną wytworną willę z werandami i ozdobnemi kwietnikami, usłyszał dziwne jakieś odgłosy i bezwiednie przystanął. Był to wystrzał pistoletowy, czy też karabinowy, ale nie to go zastanowiło. Po pierwszym odgłosie nastąpiły natychmiast dalsze, słabsze — naliczył ich sześć.

Narazie myślał, że to echo, ale nie był to odgłos echa. Pierwsze trzy brzmiały, jakgdyby ktoś wypuszczał wodę z syfonu, inne mogło wydać jakieś zwierzę, inne znów przypominało cokolwiek śmiech ludzki. Wszystko razem nie miało żadnego sensu.

W Ojcu Brown mieszkało dwóch ludzi. Jeden z nich był to człowiek czynu, skromny jak fiołek i punktualny jak zegar. Szedł swą wąską ścieżyną obowiązku i nie marzył nigdy o zmianie. Drugi zaś był to człowiek refleksji, może bardziej prosty niż tamten, lecz silniejszy i bardziej uparcie trzymający się swej drogi. Myśl jego zawsze była wolną (oczywiście w inteligentnym sensie wyrazu), nieskrępowaną myślą. Nie umiał się powstrzymać, nie raz zupełnie bezwiednie, od zastanawiania się nad kwestjami, które wkraczały na tory jego myśli, i rozstrzygał je, jak umiał. Było to tak jemu właściwe, jak oddychanie lub cyrkulacja krwi w każdej istocie. Nigdy jednak w swych czynach nie wychodził poza sferę swych obowiązków. W tej chwili zaiste obie jego cechy wystawione były na próbę. Pamiętał o tem, że musi iść w dalszą wędrówkę, mówiąc sobie, że go to nic nie powinno obchodzić, a jednocześnie nawijał i rozwijał różne teorje, zastanawiając się, co mogły znaczyć te detonacje.

Szare pasmo światła wysrebrzyło się i przy wschodzącym dniu Ojciec Brown rozpoznał, że dom należał do jego znajomego, majora z indyjskiej armji, nazwiskiem Putnam. Przypomniał sobie rów-

niez, że w jego domu znajdował się katolik — kucharz z Malty. Po długiem wahaniu zdecydował się wreszcie uznać, że strzały pistoletowe mogą mieć jakieś poważne znaczenie, mogą mieć pewne konsekwencje, które powinny go obchodzić. Wrócił się więc i wszedł w bramę ogrodu.

Obok domu stało coś podobnego do niskiej szopy. Był to, jak się później okazało, duży śmietnik. Przy tym śmietniku stała jakaś postać, niewyraźna jeszcze we mgle, schylona i rozglądająca się dokoła. Ksiądz, zbliżając się, zauważył, że postać ta ma wcale solidne kształty. Major Putnam był łysy, o byczym karku, niski, krępy. Twarz apoplektyczna, jaką często można widzieć u ludzi, którzy, nałykawszy się wschodniego klimatu, przyswajają sobie potem zachodnie rozkosze. Na twarzy malowała się pogoda, a nawet prócz widocznego zdumienia gościł na niej i niewinny uśmiech. Wielki, z liścia palmowego kapelusz zsunięty był na tył głowy (przy innej twarzy możnaby to nazwać aureolą), a na sobie zaś miał jaskrawą, czerwoną w żółte paski pyjamę, w której jakkolwiek bardzo płomiennie wyglądał, musiał jednak drzeć od porannego chłodu. Najwidoczniej wybiegł z domu z wielkim pośpiechem, i ksiądz nie zdziwił się wcale, gdy usłyszał do siebie skierowane pytanie:

— Słyszał ksiądz ten hałas?

— Słyszałem — odpowiedział Ojciec Brown — i zajrzałem tu, aby się przekonać, co to było.

Major Putnam popatrzył nań jakoś dziwnie wesołemi o kształcie i kolorze agrestu oczami.

— Jak się księdzu zdaje, co to było?

— Jakby wystrzał ze strzelby, czy coś podobnego — odrzekł niepewnie Ojciec Brown. — Ale potem nastąpiły jakieś echa...

Major przyglądał się gościowi spokojnie wybaluszonemi oczami, gdy naraz drzwi domu otwarły się z trzaskiem, na rozplywającą się mgłę padła łuna gazowego światła, i inna postać, także w pyjampie, wypadła do ogrodu. Pyjama również lekka, przydatniejsza do klimatu podzwrotnikowego, była bardziej gustowna, bo na białem tle miała cytrynowe paski. Mężczyzna ten był bardzo wychudły, ale bardzo piękny i bardzo opalony. Miał piękny orli profil, głęboko osadzone oczy i oryginalne jasne wąsy przy czarnych bardzo włosach. Wszystkie te szczegóły Ojciec Brown wchłonał w siebie bezwiednie. Narazie tylko zupełnie świadomie spostrzegł, że człowiek ten trzymał w ręku rewolwer.

— Cray! — zawołał major — czyś to ty strzelał?

— Tak! — odpowiedział z uniesieniem brunet — i ty zrobiłbyś to samo, gdybyś był na mojem miejscu! Gdyby cię djabli na każdym miejscu prześladowali i prawie...

Major pośpiesznie przerwał mu:

— To mój przyjaciel Brown — odezwał się, a zwróciwszy się do księdza, kończył: — Nie wiem

czy Ojciec zna pułkownika Cray'a z królewskiej artylerji.

— Naturalnie, słyszałem o nim - - odpowiedział ksiądz uprzejmie. — Czy pan... czy pan trafił kogo?

— Myślę, że tak — odrzekł poważnie Cray.

— Czy on... — major zawahał się i zniżył głos. — Czy on upadł?... czy może krzyknął?...

Pułkownik Cray patrzył chwilę na gospodarza dziwnym, silnym wzrokiem.

— Powiem dokładnie, co to było... On kichnął!

Ręka Ojca Browna powędrowała ku czołu gestem człowieka, który chce coś sobie przypomnieć. Już wiedział, że nie było to warczenie psa, ani sy-czenie syfonu.

— Hm! — wykrzyknął zdumiony major — nie wiedziałem, że zapomocą rewolweru można kogoś zmusić do kichnięcia...

— Ani ja też... — przyznał się lękliwie Ojciec Brown. — Całe szczęście, że nie wytoczył pan przeciw niemu całej artylerji, byłby naprawdę dostał porządnego kataru. — A po chwili dodał: — Czy to był złodziej?

— Chodźmy do domu — przerwał major dość ostrym tonem i poszedł pierwszy.

Jak zwykle podczas tak wczesnego poranku w mieszkaniu było widniej, niż na dworze, mimo że major zgasił gaz we frontowym hollu. Ojciec Brown ze zdziwieniem ujrzał stół jadalny, świeżo nakryty do jakiejś uroczystej biesiady. Serwetki tkwiły w

obrączkach i kieliszki o sześciu niezwykłych fasonach stały koło każdego nakrycia. O tak rannej porze zwykło się widzieć resztki po nocnej uczcie, świeżo zaś nakryty stół wyglądał rzeczywiście niezwykle.

Ojciec Brown stanął niepewnie w hollu, a major Putnam rzucił wściekłym wzrokiem na owalny stół. Wreszcie krzyknął:

— Wszystkie srebra zginęły! Sztućce do ryb zginęły! Stary serwis do octu i oliwy zginął! Nawet ten stary srebrny dzbanek do śmietanki zginął... A teraz, Ojciec Brown, jestem gotów odpowiedzieć na pytanie, czy to był złodziej.

— Nie! to poprostu przechodzi wszelkie pojęcie! Czyż jesteście ślepi? — zawołał Cray z uporem. — Ja chyba wiem najlepiej, dlaczego dom ten prześladował... Wiem lepiej niż ty, dlaczego...

Major poklepał go po ramieniu, jak się uspokaja chore dziecko.

— To był zwyczajny złodziej... Przecież to jasne, że był to złodziej!

— Złodziej z katarem — wtrącił ksiądz. — Mogę panu pomóc do wyszukania jego śladów.

Major smutnie pokiwał głową.

— Daleko już muszą być jego ślady — odrzekł z powątpiewaniem, a gdy młody człowiek z rewolwerem w ręku skierował się ku drzwiom, dodał zciicha poufnym tonem: — Nie wiem, czy mógłbym posłać po policję, gdyż przyjaciel mój zanedbto szaf-

wał kulami i niebardzo stoi w zgodzie z prawem. Zamieszkiwał długo w dzikich krajach, i jeżeli mam być szczery, ma nieco zbyt wybujałą fantazję.

— Przypominam sobie, że kiedyś pan opowiadał o nim, że jest pewny, iż jakaś sekta indyjska go prześladowuje.

Major Putnam kiwnął głową, a jednocześnie wzruszył ramionami.

— Chodźmy lepiej za nim — odezwał się. — Już mam dosyć tego... kichania.

Wyszli na powietrze, zabarwione już lekko słońcem, i ujrzeni wysoką postać pułkownika Cray'a, schyloną nisko i badającą drobiazgowo trawę i piasek na ścieżkach. Major powoli zbliżył się ku niemu, a ksiądz leniwie chodził po podwórzu, aż zaszedł za węgiel domu, gdzie znajdował się śmietnik. Nieapetyczny ten obiekt zwrócił na siebie uwagę Ojca Browna, który przez chwilę przypatrywał mu się uważnie, wreszcie zbliżył się, podniósł wieko i zajrzał do środka. Cały tuman kurzu wionął na twarz księdza, ale Ojciec Brown nigdy nie zwracał zbytnej uwagi na swój wygląd, a tem bardziej wtedy, gdy zajęty był jakąś obserwacją. Stał nad tym śmietnikiem jakiś czas, jakby tam odprawiał jakieś modły. Wreszcie odwrócił się, mając masę popiołu we włosach, i odszedł obojętnie.

Po chwili znalazł się przy bramie ogrodowej i spostrzegł tam scenę, której widok odpędzał wszelkie chorobliwe myśli z głowy, jak słońce odpędza

mgłę poranną. Widok ten był nietyle uspokajający, co wysoce komiczny, całkiem w stylu dikensowskim. Major Putnam zdążył się już przebrać w przyzwoitą koszulę i spodnie z karmazynowym lampasem i na to zarzucił kurtkę. W tym uniformie wesółą jego twarz jaśniała zwykłą mu serdecznością. Wydawał się może nieco przesadny, ale należy zważyć, że rozmawiał w tej chwili ze swym kucharzem. Ten smagły Maltańczyk miał szczupłą, żółtą i bardzo zatroskaną twarz, dziwnie nie licującą ze śnieżno-białą czapką i ubraniem. Nic dziwnego, że kucharz był zatroskany, gdyż kuchnia była słabą stroną majora. Należał do tego rodzaju miłośników, którzy zawsze wiedzą wszystko lepiej niż specjalista. Jedyną osobą, którą dopuszczał czasami do dyskusji nad omletem, był pułkownik Cray, i jak Ojciec Brown zauważył, major i teraz obejrzał się, szukając wzrokiem przyjaciela.

Dzień na dobre się rozpoczął, i wszyscy przywdzieli zwykłe ubrania, widok więc pułkownika sprawiał przykre wrażenie. Ten wysoki, o eleganckich manierach człowiek nie zdjął jeszcze z siebie nocnego ubrania, miał jeszcze bardziej rozczochraną głowę i chodził na rękach i kolanach po ogrodzie, szukając śladów złodzieja i uderzając co jakiś czas gniewnie ręką w ziemię.

Zobaczywszy go w pozie czworonoga, łażącego po trawie, Ojciec Brown podniósł brwi ze smutnym wyrazem twarzy i pomyślał po raz pierwszy, że

wyrażenie: „ma zbyt wybujałą fantazję“ może dawać wiele do myślenia.

Trzecią osobę, stojącą obok epikurejczyka i kucharza, Ojciec Brown znał również. Była to panna Audrey Watson, wychowanka majora i zarazem jego gospodyni. W tej chwili jednak, sądząc z fartucha, zakasanych rękawów i bardzo rezolutnej miny, wyglądała bardziej na gospodynię niż wychowanicę.

— Już się wysłużył — mówiła. — Ile razy mówiłam, że do niczego taki staromodny serwis do octu i oliwy.

— Lubilem go — tłumaczył się pojednawczo major. — Ja jestem też staromodny, więc pasowaliśmy do siebie.

— Nadzwyczajnie dopasowaliście się!... bo on zginął, jak sam widzisz!... Dobrze!... jeżeli nic sobie nie robisz ze złodzieja, ja także nie zatroszczę się o lunch. Dzisiaj niedziela i nie możemy posłać do miasta po ocet i inne rzeczy, a twój indyjski kolega nie zachwyci się posiłkiem, w którym będzie brakowało przypraw. Proszę, bądź tak łaskaw i powiedz kuzynowi Oliverowi, żeby mnie nie zabierał do chóru. Zacznie się prawie o wpół do dwunastej, a pułkownik ma przecie wyjechać. A wy, mężczyźni, nie poradzicie sobie przecież sami.

— Poradzimy, kochanie, poradzimy — odrzekł major, patrząc na nią bardzo mile. — Marco ma już wszystkie sosy, a już nieraz sobie radziliśmy,

przebywając, jak wiesz, niejednokrotnie w bardzo podłych miejscowościach. A teraz, Audrey, wybieraj się na muzykę. Cały dzień nie możesz być gospodynią, wiem, jak lubisz muzykę.

— Idę tylko do kościoła — odrzekła, mierząc go surowym wzrokiem.

Należała do rzędu tych pięknych kobiet, które zawsze pozostaną piękne, gdyż uroda ich polega nie na wyrazie twarzy lub pięknej cerze, lecz na kształtnej budowie głowy i rysów. Mimo że minęła już pierwsza jej młodość, złote włosy zachowały bujność i kolor tycjanowski, w wyrazie jednak ust było piętno troski, które niszczyło urodę, jak wichry niszczą złomy greckich świątyń. Obecne jej gospodarskie troski były drobne i śmieszne raczej niż tragiczne. Ojciec Brown domyślił się z rozmowy, że Cray, drugi smakosz, miał odjechać przed zwykłym lunchem, ale Putnam urządził specjalne pożegnalne śniadanie dla starego przyjaciela, które miało być spożyte rano. Audrey i inni domownicy mieli w tym czasie pójść do kościoła. Pannie Watson miał towarzyszyć jej kuzyn i dawny przyjaciel, dr. Oliver Oman, uczony, nieco rozgoryczony do świata, ale wielki miłośnik muzyki i dla niej tylko bywający w kościele. Z tego, co słyszał, nie mógł Ojciec Brown wymiarkować o źródle tragicznego wyrazu, malującego się na twarzy panny Watson, więc mimo woli zwrócił się znów do grzebiącego się jeszcze w ziemi pułkownika.

Stanął nad nim, ale czarna, nieuczesana głowa podniosła się nagle, patrząc ze zdziwieniem, co ten natręt jeszcze tu robi. Rzeczywiście, Ojciec Brown dla przyczyn, sobie tylko wiadomych, kręcił się tu dłużej, niż przyzwoitość wymagała, a nawet — pozwalala.

— Cóż? — zawołał Cray, patrząc nań dziko. — Pewnie panu się zdaje, że jestem warjatem?

— Już to rozważałem — odrzekł ksiądz łagodnie — ale skłaniam się do przekonania, że nie jest pan nim.

— Doszedł pan do takiego przekonania! — krzyknął wściekły Cray.

— Prawdziwy warjat podnieca się własnym chorobliwym stanem, nie usiłuje nigdy z nim walczyć. Pan stara się natrafić na ślad złodzieja nawet tam, gdzie nie było żadnego. Pan walczy przeciw temu... Pan chce tego, czego żaden warjat nie chce.

— Czego?

— Pan szuka śladu, wiedząc, że go nie znajdzie.

Na te słowa Cray wyprostował się nagle i spojrział na księdza płonącymi oczyma.

— Do diabła! To prawda! — krzyknął. — Wszyscy mi dziś gadają, że ten drab tylko po srebro... jakby mi tem chcieli zrobić przyjemność... Ona oburza się — wskazał głową pannę Audrey, ale ksiądz nie potrzebował tej wskazówki — na moje okrucieństwo, że mogłem zabić włamywacza i że przepędzam tych biedaków. To nieprawda, nie je-

stem okrutny — jestem tak samo łagodny, jak i Putnam... Po raz pierwszy pana widzę — dodał po chwili — ale zechciej pan osądzić całą tę sprawę. Obaj z Putnamem służyliśmy razem, ale dzięki pewnym wypadkom na afgańskich wybrzeżach, ja otrzymałem wcześniej regiment, niż inni. Obaj razem pojechaliśmy na krótki urlop. Wówczas zaręczyłem się z Audrey, i pojechaliśmy zpowrotem. Ale w powrotnej drodze zaszły dziwne rzeczy. Niezwykłe... A taki z tego rezultat, że Putnam zażądał zerwania, a nawet sama Audrey trzyma mię w zawieszeniu... Wiem, co oni myślą... wiem, co myślą o mnie!... To samo, co i pan.

A oto fakty. Gdyśmy pewnego dnia zatrzymali się w jednym z miast indyjskich, spytałem Putnama, gdzie mógłbym dostać trypoliskich cygar. On mi wówczas wskazał dom, leżący naprzeciw naszego mieszkania. I dziś jestem pewny, że wskazówkę dał dobrą. Ale wyraz „naprzeciwko“ jest niebezpiecznym wyrazem, jeżeli naprzeciw przyzwoitego domu stoi pięć czy sześć plugawych. Musiałem więc zabłądzić. Otworzyłem z trudem jakieś drzwi i wszedłem w ciemność. Gdy obejrzałem się za siebie, drzwi zamknęły się za mną z chrzęstem zasuwanych rygli. Nie było innej rady, musiałem iść naprzód. Przechodziłem jakimiś korytarzami, ciemnymi jak smoła, szedłem jakimiś schodami, doszedłem do jakichś drzwi, opatrzonych w klamkę, osobliwie na wschodni sposób wyrobioną z żelaza, co wyczułem przy do-

tknięciu i którą z trudem otworzyłem. Ciemności się skończyły. Panował tu zielonkawy mrok, jakgdyby światło szło gdzieś zdołu. Mogłem przy tem świetle rozpoznać zarysy jakiegoś obszernego budynku. Wprost mnie stało coś w rodzaju skały. Przyznaję, że stojąc przy jakimś złomie kamienia, nie przypuszczałem, że to jakiś bożek. A co gorsza, bożek ten był tyłem do mnie zwrócony. Był wielkości połowy człowieka. Miał małą, spłaszczoną głowę, a niżej ogon czy też jakiś nieznany członek, podniesiony do góry jak wstrętny olbrzymi palec, wskazujący na szczególny symbol, wyrzeźbiony na plecach tego bożka. Zacząłem przy zamglonem świetle przyglądać się hieroglifom, gdy naraź stała się rzecz straszna... Otworzyły się cicho drzwi poza mną, i stanął w nich człowiek o ciemnej twarzy i w czarnem ubraniu. Na miedzianem obliczu rzeźbił się uśmiech i błyszczały białe jak z kości słoniowej zęby. Lecz co najpotworniejsze, miał na sobie europejski strój. Mogłem się spodziewać osłoniętego od stóp do głowy kapłana albo nagiego fakira. Ten właśnie jednak szczegół wyrażał, że panowanie szatana rozciąga się na całą ziemię. Musiało to mieć na pewno takie znaczenie.

„Gdybyś zobaczył stopę Małpy“ — odezwał się, uśmiechając się ciągle — „otrzymałbyś łaskę śmierci, byłbyś tylko torturowany i zabity. Gdybyś ujrzał Małpy oblicze, moglibyśmy być względni dla ciebie; byłbyś tylko torturowany i pozostawiony przy

życiu. Ale żeś zobaczył Małpy ogon, skazany jesteś na najcięższą karę. Jesteś wolny“!

Gdy skończył mówić, usłyszałem, jak kunsztowna klamka, z którą tak walczyłem, automatycznie się otworzyła, a dalej w głębi tych korytarzy, którymi przed chwilą przechodziłem, szcęk otwierających się rygli.

„Nie sil się prosić o łaskę, musisz być wolny“—mówił dalej ten człowiek. — „Włos jeden może cię uśmiercić jak zwykły miecz, oddech kasać cię będzie jak jadowita żmija, oręż, przysłany z nikąd, utkwi w twem sercu, i będziesz umierał po wielokroć razy“.

Zniknął w tajemniczej ścianie, a ja wyszedłem na ulicę.

Cray umilkł, a Ojciec Brown niezwruszony zasiadł na trawie i zaczął zrywać stokrotki.

— Putnam, naturalnie, przy swej wesołej naturze wyśmiał tylko mnie i od tego czasu zwątpił o sprawności mego umysłu. A teraz niech pan sobie wyobrazi, że od tego czasu zdarzyły się trzy wypadki, i niech pan sam je osądzi.

Pierwszy zdarzył się w indyjskiej wiosce, tuż pod bokiem dżungli, ale o setki mil od tego plemienia, z którego owa klątwa padła na mnie. Pewnej nocy zbudziłem się i leżałem w ciemnościach, nie myśląc o niczem szczególnem, gdy nagle uczułem, jak jakaś nić czy też włos przesuwał się po mojej szyi. Odskokczyłem i usunąłem się na inne miejsce.

Wstałem i poszukałem światła i lusterka i zobaczyłem krwawą linję na szyi. Do samego rana nie mogłem o niczem innem myśleć, przypominając słowa, usłyszane w świątyni.

Po raz drugi stało się w Port Said, gdy już wracaliśmy do kraju. Mieszkaliśmy w domu, w którym było coś w rodzaju tawerny, a zarazem jakiegoś muzeum osobliwości. Nie było jednak tam nic takiego, coby przypominać mogło kult Małpy, chociaż możliwe, że były tam jakieś wizerunki czy talizmany tego kultu. A że klątwa tam przyszła za mną, to pewne. Obudziłem się znowu w nocy i zrozumiałem, co znaczyły wyrazy, że oddech może kąsać jak żmija... Konanie z braku powietrza. Tłukłem w ciemności głową o ściany, dopóki nie stłukłem okna i wypadłem czy wyskoczyłem do ogrodu. Putnam, pocziwina, który poprzednie zdarzenie nazwał zwykłym zadrapaniem, teraz na serjo był przerażony, znalazłszy mię, leżącego bez przytomności w ogrodzie. Ale zdaje mi się, że bardziej przejął się moim stanem umysłowym, niż całą tą przygodą.

Trzeci wypadek zdarzył się na Malcie. Mieszkaliśmy w fortecy. Okna naszych pokoi wychodziły na morze, które dopływało prawie do samego okna, osłaniane od fal białą płaską zewnętrzną ścianą, tak nagą, jak morze. Była noc, ale nie było wcale ciemno, tak, że gdy się obudziłem, mogłem swobodnie podejść do okna. Księżyc świecił. Było tak widno, że mógłbym zobaczyć ptaka na strzelniczych

wieżyczkach lub żagiel na horyzoncie. Nic podobnego jednak nie zobaczyłem, tylko coś w rodzaju kija czy gałęzi, kołującej na pustem niebie. Wleciało to przez okno i strzaskało lampę, stojącą przy łóżku, które dopiero co opuściłem. Była to jakaś pałka dziwnego kształtu, jakiej używają niektóre wschodnie plemiona. Lecz nie wypadła ona z ludzkiej ręki.

Ojciec Brown odrzucił wianeczek ze stokrotek, ukończony właśnie, wstał i spytał się, wpatrując się bacznie w Cray'a:

— Czy major Putnam ma jakie zbiory, jakieś bożki, broń i tym podobne rzeczy, któreby coś objaśnić mogły?

— Bardzo dużo, ale leżą bez żadnego użytku. Chodźmy do jego gabinetu, to pan sam zobaczy.

Idąc tam, minęli pannę Watson, zapinającą rękawiczki w drodze do kościoła, i usłyszeli głos Putnama, wykładającego tajniki kucharstwa swemu kucharzowi. W gabinecie majora zastali niespodziewanie jegomościa w cylindrze, ubranego do wyjścia, który wczytywał się jeszcze w otwartą księgę, leżącą na stoliku. Książkę czem prędzej odłożył, nieco zmieszany, i odwrócił się. Cray przedstawił go księdzu jako doktora Omana, ale taka niechęć malowała się na jego twarzy, że ksiądz domyślił się, że ma przed sobą dwóch rywali o serce panny Watson. Ojciec Brown również nie mógł się powstrzymać od pewnego uprzedzenia. Dr. Oman był to bardzo elegancki gentleman, przystojny i niezwykle opalony,

prawie azjata. Lecz ksiądz natychmiast złajał siebie w duszy, przypominając, że należy być miłosiernym i dla tych także, co pomału sobie szpiczaste bródki, i dla tych, którzy mają delikatne w rękawiczkach ręce, i dla tych, którzy mówią umiejętnie modulowanym głosem.

Cray'a najwidoczniej najbardziej irytowała mała książeczka do nabożeństwa, którą Oman trzymał w urękawicznionej ręce.

— Nie wiedziałem, że się pan tem zajmuje — odezwał się z opryskliwą ironją.

Oman uśmiechnął się łagodnie, nie obrażając się.

— Tem może więcej się zajmuję — odrzekł, kładąc rękę na wielkiej księdze, którą przed chwilą odłożył. — Jest to słownik roślin lekarskich i tym podobnych rzeczy. Ale to za wielkie, aby można było zabrać do kościoła. — Zamknął księgę z pewnym pośpiechem i zmieszaniem.

— Czy te wszystkie włącznie i inne rzeczy — odezwał się ksiądz, pragnąc jak najprędzej zmienić temat rozmowy — pochodzą z Indyj?

— Zewsząd — odparł doktor. — Putnam to stary żołnierz i bywał wszędzie... W Meksyku, i w Australji, i na wyspach Kanibalskich.

— Sądzę, że nie na wyspach Kanibalskich nauczył się sztuki gotowania — zauważył ksiądz. I zwrócił oczy na rondelki i inne dziwne utensylja, wiszące na ścianie.

Omawiana osoba w tej chwili wsunęła do pokoju swą śmiejącą się, podobną do homara twarz.

— Cray! chodźże! Twój lunch już gotów. A dzwony zwołują już tych, którzy chcą iść do kościoła.

Cray pobiegł na górę przebrać się, dr. Oman z panną Watson wyszli z powagą na ulicę i przyłączyli się do szeregu innych pobożnych, ale Ojciec Brown zauważył, że dr. Oman dwa razy obejrzał się na dom, a nawet wrócił się z ulicy i zajrzał jeszcze raz.

Zastanowiło to księdza. — On przecież nie mógł być w śmietniku... — szepnął do siebie. — Nie w tem ubraniu... A może tam był wcześniej jeszcze?... ~

Ksiądz Brown w stosunku do ludzi był zwykle tak wrażliwy, jak barometr, dziś jednak czuł, że miał wrażliwość nosorożca. Żadne prawo towarzyskie nie pozwalało mu na kręcenie się koło stołu dwóch uczujących przyjaciół, on jednak kręcił się, opowiadając, zabawiając, jednym słowem zagadując swą osobliwą pozycję. Tem osobliwszą była ona, że nie chciał wcale wziąć udziału w jedzeniu.

Jedno danie po drugim było podawane, zalewane obficie stosownemi winami, ksiądz zaś wykręcał się, że właśnie dziś przypada dzień postu. Ugryzł tylko kawałek chleba i nalał sobie szklanke wody, której nawet nie skosztował. Zato wymowa jego była obfita.

— Już wiem, co zrobię! — zawołał. — Przyrzę-

dzę wam sałatę. Nie mogę jeść, ale mogę ją przyrządzić doskonale! Macie tu sałatę?

— Na nieszczęście sałata jest, ale tylko liście — odrzekł wesoło major. — Proszę sobie przypomnieć, że musztarda, ocet i inne przyprawy znikły wraz z serwisem i ze złodziejem!

— Wiem o tem — odrzekł ksiądz z lekceważeniem. — Ale to głupstwo! Byłem zawsze przekonany, że to się może często zdarzać, dlatego też noszę zawsze przy sobie serwis do octu i oliwy. Przepadam za sałatą!

I ku zdumieniu obu biesiadników wyjął z kieszeni puszkę z pieprzem i postawił na stole.

— Nie rozumiem, do czego złodziejowi była potrzebna musztarda — ciągnął dalej, wyciągając z drugiej kieszeni słoik z musztardą. — Chyba na wezykatorję. Czyżbym zapomniał o occie? Jest!... Oliwę chyba włożyłem do lewej...

Język przestał obracać się na chwilę, zobaczył bowiem, a nikt prócz niego tego nie widział, zobaczył czarną postać dr. Omana, stojącą na trawniku i zaglądającą ciekawie do pokoju. Zanim ksiądz przyszedł do siebie, Cray zwrócił się ku niemu:

— Niezwykłym jest ksiądz człowiekiem! Gotów jestem przyjść na kazanie księdza, jeżeli będzie równie zabawne, jak ksiądz dziś. — Głos mu się nieco zmienił. Osłabiony, oparł się ciężko na krześle.

— O, i w tym serwisie znajduje się temat do kazania — odrzekł Ojciec Brown zupełnie poważ-

nie. — Słyszał pan pewnie o wierze, porównywanej do ziarnka gorczycy, o miłosierdziu, namaszczałym oliwą, a co do octu, to pamiętamy, jak żołnierz, gdy słońce zaciemniło się...

Pułkownik Cray pochylił się naprzód i uchwycił się kurczowo obrusa.

Ojciec Brown, przyrządzający sałatę, włożył dwie łyżki musztardy do szklanki z wodą i rzekł zmienionym głosem:

— Wypić to!

W tej chwili doktor, stojący dotychczas nieruchomo, wskoczył przez otwarte okno, wołając:

— Spodziewałem się tego! Otruty!

— Bliski był tego — odparł ksiądz prawie z uśmiechem. — Ale moje lekarstwo zaraz wywoła skutek.

Cray leżał na krześle, oddychając ciężko, ale żywy.

Major Putnam zerwał się ze zmienioną twarzą.

— Zbrodnia! — krzyknął ochrypłym głosem. — Biegnę po policję!

Ksiądz słyszał, jak zerwał z kołka palmowy kapelusz i słyszał trzaśnięcie drzwi, a potem bramy ogrodowej, ale patrzył na Cray'a tylko. Wreszcie odezwał się spokojnie:

— Nie będę tracił dużo słów, ale zmuszony jestem panu oczy otworzyć. Nie ciąży na panu żadna klątwa. Cała ta świątynia Małpy była zwykłym zbiegiem okoliczności albo zwykłym oszustwem, a no-

torycznym oszustem był zwykły biały człowiek. Jedna tylko istnieje broń, która tak lekko może zranić — to zwykła brzytwa w rękę białego człowieka. Jeden jest tylko sposób, by zatruć powietrze w pokoju — odkręcić gaz... i to uczyniła ręka białego człowieka. I jeden jest tylko pocisk, który można wyrzucić z sąsiedniego pokoju — australijski bumerang, który po uderzeniu powraca na miejsce. Jest ich parę w gabinecie majora.

Wyszedł i rozmawiał przez chwilę z doktorem. W parę minut później wpadła do pokoju panna Audrey i upadła na kolana przed krzesłem Cray'a. Nie mógł słyszeć, co mówili ze sobą, lecz widział, że na twarzach ich malowało się zdumienie, i nie można twierdzić, aby wyglądali na nieszczęśliwych. Ksiądz z doktorem poszli zwolna ku ogrodowej bramie.

— Przypuszczam, że i major musiał się w niej kochać — odezwał się ksiądz z westchnieniem, a gdy doktor potwierdził to, dodał: — Pan jest bardzo szlachetny, panie doktorze. Pański czyn był bardzo piękny. Ale skąd pan powziął podejrzenie?

— Z pewnego drobiazgu, który nie dał mi spokoju w kościele, i musiałem wrócić, jak pan widział, by zobaczyć, czy się co nie stało. Księga, leżąca na jego stole, była traktatem o truciznach i leżała otwarta w miejscu, opisującym pewną indyjską truciznę, śmiertelną, lecz nie pozostawiającą śladów po sobie. Zniweczona jedynie być mogła przez uży-

cie środków wymiotnych. Przyszło mi więc na myśl, że musiał to czytać w ostatniej chwili...

— I przypomniał sobie, że taki środek był w starym serwisie do octu — dodał ksiądz. — Tak było rzeczywiście. Wrzucił ten środek do śmietnika, gdzie go znalazłem. Leżał obok wszystkich sreber, na rachunek tego żebraka. Ale gdyby pan obejrzał pieprzniczkę, zobaczyłby pan niewielką dziurkę. Do stała się do niej kula Cray'a, wstrząsnęła pieprzem i wywołała to kichnięcie.

Milczeli przez chwilę. Poczem z gorzkim uśmiechem odezwał się dr. Oman:

. — Jakoś długo major szuka policji...

— A może to policja szuka majora — odrzekł ksiądz. — A zatem dowidzenia.

DZIWNA ZBRODNIA JOHNA BOULNOIS

„SŁOŃCE ZACHODU“ wielki dziennik amerykański postanowił wysłać do Anglii pana Calhoun Kidde. Był to bardzo młody człowiek, miał jednak twarz starą, a na niej malował się wyraz przestrochu, prawdopodobnie lękiem go przejmowała własna gorliwość. Gorliwym był niezmiernie w swym zawodzie i pragnął gorąco zmiany systemu dziennikarstwa amerykańskiego, tak, że kiedyś nawet wygłosił pamiętne zdanie: „że i na Zachodzie mogłoby wzejść słońce, gdyby do tego Amerykanie dążyli“. Wobec tego nazywano żartobliwie ową gazetę „Wschodzącem Słońcem“.

Drwią sobie ludziska z amerykańskiego dziennikarstwa, z jego świeżych tradycji, zapominają jednak o zaletach, które braki te potrafią powetować. Gazety Stanów Zjednoczonych pozwalają sobie wprawdzie na ośmieszanie, w sposób nawet dość trywialny, wszystkiego, co angielskie, gorąco przecież

zajmują się zagadnieniami umysłowemi. Oczywiście podawanie czytelnikom tych kwestyj odbywa się taki sposób, do jakiego angielskie czasopisma nie byłyby zdolne.

I w owem więc „Słońcu Zachodu“ pełno było artykułów o niezmiernie ważnych kwestjach, ale do nazwisk uczonych mężów dodawano przydomki zgoła nieodpowiednie, a portrety pragmatystów bywały umieszczane w jednym szeregu z podobiznami modnych zapaśników sportowych.

Otóż od pewnego czasu w pewnem angielskiem czasopiśmie „Filozofja Przyrody“ zaczęły się ukazywać artykuły, zbijające teorię Darwina. Autorem ich był skromny profesor Oxfordu John Boulnois. Teorje jego (o wielkich wstrząsach, jakimi bywa nawiedzany tak pozornie niezmienny wszechświat) stały się przedmiotem namiętnych dyskusyj w oxfordzkim uniwersytecie i otrzymały nazwę „Katastrofizmu“.

Jednakże angielski kwartalnik „Filozofja Przyrody“ nie cieszył się zbytnią poczytnością, a reszta pism angielskich nie zadała sobie trudu, by o tych artykułach dać chociażby lekką wzmiankę.

Zato amerykańskie pisma z wielkim zapałem przejęły się temi zagadnieniami, robiąc jak zwykle przytem wiele hałaśliwej reklamy. „Plugawe rozmyślanie Darwina“, „Zniszczę te bezceństwo! wyrzekł myśliciel Boulnois“. Takimi tytułami ozdabiano poważne artykuły.

I oto pan Calhoun Kidd był zmuszony dla osobistego wywiadu pojechać do Oxfordu, gdzie w małym domku zamieszkiwał „Myśliciel“ Boulnois, całkiem nieświadom tego zaszczytnego tytułu.

Dotknięty ciężkim tym losem filozof zgodził się ostatecznie na wywiad i oznaczył audjencję na godzinę dziewiątą wieczorem.

Zaszło już słońce poza lesiste wzgórza, gdy romantyczny Yankes, nie znając drogi, zobaczył staroświecką, pamiętającą feudalne jeszcze czasy gospodę *The Champion Arms* i wstąpił tam po bliższe objaśnienia.

Wszedłszy do *bar parlour*, zadzwonił i czekał przez chwilę, aby się ktoś zjawił. W pokoju tym siedział jakiś wychudły jegomość, rudy, w obszernem ubraniu i pił bardzo podłą wódkę, lecz palił doskonałe cygaro. Owa whisky była naturalnie najlepszą wódką w tej gospodzie, cygaro zaś widocznie przywiózł ze sobą z Londynu. Trudnoby znaleźć jakieś wspólne cechy między tym niedbale rozwalonym, o cynicznej twarzy jegomościem, a sztywnym Amerykaninem, lecz otwarty notatnik, przy nim ołówek, a może bystre, badawcze niebieskie oczy, kazały się domyślić Kiddowi, że ma przed sobą kolegę dziennikarza.

— Czy może mi pan wyświadczyć grzeczność — odezwał się Kidd z uprzejmością, właściwą jego narodowi — i wskazać, gdzie się znajduje Szara Willa, w której, o ile wiem, mieszka pan Boulnois?

— O parę kroków od drogi — odrzekł rudy, wyjmując cygaro. — Będę tamtędy przechodził za chwilę, gdyż wybieram się do Pendragon Parku zobaczyć zabawę.

— Co to za Pendragon Park? — spytał Kidd.

— Majątek, należący do sir Klaudjusza Championa. Pan się tam nie wybiera? Zdaje się, że pan jest także dziennikarzem?

— Mam się zobaczyć z panem Boulnois.

— A ja mam się zobaczyć z panią Boulnois, ale nie mogę jej zastać w domu — i zaśmiał się niemiło.

— Pan interesuje się Katastrofizmem? — spytał zdziwiony Yankes.

— Ja się interesuję katastrofami, a tu zapewne niejedna nastąpi — odparł chmurnie rudy. — Wywachiwanie jest plugawym zawodem, nigdy temu nie przeczyłem.

Splunął na podłogę. Nie było to bardzo wykwintne, a jednak nie zrobił tego w ordynarny sposób.

Amerykański dziennikarz spojrzał na niego uważniej. Twarz była blada, napiętnowana hulankami; znać nie umiał powstrzymywać swych namiętności, była jednak inteligentna i wrażliwa. Ubrany niedbale, lecz na pięknej, wydłużonej ręce błyszczał duży pierścień herbowy. Z rozmowy okazało się, że nazywał się James Dalroy, był synem zbankrutowanego irlandzkiego ziemianina, pracował w

jednym z wielkich dzienników, którego serdecznie nienawidził. W „Eleganckim Świecie“ zajmował stanowisko reportera i był czymś w rodzaju szpiega, co mu sprawiało niewypowiedzianą przykrość.

Z żalem należy zaznaczyć, że Elegancki Świat nie okazywał nawet w najmniejszym stopniu tego zainteresowania do prac pana Boulnois o Darwinie, co Słońce Zachodu. Między Szarą Willą a Pendragon Parkiem unosił się zapaszek skandalu, który niezawodnie powinien był skończyć się co najmniej sprawą rozwodową, i woń ta znęcała tutaj James'a Dalroy.

Czytelnikom „Słońca Zachodu“ sir Klaudjusz Champion był równie dobrze znany, jak i pan John Boulnois. Był on wyrocznią wielkiego świata i znawcą koni wyścigowych, ale myśl o zawarciu z nim bliższej znajomości wydała się Kiddowi całkiem nieporęczną. Słyszał wiele i pisał (utrzymując, że go zna, co nie było zgodne z prawdą), że sir Klaudjusz Champion był jednym z najświetniejszych i najbogatszych arystokratów angielskich; podawał światu wiadomości o znakomitym sportsmanie którego yachty objechały świat cały; o słynnym podróżniku, który pisał wiele o Himalajach; o polityku, z łatwością dającym sobie radę z torysowską demokracją, i o miłośniku muzyki i literatury, które to sztuki uprawiał z upodobaniem.

Sir Klaudjusz mógł wielu ludziom imponować, lecz

nie Amerykanom. Jak jakieś książątko z epoki renesansowej, którego upajał każdy objaw kultury i namiętnej polityki, był tylko miłośnikiem, jednak niezwykle zapalonym. Nie miało to jednak cech powierzchownego traktowania przedmiotu, jakie określa się zwykle nazwą „dyletantyzmu“.

Twarz o regularnym orlim profilu, głębokich czarnych aksamitnych oczach była doskonale znana czytelnikom „Słońca Zachodu“ jak i „Eleganckiego Świata“ z często reprodukowanych portretów. Dawało się z niej łatwo wyczytać, że człowiek ten pożerany jest przez wygórowaną ambicję, która potrafi czynić takie same spustoszenia, jak ogień lub cholera.

Jakkolwiek Kidd wiele wiedział o sir Championie — może nawet więcej wiedział w rzeczywistości — nie przyszło mu nigdy w najśmielszych przypuszczeniach na myśl, że ten świetny arystokrata i świeżo odkryty uczony, wynalazca Katastrofizmu, mogą być zażyłymi przyjaciółmi. A jednak wedle słów Dalroy było to faktem. Obaj od najmłodszych lat nie rozłączali się prawie. Ukończyli razem szkołę i studia wyższe, a chociaż losy pokierowały ich odmiennymi drogami, jako że Champion był bogatym właścicielem dóbr, a Boulnois pozostał biednym nauczycielem, prawie do ostatniej chwili nieznanym, pozostawali ciągle w bliskich stosunkach. Willa Boulnois'a stała tuż przy bramie Pendragon Parku.

Lecz czy ci dwaj ludzie mieli nadal pozostać

przyjaciółmi, było to jeszcze wielką zagadką. Przed paru laty Boulnois ożenił się z piękną i słynną artystką, którą bardzo kochał. Kochał ją, lecz względem niej zachowywał się nieśmiało i niezdarnie, bliskość zaś pałacu Championa wytwarzała sytuację przykrą i podniecającą. Sir Klaudjusz doprowadził sztukę życia do doskonałości, a przytem, co nie przynosiło mu zaszczytu, znajdował upodobanie do intryg. Tymczasem lokaje jego nosili ciągle bukiety do pani Boulnois, powozy i samochody stale bywały posyłane dla pani Boulnois, na balach i maskaradach, urządzanych w jego pałacu, pani Boulnois zajmowała pierwsze miejsce i czarowała wszystkich jako Królowa Piękności. I tego to wieczoru, kiedy Kidd miał zbadać tajniki Katastrofizmu, sir Klaudjusz wystawiał w swym parku, na wolnej scenie *Romeo i Julję*. On miał być Romeem, kto miał być Julją, nietrudno się domyślić.

— Nie wiem, czy nie obejdzie się bez wypadku — kończył rudy młodzieniec, powstając z miejsca i przeciągając się. — Stary Boulnois może się zmarnować, albo komuś zmarnować życie. Chociaż... nie wiem...

— Jest to przecież człowiek o niezwyklej inteligencji — wtrącił Kidd.

— Tak, to prawda — odpowiedział Dalroy — ale człowiek o niezwyklej inteligencji może być zaśniedziałym ślepcem jak wielu innych. Czy pan już idzie? Ja za chwilę też wyjdę.

Calhoun Kidd, wypiwszy mleko z wodą sodową, udał się zaraz do Szarej Willi, pozostawiając przy whisky i cygarach młodego cynika. Ostatnie promienie dnia przygasły, niebo ciemne o zielono szarym odcieniu łupka wyłacało się już gwiazdami, z lewej strony było jaśniejsze jako zapowiedź wschodzącego księżyca.

Szara Willa, otoczona dokoła wysokimi krzakami tarniny, stała tak blisko sosen i sztachet Pendragon Parku, że można było posądzić, iż jest to domek odźwiernego. Znalazłszy napis na bramie wejściowej i spojrzawszy na zegarek, Kidd przekonał się, że godzina audjencji nadeszła, zapukał więc do drzwi. Stojąc w ogrodzie, zobaczył, że willa, chociaż zbudowana niepretensjonalnie, była większa a nawet okazalsza, niż się to wydawało na pierwszy rzut oka, i niepodobna było uważać jej za domek odźwiernego. Jako symbol angielskiej wsi stała psia buda i ul; nad bujnemi gruszami wschodził księżyc. Z budy wyszedł powoli pies o bardzo szanownym wyglądzie, nie okazując wcale chęci do warczenia. Drzwi otworzył lokaj dobrej tuszy, bardzo dystyngowanej powierzchowności, zato bardzo lakoniczny.

— Pan Boulnois kazał mi pana przeprosić — odezwał się lokaj — ale był zmuszony wyjść niespodziewanie.

— Ależ obiecał zobaczyć się ze mną o tej godzinie — zdziwił się przybyły, podnosząc głos. — Czy niewiadomo, dokąd poszedł?

— Do Pendragon Parku — odrzekł dość niechętnie służący i zamierzał zamknąć drzwi.

— Czy poszedł z panią... czy poszedł z całym towarzystwem? — dopytywał się Kidd.

— Nie. — Narazie pozostał w domu, a potem wyszedł sam. — I zatrzaskał drzwi brutalnie z miną, jakgdyby źle spełniał swój obowiązek.

Zrobiło to przykre wrażenie na Amerykaninie, w którym walczyło oburzenie z wrodzoną delikatnością. Miał ochotę wyrzucić swój gniew na tym starym, siwym psie, na starym, osiwiałym, o tępej twarzy lokaju, ubranym w śmieszłą przedhistoryczną koszulę z twardym gorse, i na sennym księżycu, a przede wszystkim na roztargnionym, starym filozofie, który nie dotrzymał przyrzeczenia.

— Jeżeli zawsze tak postępuje, to zasługuje na utratę przywiązania własnej żony — powiedział sobie pan Calhoun Kidd. — A może wyszedł tylko na spacer. W takim razie współpracownik „Słońca Zachodu“ będzie trwał na stanowisku.

I przeszedłszy bramę, powędrował zwolna długą aleją świerkową, która w perspektywie ukazywała krzewy Pendragon Parku. Czarne, rozstrzępione drzewa sterczały jak pióropusze nad katafalkiem. Na niebie mało było gwiazd.

Umysł Kidda przystosowywał się lepiej do literackich asocjacji niż do zwykłych codziennych. W głowie majaczył się mu bez przerwy wyraz „Ra-

venswood“. Może sprawiła to krucza czarność świerków, może ten dziwny, trudny do opisania nastrój, tak przedziwnie oddany w tragedji Walter Scotta. Woń wilgotnych ogrodów, smutek dawno umarłych dni i strzaskanych urn, nienagrodzonych krzywd, coś beznadziejnie smutnego, coś dziwnie dalekiego od rzeczywistości...

Idąc zwolna dobrze utrzymaną, ciemną aleją, niesamowicie tragiczną, parokrotnie zatrzymywał się, gdyż zdawało się mu, że słyszy jakieś kroki przed sobą. Nic, prócz bliźniaczo ciemnych ścian świerkowych i rozgwieżdżonego nieba nad niemi, nie widział. Zamajaczyły mu w głowie duchy i zdumiał się, jak łatwo mu przyszło wywołać obraz ducha tego tajemniczego miejsca, z twarzą białą jak u Pierrota, napiętnowaną czarnemi plamami. Wierzchołek trójkąta ciemnego nieba, rozpostartego ponad sosnami, rozjaśnił się i zblękitniał, lecz Kidd nie zastanowił się nad tem, że to dlatego, iż się zbliża do oświetlonego ogrodu i domu. Czuł tylko, że atmosfera staje się coraz cięższa, odczuwał jakiś niepokój i tajemniczość, czuł... tu trochę zawahał się nad wypowiedzeniem słowa, lecz wreszcie wybuchnął nieszczerem śmiechem i powiedział sobie: — „...czuć tu Katastrofizmem...“

Pozostały za nim świerki i ścieżki ogrodowe, a on sam stanął jak urzeczony. Wydało mu się, że śni, a jednocześnie zupełnie był pewien, że to literatura.

O ludzie! jakże nie umiecie się dostroić do pojęć

zwykłych, naturalnych! Przywykliście do zamętu, do wszelkich niewłaściwości, a każde zwykłe wydarzenie budzi was jak dręczący dźwięk doskonale nastrojonej struny.

Przed oczyma stało się tak, jak stałoby się w starej, zapomnianej baśni.

Z nad czarnego świerkowego lasu zleciała, iskrząc się w świetle księżycowym, obnażona szpada, wysmukła i błyszcząca jak broń, z którą ongi stawiano do pojedynku w tym odwiecznym parku. Spadła na ścieżkę zdala od dziennikarza i leżała, połyskując jak wielka iglica. Kidd podbiegł pośpiesznie i nachylił się. Zbliska wyglądała wspaniale. Wielkie czerwone klejnoty, któremi była wysadzana rękojeść i garda, były nieco wątpliwe. Na klindze jednak błyszczały inne czerwone krople, co do których nie miał żadnych wątpliwości. Kidd spojrzał błędnym wzrokiem w stronę, skąd ten zdumiewający pocisk spadł, i dojrzał, że tam właśnie urywała się sobolowa ściana świerków i sosen, aleja kątem prostym skręcała, a gdy się tam obrócił, wzrok jego padł na wielki oświetlony dom. Przed domem był staw i fontanna. Nie przyglądał się jednak nowemu widokowi, mając coś ciekawszego przed sobą. Nieco wyżej wznosiły się stopnie z zielonej darni, a w rogu był malowniczy zakątek, zwykły w staroświeckich ogrodach. Na małym okrągłym pagórku, czy też jakiejś odarnionej kopule, otoczonej krzakami róż, stał kompas. Kidd widział ze swego miejsca wskazówkę kom-

pasu, sterczącą ku niebu jak grzbietowa pletwa rekina, i próżne wysiłki księżyca, lgnącego swemi promieniami do bezczynnego zegara. Zobaczył również przez mgnienie oka, że jeszcze coś tuliło się doń również — postać mężczyzny.

Mimo, że trwało to krótką chwilę, mimo że mężczyzna ten miał dziwaczne ubranie, całe szkarłatne, połyskujące złotem i świecidłami, dziennikarz poznał odrazu w świetle miesiąca, kim był ten człowiek.

Ta twarz, zwrócona ku niebu, rzymskim profilem przypominająca Byrona, gładko wygolona i tak dziwnie młoda mimo zlekka szpakowatych, falujących włosów, twarz znana wszystkim z licznych portretów — to sir Klaudjusz Champion. Szkarłatna ta postać chwiała się chwilę przy kompasie, wreszcie stoczyła się z darniowych schodów i legła u stóp Amerykanina, słabo poruszając ręką. Ozdobne przybranie stroju przypominało Kiddowi strój Romea; oczywiście był to kostjum ze sztuki, która miała być dzisiaj wykonana. Ale na pagórku, z którego stoczył się Romeo, pozostała wielka czerwona plama, co już nie należało do roli. Krew sączyła się z ciała, przebitego szpadą.

Pan Calhoun Kidd zaczął wołać o pomoc. Naraz usłyszał znów owe urojone kroki i drgnął, ujrawszy obok siebie jakąś postać. Poznał, a jednak się przeraził. Ten młodzieniec o hulaszczej twarzy był tym cichym towarzyszem jego wędrówki. Obaj

dziennikarze nie byli zadowoleni z pokrzyżowanych planów. Jednemu Boulnois nie dotrzymał słowa, a drugi zmarkotniał, ujrawszy to, czego się nie spodziewał. Księżyc wypijał wszystkie barwy, więc przy rudych włosach blada twarz Dalroy miała odcień zielonkawy.

Chorobliwa wrażliwość Kidda wywołała brutalny, niczem nieusprawiedliwiony okrzyk:

— Toś ty to uczynił!

Na ustach Dalroy ukazał się niemiły uśmiech, ale zanim otworzył usta, sir Klaudjusz poruszył znów ręką, wskazując na miejsce, gdzie upadła szpada. Jęknął i szepnął:

— To Boulnois... Boulnois... On to zrobił... Przez zazdrość... był zazdrosny...

Kidd pochylił się niżej i usłyszał jeszcze:

— Boulnois... moją własną szpadą... tam rzucił...

Ręka raz jeszcze wskazała na broń i opadła bezwładnie.

W głębi duszy Kidda ocknęła się cała cierpkość charakteru, właściwa jego rasie...

— Trzeba sprowadzić doktora! — odezwał się ostro, rozkazującym tonem. On umiera!

— I księdza także, zdaje się — dodał Dalroy dziwnym głosem. — Wszyscy Championowie są papistami.

Amerykanin przyklęknął przy zmarłym, posłuchał serca, uniósł głowę i próbował przywrócić go do życia, lecz zanim tamtem dziennikarz zjawił się

z doktorem i księdzem, Kidd musiał przyznać, że jest już za późno na wszelką pomoc.

— Pan także przybył za późno? — zapytał doktor, zażywny mężczyzna, i bacznie spojrzeniem zmierzył podejrzliwie Kidda.

— Do pewnego stopnia tak — wycedził przedstawiciel Słóńca. — Przyszedłem za późno, by móc ocalić człowieka, ale jeszcze wporek, by usłyszeć jego ostatnie słowa. Słyszałem, jak zamordowany oskarżył swego zabójcę.

— A któż jest tym zabójcą? — zapytał doktor, ściągając brwi.

— Boulnois — odrzekł Kidd i syknął zcicha.

Doktor spojrzał na niego posępnie, ale nic nie odpowiedział. Niziutki zaś ksiądz, stojący poza nimi, odezwał się łagodnie:

— Słyszałem, że pan Boulnois nie był dziś w Pendragon Parku.

— A ja — wtrącił chmurnie Yankes — mogę też świadczyć w razie potrzeby. Istotnie pan Boulnois miał zostać w domu przez cały wieczór. Wyznaczył mi nawet godzinę, aby się ze mną zobaczyć. Ale widocznie zmienił zamiar, bo przed jakąś godziną wyszedł nagle z domu do parku. Sądzę, że to dla policji może być nicią przewodnią. Czy panowie posłali po nią?

— Tak — odrzekł doktor. — Ale jeszcze nikt nie zawiadomiliśmy o tem.

— A pani Boulnois wie już? — spytał Dalroy,

a Kidd miał prawie nieprzezwyciężoną ochotę wepchnąć mu te słowa zpowrotem w skrzywione usta.

— Nic jej nie mówiłem — mruknął doktor. — Ale nadchodzi policja.

Mały księżyna podszedł do leżącego miecza, podniósł go i wrócił do zebranych. Śmiesznie wyglądał ten wielki miecz przy jego krępej figurze.

— Zanim policja nadejdzie... — tłumaczył się. — Może mi kto poświeci.

Amerykanin wyjął lampkę elektryczną z kieszeni, i ksiądz zatrzymał ją dłużej przy środku klingi, oglądając badawczo. Wreszcie, nie spojrzawszy nawet na rękojeść i koniec, oddał broń doktorowi.

— Widzę, że jestem tu zbyteczny — odezwał się z krótkim westchnieniem. — Dobranoc panom. — I powędrował ku domowi, machając rękami, spuściwszy głowę w zamyśleniu.

Przy ciele stała już policja w osobach inspektora i dwóch konstablów, którzy naprzód zbadali odźwiernego. A ksiądz szedł coraz wolniej przez mroczną aleję, wreszcie zmęczony zatrzymał się u schodów domu.

Ze zwykłym sobie spokojem pragnął zbadać, co się da, gdy nagle zjawiła się przed nim postać, która jak¹ widmo z zaświata mogłaby zachwycić nawet romantycznego Amerykanina. Była to młoda kobieta w srebrzystym renesansowym stroju. Dwa złote warkocze spadały po obu stronach twarzy, tak bladej, jak starożytne greckie gemmy. Oczy jej jed-

nak płonęły, a głos, chociaż cichy, brzmiał stanowczo.

— Ojciec Brown! — zawołała.

— Widzę, że już pani wie o sir Klaudjuszu...

— Dlaczego Ojciec tak sądzi?

Nie odpowiedział na to pytanie, lecz zapytał znowu:

— Czy pani widziała swego męża?

— Mąż mój jest w domu. Wcale się tu dziś nie wybierał.

Nie odpowiedział jej znowu. Kobieta zbliżyła się ku niemu z dziwnem skupieniem na twarzy.

— Powiem księdzu coś więcej — odezwała się z jakimś straszliwym uśmiechem. — Nie sądzę, aby on to zrobił, a i ksiądz jest tego samego zdania.

Ksiądz odparł jej wzrok długiem, poważnem spojrzeniem i przytaknął jeszcze poważniejszym ruchem.

— Ojcze, powiem wszystko, co wiem, ale przedtem proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Dlaczego ksiądz nie uwierzył w winę Johna jak wszyscy? Proszę się nie krępować, ja... ja wiem, co mówią, i wiem, że wszelkie poszlaki są przeciw niemu.

Ksiądz zmieszał się widocznie i przeciągnął ręką po czole.

— Świadczą za nim pewne drobnostki... — odrzekł. — Jedna z nich bardzo pospolita, a druga bardzo niejasna. Jakie bądź one są, nie wskazują jednak na pana Boulnois, jako na zabójcę.

Podniósł smutną szeroką twarz ku gwiazdom i ciągnął dalej, jakby do siebie:

— Zaczniemy od tej niejasnej. Największą wagę zawsze przypisuję niejasnym podejrzeniom. Wszystkie szczegóły, które „nie są dowodem“, najbardziej mnie przekonywują. Moralna niemożliwość jest najbardziej pewną niemożliwością. Nie znam tak bardzo dobrze męża pani, ale ta zbrodnia, jakkolwiek byłaby zupełnie zrozumiałą, jest właśnie taką niemożliwością. Niech pani nie myśli, że mojem zdaniem pan Boulnois nie jest zdolny do występku. Jednak nikt nie może być tak występny, jakby pragnął nim być. Możemy kierować swą wolą moralną, ale nie możemy zmienić instynktownych skłonności i właściwych sobie sposobów do zaspakajania ich. Mąż pani mógł popełnić zbrodnię, ale nie w ten sposób... Nie wyciągnąłby miecza Romea z jego romantycznej pochwy i nie położyłby trupem swego wroga na kompasie niby na jakimś ołtarzu, nie ułożyłby jego ciała między różami, ani też nie rzucałby miecza w górę ponad wierzchołki sosen. Gdyby pan Boulnois zabił kiedy kogoś, zrobiłby to równie statecznie, jak wykonałby inne czynności, których nie zwykł czynić, np. gdyby pragnął wypić z dziesięć szklanek porto lub przeczytać zbyt swobodnego greckiego poetę. Nie, romantyzm nie leży w jego charakterze. Z nich obu—romantycznym był Champion!

— Ach! — wykrzyknęła, patrząc na księdza oczyma, błyszczącemi jak diamenty.

— Drugą rzecz, tę pospolitą, dojrzałem na klin-dze miecza. Odciski palców są zazwyczaj bardzo wyraźne na powierzchni gładkiej, jak np. szkło albo stal. Klinga ma właśnie taką gładką powierzchnię. Otóż odciski palców były na środku klingi. Czyje to były palce, nie umiem powiedzieć, ale czy ktoś, zabijając, trzyma miecz pośrodku ostrza zamiast za rękojeść? Jest to rzeczywiście bardzo długa szpada, ale tem lepiej można ją wrazić w serce wroga... I to nawet niejednego... We wszystkich nieprzyjaciół prócz jednego.

— Prócz jednego? — powtórzyła.

— Jeden jest tylko nieprzyjaciół, którego łatwiej jest zabić sztyletem niż szpadą.

— Rozumiem... — szepnęła. — Siebie...

Upłynęła długa chwila milczenia, wreszcie ksiądz przerwał ją nagle.

— Moje więc przypuszczenia są uzasadnione? Sir Klaudjusz popełnił samobójstwo?

— Tak — odrzekła z pobladłą twarzą. — Wiedziałam, że to zrobi...

— Umarł z miłości dla pani?

Niezwykły wyraz odmalował się na jej twarzy. Nie była to litość, ani skromność, ani wyrzut sumienia, jak się spodziewał Ojciec Brown. Głos jej stał się bardziej silny i stanowczy.

— Nie mogę w to uwierzyć — odrzekła. — Nigdy o mnie nie dbał. On tylko nienawidził mego męża.

— Co? — zapytał ksiądz, i oczy swe, tkwiące w niebiosach, zwrócił na piękną panią.

— Nienawidził mego męża, bo... To dziwne i trudne do wytłumaczenia.

— Dlaczego? — pytał cierpliwie Ojciec Brown.

— Dlatego, że mąż mój nie umiał go znienawidzić.

Ojciec Brown kiwnął tylko głową i zdawał się czekać dalszego ciągu. Różnił się od wielu detektywów na jednym błahym punkcie: nigdy nie utrzymywał, że nie rozumie, wówczas, gdy rozumiał doskonale.

Pani Boulnois przysunęła się jeszcze bliżej, a w głosie jej brzmiała ta sama żarliwa pewność.

— Mąż mój jest wielkim człowiekiem, sir Klau-djusz nigdy nim nie był. Był zato sławny i miał wielkie powodzenie, mąż mój zaś nigdy nie był sławnym i nigdy nie miał powodzenia i jest to szczerą prawdą, że nigdy nie marzył o tem. Na pewno więcej myślał o wypaleniu cygara, niż o sławie. Było to właściwie głupotą z jego strony i nigdy się jej nie pozbył. Lubił Championa w szkole i dotychczas w nim to uczucie pozostało. Często go nawet podziwiał, jak się podziwia jakiś zręczny figiel. Ale nie umiał mu zazdrościć. A Champion pragnął, aby mu zazdroszczono... Doprowadzało go to do szaleństwa i... dlatego się zabił.

— Tak... — odezwał się ksiądz. — Zdaje mi się, że zaczynam rozumieć.

— Tak! to naturalne! — zawołała. — Wszystko robił tylko w tym celu. Dał mu ten mały domek na mieszkanie tuż przy swej bramie jak jakiemu oficjaliście — aby uczuł swoją zależność i poniżenie. John jednak tego nigdy nie odczuwał. Nigdy mu nawet taka myśl nie przyszła do głowy... Champion pragnął jego upokorzenia, przysyłając mu różne dary lub zapowiadając swe wizyty niby jakiś Harun-Al-Raszyd, ale John przyjmował wszystko, albo odmawiał ze zwykłym spokojem i uprzejmością jak gnuśny sztubak, któremu w zasadzie jest wszystko jedno. Po pięciu latach, gdy John ani na włos się nie zmienił, sir Klaudjusz stał się manjakiem.

— „A Haman opowiadał im“ — mówił ksiądz Brown — „o wszystkich zaszczytach, jakimi król go obdarzał: Nic mi do tych spraw, jeżeli widzę żyła Mardocheusza, siedzącego przy mych wrotach“.

— Tajona nienawiść wybuchła — ciągnęła dalej pani Boulnois—gdy przekonałam Johna, aby pozwolił mi niektóre jego prace wysłać do pism. Zwrócił na siebie uwagę, zwłaszcza w Ameryce, i nawet jeden z dziennikarzy miał mieć z nim wywiad. Gdy Champion dowiedział się o tej odrobinie powodzenia, (on, który miał codziennie wywiady), spadł na jego rywala, ostatnie ogniwo pękło w łańcuchu, który powstrzymywał przeciągniętą już do ostatnich granic nienawiść. Wtedy to zaczął obdarzać mnie

swemi względami tak natarczywie, że mówiono o tem w całym hrabstwie. Książdz zapewne mię spyta, dlaczego pozwalałam na okazywanie mi względów. Nie mogłam tego uniknąć, nie wytłumaczywszy wszystkiego memu mężowi, a to nie byłoby tak łatwo. Niepodobna było wytłumaczyć coś jemu. I teraz nawet nikt mu tego nie wytłumaczy. Gdyby mu ktoś powiedział: „Champion pragnie ci uwieść żonę“, uważałby to za ordynarny żart; dla niego nie mogłoby to być niczem innem, tylko żartem; takie przypuszczenie nie mieściłoby się w jego potężnej czaszce. Otóż dzisiaj John miał przyjść tutaj na to przedstawienie, ale gdyśmy już wychodzili, rozmyślił się. Miał jakąś zajmującą książkę i dobre cygara. Powiedziałałam o tem Klaudjuszowi, i manjak ten był w rozpacz. Był to dla niego śmiertelny cios. Przebił więc siebie, oskarżając Johna o zbrodnię. Leży tam w ogrodzie, zmarły z zazdrości, że nie mógł wywołać zazdrości.

Znowu zapadło milczenie. Po chwili przerwał je książdz:

— Jest jeden słaby punkt w pani żywem opowiadaniu. Mąż pani nie siedzi w domu nad książką. Ten amerykański reporter mówił mi, że był u państwa w domu i lokaj powiedział mu, że pan Boulnois poszedł do Pendragon Parku.

Oczy jej zabłysły niezwykłym ogniem. Wyczytać z nich można było raczej osłupienie, niż zmieszanie lub bojaźń.

— Jakto? co ksiądz mówi? — zawołała. — Cała nasza służba wyszła także na to przedstawienie. A lokaja nie trzymamy wcale, dzięki Bogu.

Ojciec Brown drgnął i obrócił się na pięcie.

— Co? co? — krzyknął, tknięty niby iskrą elektryczną. — Dobrze! Czy mógłbym w takim razie zobaczyć się z mężem pani, jeżeli jest w domu?

— Naturalnie. Pewnie już służba wróciła—odpowiedziała zdziwiona.

— Dobrze! dobrze! — i podreptał szybko ku bramie parku. Obejrzał się tylko i dodał: — Lepiej byłoby, gdyby pani mogła zatrzymać tego Yankesa, aby w całych Stanach Zjednoczonych nie pisali o „Zbrodni Johna Boulnois“ wielkimi literami.

— Nic podobnego! Co to Amerykę może obchodzić?

Kiedy ksiądz Brown minął ul i zaspanego psa, czysto ubrana służąca wprowadziła go do jadalnego pokoju, gdzie przy osłoniętej abażurem lampie siedział Boulnois nad książką. Obok niego na stole stała karafeczka porto i kieliszek. Ksiądz, wszedłszy, zauważył, że palące się cygaro dźwigało na sobie długi słup popiołu.

— Siedzi tu co najnniej pół godziny — pomyślał ksiądz. W istocie uczony robił wrażenie, jakgdyby nie ruszał się z tego miejsca od samego obiadu.

— Proszę, niech pan nie wstaje, panie Boulnois — odezwał się ksiądz. — Nie chciałbym panu

przeszkadzać. Prawdopodobnie przerwałem panu jakieś naukowe studia?

— E, nie—odrzekł Boulnois.—Czytałem *K r w a w y P a l e c*. — Nie uśmiechnął się przy tych słowach, ani zmarszczył, widząc gościa, który zrozumiał, że człowiek, nazwany przez swoją żonę „wielkim“, jest w swej wielkości obojętny na wszystko. Odłożył nabok sensacyjną powieść bez żadnego żartobliwego komentarza, nie odczuwając śmieszności takiej sytuacji.

John Boulnois był wielkim, ociężałym mężczyzną o potężnej głowie, trochę siwej, trochę łysej, i o niezgrabnych, rozlanych rysach. Miał na sobie niemodne wieczorowe ubranie, a z pod kamizelki jaśniał sztywny gors koszuli. Widocznie wystroił się tak, mając zamiar pójść na przedstawienie i zobaczyć swą żonę w roli Julji.

— Nie oderwę pana na długo od *K r w a w e g o P a l c a* ani od innych katastroficznych spraw — mówił Ojciec Brown, uśmiechając się. — Przyszedłem tylko dowiedzieć się bliższych szczegółów o przestępstwie, które pan dzisiaj popełnił.

Boulnois spojrzał badawczo i jakby się trochę zmieszał, a czerwona pręga zarysowała się mocniej między brwiami.

— Muszę przyznać, że przestępstwo to jest nieco dziwacznej natury — łagodził ksiądz cichym głosem.—Dla pana będzie może nawet bardziej przykre, niż zbrodnia. Małe winy ciężiej nieraz wyznać, niż

wielkie występki, dlatego też spowiedź ma tak wielkie znaczenie. Podobne przestępstwa popełnia każda wielkoświatowa dama sześć razy na tydzień, a jednak ze strony pana było to niesłychanem okrucieństwem.

— Być może, ale nieraz jest to konieczne z takim natrętem — odrzekł zwolna filozof.

— Zapewne — przyznał ksiądz. — Mimo to powinno się zrozumieć uczucia takiego natręta.

— Swego wrażenia nie poddawałem wówczas analizie — mówił Boulnois — ale siedząc w tem wygodnem krześle z zajmującą książką w ręku, czułem się tak szczęśliwy jak uczeń na wakacjach. Cisza, spokój... cygara pod ręką... zapaliki blisko... Krwa wy Palec bardziej zajmujący, niż przypuszczałem... Rozkosz w całej pełni!... Naraz dzwonek... Uczułem, że niepodobna mi się podnieść z krzesła... literalnie było to dla mnie fizycznym niepodobieństwem. Musiałem jednak uczynić wysiłek, który w tej chwili równał się dźwignięciu z posad świata, ale musiałem, wiedziałem bowiem, że służby niema w domu. Otworzyłem drzwi i ujrzałem jegomościa z otwartą gębą, gotową do gadania, i z notatnikiem w ręku. Przypomniałem sobie, że umówiłem się z tym Yankesem i potem na śmierć zapomniałem... Miał śliczny przedział na głowie, i mówię panu, że przestępstwo moje...

— Rozumiem. Widziałem się z nim.

— Nie popełniłem więc zbrodni — ciągnął da-

lej uczony łagodnym głosem — tylko fałszywe zeznanie. Powiedziałem mu, że poszedłem do Pendragon Parku, i zatrzęsnałem mu drzwi przed nosem. Oto moja cała zbrodnia, Ojciec Brown, a teraz jakiej mam się spodziewać kary?

— Nie wyznaczam żadnej kary — odrzekł ksiądz, zbierając kapelusz i parasol z rozbawioną miną. — Przeciwnie, przyszedłem tutaj, by uchronić pana od kary, jakaby pociągnęło pańskie fałszywe zeznanie.

— A jakaż mię za to czekała kara?

— Szubienica.

IMPROWIZACJA KSIĘDZA BROWNA NA ZADANY TEMAT

Minęło już prawie pięćdziesiąt lat, gdy bardzo malowniczo położone królestwo Heiligwaldenstein przeszło pod hegemonję Prus. Było to jedno z tych drobnych państewek, z jakich całe później cesarstwo niemieckie się składało.

Otóż pewnego wiosennego dnia Ojciec Brown wraz z nierozłącznym Flambeau znaleźli się tam, zasiedli w jednym z ogródków i popijali piwo.

Z pamięci ludzkiej znikły wspomnienia tamtych przeżyć wojennych i okrutnego wymierzania sprawiedliwości... A jednak, sięgając myślą w przeszłość, nie można się było oprzeć wrażeniu, że tamte czasy nadawały dziwnie ujmujący charakter całej Germanji, w której panowała patryarchalność, gdy król był równie popularny w swym narodzie, jak i królewski kucharz.

Pogoda była prześliczna. Niebo nasiąknęło tak przepięknym odcieniem bleu de Prusse, że Poczdam chętnieby zarekwirował go na swój wła-

sny, użytek. Hojnie zasnuło się błękitem i złotem, niby malowanka, uczyniona ręką dziecka, które, rozłożywszy przed sobą tanie pudełko farb, nie krępuje się nakładaniem jaskrawych barw. Z koronki bezlistnych jeszcze, szarych gałązek wysuwały się nabrzmiałe pąki i jak dziecięce główki odbijały się na tle szafiru niebios.

Żołnierze niemieccy, stojący przed budkami strażniczymi, wyglądali jak zabawki, a mury fortec błyszcząły w słońcu niby złożony piernik.

Mimo bardzo prozaicznych pozorów Ojciec Brown nie był pozbawiony zmysłu poetycznego, jakkolwiek zwyczajem dzieci nie zwierzał się nikomu ze swych marzeń. Widząc dokoła siebie te żywe, jasne barwy, to miasto o heraldycznych kształtach, miał uczucie, że wkroczył w krainę baśni. Patrzył z dziecinną przyjemnością na groźną szpadę, ukrytą w lasce Flambeau, którą zawsze jego przyjaciel wywijał, a która teraz stała tuż przy wysokim kufłu piwa. Nawet na sękatą, niezgrabną rączkę swego parasola patrzył jak na buławę ludożercy z obrazka dziecięcej książeczki. Jednak marzenia jego nie oblokły się słowami o formie fantastycznej, gdy odezwał się do swego przyjaciela.

— Nie przypuszczam, aby w takiej pięknej miejscowości mogły się odbywać naprawdę jakieś awanturnicze przygody. Miałyby coprawda wspaniałe i bardzo odpowiednie tło, ale nie mogę się oprzeć

myśli, że do tych walk użyłoby raczej tekturowych szpad zamiast groźnych, prawdziwych mieczów.

— Myli się ksiądz — odrzekł Flambeau. — Tu właśnie, na tem miejscu, nietylko walczano prawdziwemi mieczami, lecz co gorsza, zabijano bez miecza.

— Jakto?

— Tak. Jest to zapewne jedyna miejscowość w całej Europie, gdzie zastrzelono człowieka bez użycia broni palnej.

— Pewnie strzałą, wypuszczoną z łuku? — zdziwił się ksiądz.

— Nie. Kulą. Czyżby ksiądz nie znał historii nieboszczyka księcia tego państwa? Pamięta ksiądz niewątpliwie, że w swoim czasie Bismark państwo to zaanektował, nie bawiąc się w długie ceremonje, pracując nad zjednoczeniem Niemiec. Stało się to gwałtownie, lecz wcale niełatwo. Przyszłe cesarstwo (które dopiero miało niem być) wysłało księcia Ottona von Grossenmark, aby objął tu rządy, kierując się interesami imperjum. Widzieliśmy jego portret w tutejszej galerji. Byłby zupełnie pięknym mężczyzną, gdyby miał włosy na głowie i brwi i gdyby nie miał tak nasępionej miny. Nie można się jednak dziwić jego minie, bo miał swoje udręki, jak się zaraz ksiądz dowie. Był doskonałym żołnierzem, ale niełatwą miał pracę w tem państewku. Kilkakrotnie poniósł klęskę w bitwach ze słynnymi braćmi Arn-

hold, trzema partyzanckimi patriotami, którym Swinburn poświęcił poemat:

Wilki o sierści gronostaja,
 Wrony w koronach królewskich...
 A temu licznemu robactwu
 Trzech zuchów przoduje...

..czy coś w tym rodzaju. Oczywiście nie opuściłoby ich powodzenie, gdyby jeden z braci, Paweł, nie postanowił w swej nikczemności nie przeciągać dłużej walk. Zdradził tajemnice powstania, uniemożliwiając w ten sposób dalszą walkę, za cenę stanowiska szambelana na dworze księcia Ottona. Drugi brat, Ludwik, najbardziej z nich bohaterski, został zabity przy obronie stolicy, trzeci, Henryk, łagodny, a nawet nieśmiały w porównaniu z energicznymi braćmi, usunął się zupełnie od świata do jakiejś pustelni, gdzie prowadził życie w chrześcijańskim spokoju, prawie kwakerskie, nie stykając się z ludźmi. Prawie wszystko, co posiadał, rozdał biednym. Opowiadano mi, że jeszcze doniedawna można było widywać w górach człowieka w czarnym ubraniu, prawie ociemniałego, z dziko rozwichrzonymi białymi włosami, lecz o twarzy zadziwiająco łagodnej.

— Wiem — wtrącił Ojciec Brown. — Widziałem go raz.

Flambeau spojrzał na niego z pewnem zdziwieniem.

— Nie wiedziałem, że ksiądz był tu już kiedyś. Może więc o tej sprawie wie tyle, co i ja. W każdym razie z braci Arnholdów jeden Henryk ich przeżył. A może przeżył i wszystkich uczestników dramatu?

— A więc księżę też dawno już umarł?

— Umarł...— powtórzył Flambeau. — Ale o tem wiele jest do opowiadania. Otóż pod koniec swego życia miewał napady zdenerwowania, zwykłe u wszystkich tyranów. Powiększyłienne i nocne strażę koło swego zamku, tak, że wydawało się, iż więcej jest budek strażniczych niż domów w mieście. Do każdego podejrzanego człowieka strzelano bez pardonu. Księżę zajmował jeden maleńki pokoik, umieszczony w samym środku wielkiego labiryntu komnat, a nawet był tam jeszcze rodzaj kabiny czy szafy, wyłożonej stalowym pancerzem jak kasa ogniotrwała lub pancernik. Powiadano również, że w podłodze tej kabiny był loch tajemny wielkości człowieka. Aby uniknąć śmierci i grobu, gotów był skryć się w miejscu, podobnem zupełnie do grobu. Ale i tego mu było za mało. Ludność już dawno, bo od czasu powstania, została rozbrojona, ale teraz Otto znów powtórzył rozkaz zupełnego rozbrojenia. Wykonano ten rozkaz z całą stanowczością i surowością, i księżę. Otton mógł być zupełnie pewien, o ile ludzka siła i nauka może być czegoś zupełnie pewną, że w całym państwie niema nawet dziecinnego pistoletu.

— Wiedza ludzka nigdy nie może być tego pewną — wtrącił Ojciec Brown, przyglądając się pącz-

kom drzew ponad głową — gdyż zachodzi właśnie trudność w samej definicji. Cóż to jest broń? Zbrodnia może być popełniona każdym najzwyklejszym sprzętem domowym, nawet imbrykiem do herbaty. A gdybyś mu pokazał starodawny rewolwer angielski, wątpię, czyby się domyślił, że to jest jakaś broń, dopóki naturalnie nie wystrzeliłbyś. Może więc ktoś miał jakąś broń palną, zupełnie tu nieznaną, która nawet nie wyglądała na broń. Mogłaby nawet być podobna do naparstka, lub czegoś podobnego. Czy kula była zwykła?

— Nie słyszałem nic o tem. Wszystkie te szczegóły otrzymałem urywkami od dawnego przyjaciela Grimma. Był to bardzo zdolny detektyw w służbie niemieckiej i miał zamiar mię aresztować. Tymczasem ja go aresztowałem i potem wiele gawędziliśmy ze sobą. Wydelegowano go tutaj właśnie w sprawie księcia Ottona. Ale zapomniałem się spytać, jaka to była kula. Według słów Grimma stało się to tak... — Przerwał na chwilę, pociągając potężny łyk ciemnego lagru, i ciągnął dalej:

— Otóż tego wieczoru spodziewano się, że książę wyjdzie ze swej tajemnej skrytki do zewnętrznych pokojów, gdyż miał przyjąć gości, z którymi pragnął się zobaczyć. Byli to eksperci geologowie, wysłani do zbadania pokładów złota, jakie miało się znajdować w okolicznych skałach. Przez wiele lat dawne maleńkie państewko opierało na niem swe finanse i prowadziło negocjacje ze swymi sąsiada-

mi nawet podczas nieustannego bombardowania nacierających wojsk nieprzyjacielskich. Jakoś dotychczas za obecnych rządów nie znaleziono tego złota mimo najstaranniejszych poszukiwań, które...

— Które doprowadziłyby do znalezienia dzieciennego pistoletu — dokończył Ojciec Brown. — A cóż ten podejrzany braciszek Arnhold? Nie miał nic do powiedzenia swemu księciu?

— Przysięgał stale, że o niczem nie wie, gdyż była to tajemnica, której mu nie zwierzyli jego bracia. Pamiętał tylko, że bohaterski Ludwik, umierając, patrzył na Henryka, a wskazywał na Piotra i wyrzekł: „Nie zwierzaj się jemu...“ Resztę słów śmierć jedynie usłyszeć mogła. A więc przybyła owa deputacja wybitnych geologów z Berlina i Paryża udekorowana orderami, gdyż nikt tak chętnie nie nosi swych dekoracyj, jak mężowie nauki. Wie o tem każdy, kto bywał na zebraniach dworskich. Zebrali się więc wszyscy, między nimi był również i szambelan, który zjawił się trochę później. Widział ksiądz i jego portret — mężczyzna o czarnych brwiach, poważnych oczach i stałym, bezmyślnym uśmiechu na twarzy. Otóż szambelan, wszedłszy do sali, spostrzegł, że są już wszyscy prócz księcia. Pośpieszył do dalszych pokojów, a przypomniawszy sobie, że władca ten miewa paroksyzmy strachu, pobiegł i do tego wewnętrznego pokoiku. Ten był również pusty, a drzwi kabiny stalowej były tylko przymknięte. Zajrzał tam. Księcia nie było. Wszedł do środka i zaj-

rzał do lochu, który wydał mu się głębszy, niż przypuszczał, i zupełnie podobny do grobu — tak przynajmniej opowiadał. Ale i tam księcia nie było. W tej chwili usłyszał zgiełk i tumult w zewnętrznych komnatach.

Narazie była to jakby wrzawa tłumu poza zamkiem, potem krzyki, w których można byłoby rozróżnić wyrazy, gdyby jedne nie zagłuszały innych. Wreszcie usłyszał już wyraźne słowa, aż wkońcu wpadł ktoś do pokoju, oznajmiając wypadek w krótkich słowach, jak zwykle takie rzeczy oznajmia się.

Niedaleko zamku, w zroszonej trawie ciemnego lasu znaleziono ciało księcia Heiligwaldensteinu, Ottona von Grossenmark, z twarzą, zwróconą ku księżycowi, z rozłożonemi rękoma. Ubrany był na przyjęcie gości w białe galowe ubranie, tylko szarfa leżała obok niego zgnieciona. Krew jeszcze tryskała z roztrzaskanej skroni i szczęki, lecz tylko ta krew jeszcze żyła. Zanim go podniesiono, umarł. Pozostało zagadką, dlaczego ten, który krył się w opancerzonym pokoju, znalazł się tu, w wilgotnym lesie, bezbronny i samotny.

— Kto znalazł jego ciało? — spytał Ojciec Brown.

— Jakaś panna, należąca do dworu. Miała na imię Jadwiga, czy coś podobnego. Wyszła na spacer i zrywała kwiaty.

— Czy nazrywała ich trochę? — spytał ksiądz, patrząc bezmyślnie w namiot z gałęzi ponad jego głową.

— Owszem — odrzekł Flambeau. — Pamiętam jeszcze doskonale, jak ktoś, szambelan czy stary Grimm, wyraził się, jaki to był wstrząsający widok, gdy oczom nadbiegających ludzi ukazała się młoda dziewczyna z kwiatami w ręku, nachylona nad zakrwawionym trupem. Umarł, zanim pomoc przybyła. Wiadomość o tem naturalnie rozeszła się szybko. Zapanała większa konsternacja, niż zwykle bywa po śmierci takiego potentata. Zagraniczni goście i pruscy dygnitarze z podnieceniem rozprawiali o tej dziwnej śmierci, i zaczęto pojmować, że znalezienie skarbu poważniejszą było sprawą, niż się wszyscy spodziewali. Wyznaczono wielkie nagrody za wykrycie sprawcy, a ludność szeptała, że tajemnicze komnaty księcia i silna zbrojna ręka była mniej straszna, niż prywatne dociekania...

— Czy zbierane kwiaty miały długie łodygi? — spytał Ojciec Brown.

Flambeau wytrzeszczył oczy.

— Cóż za dziwne pytanie! — zawołał. — Tak samo dosłownie spytał się stary Grimm. Powiedział, że najdziwniejsze w tej sprawie było — dziwniejsze niż krew i brak kuli — było, że kwiaty zerwane były tuż przy samych koronach...

— Oczywiście! — tłumaczył ksiądz. — Jeżeli dorosła dziewczyna zrywa naprawdę kwiaty, zrywa je z całą łodygą. Jeżeli ma w ręce tylko same korony, jak to dzieci robią, widocznie... — zawahał się.

— Widocznie?...

— Widocznie zrywała je szybko, nerwowo, aby mieć później wymówkę... dlaczego... dlaczego tam się znalazła.

— Rozumiem, do czego ksiądz dąży — odrzekł Flambeau chmurnie. — Tak, ale wszystkie podejrzenia musiały się rozwiać wobec braku broni. Mógł być zabity, jak to ksiądz wspominał, byle czym, kamieniem lub czymś podobnym... a nawet swą własną wojskową szarfą, jednak należy wytłumaczyć, w jaki sposób został z a s t r z e l o n y. A tego nie można było wytłumaczyć. Pannę poddano surowemu badaniu, gdyż należy wyznać prawdę, mocno ją podejrzrywano, chociaż była siostrzenicą i wychowanką starego szambelana Pawła Arnholda. Była też bardzo romantyczna, i domyślano się, iż płonął w niej entuzjazm rodzinny do sprawy rewolucyjnej. A jednak mimo wszystko trudno chyba wyobrazić sobie kulę, utkwioną w mózgu czy też szczęce człowieka bez użycia strzelby czy też pistoletu. Bo nie znaleziono broni, z której padły oba strzały. Rozwiązanie tej zagadki pozostawiam tobie, mój przyjacielu.

— Skąd wiesz, że były dwa strzały? — spytał ksiądz.

— Ślad jednego był w głowie, ale dziurę od kuli znaleziono na szarfie.

Gładkie brwi księdza zaczęły się marszczyć.

— Czy znaleziono drugą kulę?

Flambeau zastanowił się na chwilę.

— Wiesz, że nie przypominam...

— Dalej! dalej! przypomnij sobie! — wołał Ojciec Brown z niezwykłym u niego podnieceniem. — Nie pozostawiaj mię w wątpliwości... Czekaaj, niech pomyśle nad tem przez chwilę.

— Ależ dobrze — zgodził się Flambeau, śmiejąc się, i skończył swe piwo.

Rozszumiały się drzewa pod tchnieniem lekkiego wiatru, rozplynęły się białe i różowe obłoczki, niebo mocniej zbłękitniało, czyniąc widok jeszcze bardziej malowniczym. Szybko pędzące obłoczki wyglądały jak cherubinki, płynące do swej niebiańskiej sypialni. Najstarsza wieża zamkowa, Smoczą zwana, wyglądała dość groteskowo, niby kufel piwa, i równie niegroźnie. Poza wieżą zarysowywał się las, w którym spełnił się ten dramat.

— Cóż się stało wkońcu z tą Jadwigą? — przerwał milczenie ksiądz.

— Wyszła zażamąż za generała Schwartza — odpowiedział Flambeau. — Niewątpliwie słyszał ksiądz o jego karjerze, dość niezwykłej. Wyróżnił się podczas bitw pod Sadową i Gravelotte, ale wkrótce porzucił wojsko, co jest u Niemca czemś niesłychanem...

Ojciec Brown wyprostował się nagle.

— Porzucił wojsko!... — zawołał i ułożył usta jak do gwizdania. — Fiu! to dziwna historia! Tak, to niezwykły sposób zabicia człowieka... przypuszczam jednak, że tylko ten pozostawał... Ale ta nieważność tak cierpliwa...

— Co księdzu chodzi po głowie? W jaki sposób go zabito?

— Przez szarfę! — odrzekł ksiądz dobitnie, a gdy Flambeau zaprotestował, dodał: — Tak... wiem, kulą... Moznaby sądzić, że został uduszony. Wtedy śmierć jest tak cicha jak od wewnętrznej niemocy...

— Widzę, że ksiądz wbiłeś sobie coś w głowę, ale nie tak łatwo było wynaleźć to, co się wbiło w jego głowę... Mówilem już przedtem, że mógł być zaduszony. Ale on był zastrzelony! Przez kogo? W jakim celu?...

— Został zastrzelony z własnego rozkazu.

— Więc samobójstwo?

— Nie powiedziałem, że na własne życzenie, lecz z własnego rozkazu.

— Cóż to znów za teoria?

Ojciec Brown roześmiał się.

— Używam teraz wakacyj i nie tworzę nowych teoryj. Tylko ponieważ miejscowość ta przypomina różne baśnie, jeżeli więc chcesz, opowiem ci jedną z nich.

Różowe obłoczki, bardziej przypominające strzępki lekkiej gazy, unosiły się nad wieżyczkami zamku, drobne paluszki młodej zieleni drzew wyciągały się wzwyż, jakby chciały ich dosięgnąć. Ojciec Brown przyglądał się temu zamyślonem okiem, i gdy wreszcie przemówił, niebo nabrało odcieni fioletowych wieczoru.

— Była to noc pochmurna, krople deszczu opa-

dały jeszcze z drzew, mgła podnosiła się z ziemi, gdy ksiązę Otto von Grossenmark wyszedł nagle z bocznych drzwi i pośpieszył do lasu. Jedna z wart zasalutowała mu, ale nie zwrócił na to uwagi. Wcale nie pragnął, aby go widziano. Zadowolony był, gdy głęboki las, poszarzały i wilgotny, otulił go swym cieniem. Wybrał umyślnie najmniej uczęszczaną drogę, ale zauważył, że i tam było jeszcze za wiele ludzi. W każdym razie był pewien, że ani jego urzędnicy, ani dyplomaci nie będą go tu szukać. Zamiar przechadzki przyszedł mu nagle do głowy. Całą tę zgraję udekorowaną pozostawił za sobą. Przyszedł do przekonania, że doskonale może się bez nich obejść.

Dominującym w nim uczuciem nie była obawa śmierci, lecz nieprzewyciężona żądza złota. Dla tej legendy o ukrytych w ziemi skarbach porzucił swój kraj i przybył do Heiligwaldensteinu. Dlatego tylko przekupił zdrajcę i uśmiercił bohatera, poto tylko poddawał długiemu badaniu szambelana, aż wreszcie doszedł do przekonania, że renegat rzeczywiście mówił szczerą prawdę. W tym tylko celu obiecywał i płacił, aczkolwiek niechętnie, w nadziei, że to mu się stokrotnie wróci. I dlatego tylko wykradł się z domu pokryjomu, bo sądził, że uda mu się dowiedzieć prawdy inną drogą, o wiele tańszą.

Tam, zdala od uczęszczanej drogi górskiej, między słupami skalnymi i szczytami, zwisającymi nad miastem, znajdowała się pustelnia, podobna bardziej

do jaskini, obrośniętej tarniną, w której trzeci z sławnych braci żył zdala od świata. — Cóż takiemu samotnikowi może zależeć na ukrywaniu skarbu? — myślał książę. — Miejsce, gdzie się złoto kryje, znał od wielu, wielu lat, zanim, skłoniwszy się ku ascetyzmowi, przestał uznawać jego potęgę i powab. Henryk był wprawdzie wrogiem księcia Ottona, lecz obecnie wypełniał przykazania wiary, nakazujące miłość bliźniego. Więc nietrudno będzie, odwoławszy się do chrześcijańskich zasad, poczyniwszy pewne ustępstwa, wydobyć od niego tajemnicę złota.

Mimo pozorów, mimo całej sieci rozstawionych straży Otto nie był tchórzem, a w każdym razie w tej chwili chciwość dominowała nad lękiem. Ostatecznie, czegoż miał się lękać? Broń posiadało tylko wojsko, bezwzględnie jemu oddane. Ten zdziwaczały kwakier na pewno nie czuł się bezpieczniej w swej pustelni, gdzie żywił się korzonkami i nie słyszał prawie głosu ludzkiego, mając przy sobie zaledwie dwóch wiernych wieśniaków.

Książę Otto stanął i spojrzał wdół na labirynt światła, zapalających się w mieście. Szyderczy uśmiech wykrzywił mu usta. Jak okiem mógł sięgnąć, wszędzie błyszczały karabiny oddanych mu ludzi. Wrogie ręce nie miały ani szczypty prochu! Miasto całe otoczone wojskiem. Zmniejszone w perspektywie, jak dziecinne zabawki błyszczały karabiny. Wszędzie karabiny!... Najbardziej podstępny wróg nie mógł się dostać do miasta... Nad każdą leśną

ścieżką czuwały rozstawione gęsto strażę. Żołnierze zbiegliby ze wzgórz na każde jego wezwanie. Był bezpieczny!...

Było jeszcze dość widno, gdy przekroczył grzbiet górski i spojrzał. Jakże smutne było gniazdo jego wroga! Książę stał na wąskim tarasie skalnym, pod którym z trzech stron ziała ku niemu przepaść. W głębi zarysowywała się czarna jaskinia, zamaskowana zieloną tarniną, z wejściem tak niskim, iż trudno było uwierzyć, by człowiek mógł ją zamieszkiwać. Przed sobą miał stromą spadzistość i rozległy, nieco zamglony widok na dolinę. Na tym skalnym tarasie stał stary brązowy pulpit, dźwigający wielką niemiecką biblję. Ostre powietrze pokryło śnieżną metal pulpitu, a księciu przyszło na myśl: „Gdyby tu mieli ukrytą broń, zardzewiałaby od dawna...”

Deszcz ustał, i ponury zmierzch rozjaśnił się słabym odblaskiem zamglonego księżycy.

Przy pulpicie, zwrócony w stronę doliny, stał bardzo stary mężczyzna, w czarnej sukni, spadającej w sztywnych jak otaczające go skały fałdach. Białe włosy i słaby głos zdawały się chwiać wraz z powiewem wiatru. Czytał widocznie jakiś ustęp ewangelji, jako codzienne religijne ćwiczenie. — „...Zaufali swym koniom...”

— Panie — odezwał się książę z niezwykłą u niego grzecznością — chciałbym z panem pomówić...

— ...i swym wozom — ciągnął dalej starzec wątlm głosem — ale my powinniśmy ufać tylko Panu Zastępów“... — Ostatnie słowa wymówił niewyraźnie i zamknął księgę z szacunkiem, a będąc prawie ociemniałym, zachwiał się i poomacku schwytał za pulpit. Natychmiast z niskiej jaskini wybiegło dwóch służących i podtrzymało go. Mieli na sobie także same czarne suknie, nie mieli jednak takich śnieżnych włosów i tak delikatnie wyrzeźbionych rysów. Byli to wieśniacy, Kroaci czy Węgrzy, o tępych twarzach i błyszczących oczach. Narazie książę się stropił, ale odwaga i zmysł dyplomatyczny trzymały się dzielnie.

— Zdaje się — przemówił znowu — że nie widzieliśmy się od czasu tej strasznej kanonady, w której zginął brat pański.

— Nie mam już braci... zmarli wszyscy... — odrzekł starzec, zwrócony twarzą ku dolinie. Potem na chwilę zwrócił ku Ottonowi swe zwiędłe, delikatne rysy, a włosy jak sople spadły mu na czoło. — Jak pan widzi — dodał — jam też umarły...

— Nie chcę, aby pan sądził — ciągnął dalej książę, panując nad sobą i pragnąc pojednania — że przyszedłem tutaj, aby pana upokarzać. Nie będziemy mówili o tem, kto miał rację lub jej nie miał, gdyż na tym punkcie każdy z nas może mieć rację. Cokolwiek się mówi o polityce pańskiej rodziny, to ogólnem było przekonaniem, że trzymała

was jedynie potęgą złota i dowiedliście sami ponad podejrzenia, że...

Starzec patrzył w niego wyblakłemi niebieskimi oczyma, słabo pojmując, o co chodzi. Lecz gdy ksiązę wymówił „złota“, starzec podniósł rękę, jakby pragnąc powstrzymać go, i zwrócił znów twarz ku górom.

— Mówi o złocie... — przemówił. — Mówi o rzeczy niegodnej... Niech przestanie mówić...

Otto miał wadę swoistego pruskiego typu i tradycji, uważał, że powodzenie nie jest rzeczą przypadku, lecz dziełem własnych ludzkich wartości. Rozumował, jak zwykle rozumują stale zwyciężające narody. Wskutek czego nie zorientował się dość szybko i nie był przygotowany na dalszy przebieg sprawy. Otworzył usta, aby odpowiedzieć pustelnikowi, gdy naraz głos mu uwiązł w gardle, zduszony przez mocny, miękki knebel, wpakowany mu silnie w usta i okręcony dokoła głowy. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że zrobili to słudzy samotnika jego własną szarfą.

Starzec powrócił do swej biblij i cierpliwie zaczął odczytywać epistołę ś-go Jakóba: „Język jest małym członkiem, lecz...”

Odruchowo ksiązę zwrócił się szybko zpowrotem na górską ścieżkę, która go tu przywiodła. Zaczął szarpać dławiającą go szarfę. Napróżno. Człowiek zasupłał mu knebel tak przemyślnie, że niepodobna było go rozwiązać, mając węzeł z tyłu głowy. Nogi

miał wolne, mógł biec jak antylopa przez góry, ręce miał wolne, mógł dawać niemi sygnały i wykonywać wszystkie ruchy, ale nie mógł mówić. Był niemy...

Zbliżył się już do lasu zamkowego i naraz zrozumiał, jakie poważne znaczenie może mieć dla niego jego chwilowe kalectwo. Znowu spojrzął na mocno oświetlone miasto, ale teraz nie uśmiechnął się. Powtarzał dawne swe myśli z zabójczą ironją. Jak okiem sięgnąć, strzegły go karabiny wiernych jego ludzi, lecz każdy z nich wystrzeli, jeżeli nie odpowie na hasło. Karabiny stały w gęstym szeregu przy każdej leśnej ścieżce, niepodobna więc było kryć się do rana. Las i zarośla był patrolowane w równych odstępach czasu, żaden nieprzyjaciel nie mógłby się dostać do miasta, próżno więc starać się dostać do domu z innej strony. Na jego wołanie żołnierze zbiegliby ze wzgórz, ale on nie mógł wołać.

Księżyc wschodził w srebrzystej poświacie, pasma ciemnego, nocnego błękitu nieba ukazywały się pomiędzy pasmami sosen przy zamku. Kwiaty dziwne pierzaste — nigdy dawniej nie zwracał na takie rzeczy uwagi — wyraźnie odbijały swe wypite przez księżyc barwy, pnąc się po korzeniach drzew. Być może, iż umysł jego zaćmił się nieco wskutek niezwykłej sytuacji, gdyż pojął w lesie tym całą głębię germańskich baśni. W jakimś omroczeniu здавало mu się, że zbliżał się do pałacu ludożercy — zapomniał, że to on był tym ludożercą. Przypomniawsobie, jak ongi pytał się matki, czy są niedźwiedzie

w ich starym parku. Zatrzymał się, aby zerwać kwiat, jakby to mogło zdjąć z niego zaklęcie. Łodyga była twarda i ułamała się z trzaskiem. Usiłował wetknąć kwiat za szarfę, gdy nagle usłyszał głos. — Kto idzie?

Wówczas przypomniał sobie, że szarfa nie leży na swoim miejscu. Chciał krzyknąć. Nie mógł.

Ponowne wezwanie.

Gwizd kuli i wielka potem cisza. Otto von Grossenmark leżał spokojnie pomiędzy czarodziejskimi drzewami i nie mógł już nikogo skrzywdzić ni złodem, ni stalą. Jedyne srebrny rylec księżycy obrysowywał powikłany ornament jego uniformu i sędziwe zmarszczki czoła. Świeć Panie nad jego duszą!

Wartownik, trzymający się ściśle wydanych rozkazów, strzelił i oczywiście czem prędzej nadbiegł, by zobaczyć swoją ofiarę. Oficer ten, nazwiskiem Schwartz, znalazł jakiegoś człowieka w uniformie, z twarzą, obandażowaną nakształt maski własną swoją szarfą, którą niepodobna było rozwiązać.

Umarłe oczy błyszczały martwym blaskiem w świetle księżycy. Kula przebiła szarfę i uwięzła w szczęcie i dlatego była dziura w szarfie, a jedna tylko kula w szczęcie. Oczywiście Schwartz zerwał opaskę i rzucił ją na trawę. Wówczas zobaczył, kogo położył trupem.

Nie mam pewności, co się dalej działo. Skłaniam się jednak do przeświadczenia, że rozegrała się baśń w tym lasku, baśń straszna w tych okoliczno-

ściach. Czy panna Jadwiga знаła już przedtem młodego żołnierza, którego ocaliła, a potem poślubiła, czy też przypadkiem była świadkiem tej mimowolnej zbrodni, i znajomość jej z żołnierzem zaczęła się tego wieczoru — nie dowiemy się prawdopodobnie nigdy. Lecz we własnych oczach owa panna Jadwiga stała się bohaterką i poślubiła człowieka, który w jej rozumieniu stał się prawie bohaterem. Spełniła odważny i mądry czyn. Przekonała wartownika, aby wrócił na swój posterunek, gdzie, pozostając, nie mógł być posądzony o zbrodnię. Znany był jako najbardziej wierny służbista ze wszystkich wartowników. Sama pozostała przy ciele i zawołała o pomoc. Jej też nie mogli posądzić, gdyż nie miała przy sobie żadnej broni.

— Mam nadzieję — kończył Ojciec Brown, powstając z miejsca wesoło — że są teraz szczęśliwi.

— Gdzież się ksiądz wybiera? — spytał przyjaciel.

— Idę raz jeszcze rzucić okiem na portret szambelana Arnholda, zdrajcy swych braci. Dziwi mnie... Pragnąłbym wiedzieć, czy człowiek jest mniejszym zdrajcą, gdy jest po dwakroć zdrajcą...

Rozmyślał długo przed portretem siwowłosego pana o czarnych brwiach i o wytwornie namalowanym uśmiechu, tak dziwnie nielicującym z czarnymi, płonącymi oczyma.

